I 128.605

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom II.

	zł.	ct.
Dr. Antoni J. Trzy opowiadania historyczne, 1 tom	1	80
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1.) Pod Pół księżycem. 2.) Książę Sarmacji. 3.) Odwiedziny monarsze. 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety. 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Nowe opowiadanie historyczne	3	—
1.) Pod krzyżem. 2.) Losy kresowego miasteczka. 3.) Wartabiet. 4.) Zemsta kozacza. 5) Porwanie króla. 6) Niedeszłe legiony.		
— Tadeusz Leszczyc Grabianka, Starosta Liwski	1	80
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
BIBLIOTEKA POLSKA: Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprawie	2	30
I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III.—VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII.—X. **Zaleski, B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz, J.** Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki, Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII.—XVIII. **E...ly,** (Asnyk Adam.) Poezje, 2 tomy.		
Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna.	2	40
— Pamiętnik panicza — Dziennik Serafiny	2	40
— Nad modrym Dunajem, Nowella	2	40
Chłędowski, J. Sylwetki społeczne	2	40
Jeż, J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej	2	40
Kaczkowski, Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. gen. szt. lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 t.	4	20
Kantecki, K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Z podróży Oświęcima	1	80
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie, 2 tom.	3	60
Lemcke, K. Estetyka, 2 tomy	6	—
Liske, X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i Pamiętniki.	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane wstępem objaśnione przez L. Siemieńskiego	2	80
Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848, 2 tomy	5	—
Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt., opracowane przez lwowskie grono człon. komisji histor. tejże Akademji	12	—
Niewiarowicz, A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu.	2	20
Opowiadania historyczne przez K. S. Bodzantowicza	3	—
1.) Wieczór przy kominku. 2.) Fatum. 3.) Muszkieter. 4.) Sierota, wspomnienie z przeszłości. 5.) Opowiadania pani strażnikowej. 6.) Pan Gajeski, gawęda szlachecka. 7.) Kasper Cieciszowski, arcybiskup mohilowski i metrop. całej Rosyi.		
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1	80
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2	40
Wilkońska, P. Na Teraz. Powieść	2	40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji	2	60
Zakrzewski W. Powstanie i wzrost reform. w Polsce	2	40
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	20

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

CHRONOLOGICZNYM PORZĄDKIEM

DO DRUKU UŁOŻONE

przez

Dr. ANTONIEGO MAŁECKIEGO

TOM II.

LWÓW
Nakładem księgarni
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
1880.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088150

BIBLIOTEKA NA
OWA

I.128.605

Z DRUKARNI K. PILLERA.

St. zas.

BENIOWSKI.

*

PIEŚŃ I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcéj bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojém namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od któréj nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał, ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —

Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzéj sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się najprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potem swoich białozorów:
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyj,
Nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o expulsyi.
Mało o to dbał, tracąc na chudobie;
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugę wioskę, et si non mi noces
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem;
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził. — O, nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W téj chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent, niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,

Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiém wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłém pierzem
Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnéj nocy, świecą w ręku!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
O doświadczenie, jak o grosz złamany
Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany
Z Panną Anielą. Téj sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: a d d i o!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniéj A..wiczów;
Kochała wiernie, wierność była w modzie;
Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce, oczy miała duże,
Czarne. — Jak róże, co się nad mur przegną,
I mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziewcząteк!

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi, lecz pozwól Asindziéj,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej,

Zwłaszcza o innéj porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik,
Dyabeł wie jakiéj wiary: w rzymskie bogi
Wierzył, i wierzył w proroctwa i w sennik;
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik;
Słowem, była to dziwna meskolancya
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

To porównanie pojąbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczém się nie wzruszył,
Lecz widać było że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,
Z trzema wieżami baniastymi, w złocie,
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!....
Zwłaszcza, że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
Wężowe w skałach ścieżki powycinał,

I między róże, co rosły odludne
Postawiał golce rzymskie... Ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą...
Skąd łatwo było poznać, że to... Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na Starosty górach stał bez listka.
Daléj, w egipskich katakombach — ule...
Daléj posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku... jak do antychrystka...
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były... lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tém jedném okiem w ciemną wodę;
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą śród spokojnych toni.
Albowiem w grocie Matka boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnéj skroni,
Jako Dyanna o poranku biała,
Na staw z różanéj tęczy wyzierała....

Słowem... było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego Antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie... róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem,
Że kto pił, zdał się mędrcem... nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,
Lecz zakochany w cudownéj Anieli
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane... i stał się
Nabożnym bardzo w każdéj skalnej celi;
W każdéj albowiem była jego droga,
I w każdéj po niéj została część Boga...

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia:
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, co widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę... i sądzę najpiękniejszą z krajów,
Jednę maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia... pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny... jako księżyc w chmurach.

O! Melancholio! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Trochę w tém wina jest mojéj młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę téj ciągłéj w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,

Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą...
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą... dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niéj
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasném niebie daleko jest chłodniéj
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na późniéj,
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy.... Kolego!
Byłżeś w Arkadii téj, gdzie Jezuici
Są barankami?... pasą się... i strzegą
Psów... i tém żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza?... Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutéj... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna.

O! Polsko! jeśli ty masz zostać młodą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje?!
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Któréj pies nie chce, wąż nawet nie pije,
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem:
Zostań czém jesteś... ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą
O każdéj czarze... czy to w niéj przez wroga,
Czyli przez węża i pająka swego
Wlane są jady.... Jesteś córką Boga,
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie:
Krzyż twym Papieżem jest... twa zguba w Rzymie!

Tam są legiony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą?
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swém kłamstwie wiedzą;
I swym bezkrewnym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem... lub padalcem?

Lecz pokój z nimi... nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju... więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz, stworzenia ostrożne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków... niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra, dusze w bagnie,
Niech żyją: takiéj krwi nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał... i grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły, lecz z urwanéj głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca,
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczołgnie się żmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy —
Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:
Kiedy czytelnik tę górę omija.
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczere, polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę.

I poematu expozycyę zwlekam,
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży.

A potem, nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę,
I tu pokażę, że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice;
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy;
Wsiadł na koń, spojrzał na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy
Pana i sługi. I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiéj przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twéj piętna
Są tu ostatnie! lecz jeśli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki,
Pójdą na krzyże i na — tabakierki.

A twe koszule porżną na szkaplerze,
A twe papiery, choćby to był tylko
Od ekonoma list, albo przymierze
Wiecznéj miłości z Hańdzią lub Marylką,
Sawantka łzami rzewnymi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
Że twa peruka, jeśli masz perukę,
Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy powieszą w Sybilli,
A o znikniony lewy będą skargi.
Nie mówię więcéj, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka Nimfa w owéj chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś, coś nakształt piekła.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiém ty jesteś smutném głupstwem ludzi!
Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świécy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater,
A kiedyś, dawniéj, Czarnecki z kolczugą.
Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem,
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem.

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku

Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdém słońcem — słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąc,
Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
Walka, jak w dawnéj Skandynawów wierze
Wojna niebieskich krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem,
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho, sługa śpiéwał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty,
A głos po łanach złocistych przepływał,
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swéj kochanki.
Skała ta, jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistymi okny i krużganki.
Całą téj górze postać excentryczną,
Zdjęła złota noc swoją szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą,
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawią na tuza
Cały majątek. Przegrał go i plunął,
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?“

„Święta Maryo, ratuj! dziecko kona!“
Na to Beniowski rzekł: „poprawiam strzemię“
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię
Takiém westchnieniem wielkiém w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał daléj brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu:
Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego łozak,
Szczęściem, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiéj chwili kochanek rozpaczny
Gorszy niż lwica Wirgila hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ; a wódka gdańska
W skórzanéj flaszy dźwięk dawała smaczny.
I bełkotała ta Nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc jak słodko zapraszała flasza,
Spróbował jéj Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głazy

Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy.
I tak bohater zbył swojego sługi,
Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniéj. Wtem, o cuda!
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda;
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza;
Tu widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użycza;
Więc daléj, wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest *ex machina Deus* — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
Widząc, że siedział czart w srebrnéj koronie
Na koniu, co go jak wicher prześcignął,
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,
Ciągnąc za sobą mojéj pieśni syna.
Że Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnéj koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci;
Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzéj, jakby anioł zgonu,
Pędził za naszym rycerzem i babą,
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub, jak mówi Strabo,
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,
Za lejc trzymała [illegible] lejc rycerza.

BIBLIOTEKA NARODOWA

W zawrocie głowy, rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?
Ale mu jego koń był bardzo miły.
Czy świśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
Ale i ta myśl druga i ta chętka
Zdawała mu się nie zła, lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy,
Gdyby cię takie spotkało porwanie?
Byś nie spodziewał się z nikąd odsieczy?
I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? do miliona krwawych mieczy,
Taką ohydną rękę? pełną kości?
Co pozbawiła cię ludzkiéj godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I — nie wiem pewnie — lecz może wąsatą
Sę-Symonistkę, i nie idealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę
Na dal, na rzeczy ważniejszych sądzenie.
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaskę;
Widzę w tym jego gwiazdę, przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżyca; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle, zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.

Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka
Między skałami, co mogą za godła
Służyć dwom sercom rozdartym na wieki,
Wiodła go prosto — prosto do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały
I tę ścieżeczkę pełną rudéj glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały,
Z których czytelnik może roić drwinki.
Starosta córce dał ten gaik mały,
I od niéj nazwał miejsce, Anielinki:
A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,
Była to niańka Panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisa rękę wnet uścisnął.
„Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
„Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął!
„Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!
„I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął
„I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
„Drugi raz nie graj w dyabła i w Tatara!“

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem.
I ze skał wyszli na łąkę zieloną.
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysięcznych róż otwarte łono.
Chata nakryta prostéj słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnéj koroną,
Stała na łące w najciemniejszéj głębi,
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drżeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł zwolna, parskając, do wody;
Ta wyglądała z pod białych jabłoni
Szarfą księżyca, błękitem pogody.
Za nim koń drugi poszedł rżąc, a oni...
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,
I drzwi otworzył od Panny pokoju.
Na progu stała, jakby smętna ksieni,
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jako złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiém, przeciągłém westchnieniem,
Potem się zmięszał i o zdrowie spytał;
Co dziś byłoby wielkiém uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand! że się bajronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżyca
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna, skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie;

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnéj, twardéj wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,

A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiéj Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednéj pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na późniéj trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście nic są w miłości niewarte;
Że lepiéj serce zawrócić niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziéj romansowe,
I stokroć bardziéj ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiéj strony w tém jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są starymi panny,
Gdy na rozstajnéj drodze jaka stacya
I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każda z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle — potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jéj nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posępnie dziewicą!
A kochanek jéj, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach, a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli;
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiéj stopie. — Strzelna
Nie była swymi źrenicami — zgoła!
Lecz oczy czarne jéj paliły czoła.

Włosy jéj długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owo jaje, w którém kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi,
Jak? — dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;

A gdym tłómaczył, to panna Praxeda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Praxeda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czémże jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy w téj chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jéj ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
„Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
„Nie mów mi, że jest między nami przedział
„Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem.
„Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
„Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
„Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
„Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
„Majątek? ludzi sąd? ja kocham ciebie!
„Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi
„Potrzeba! pójdę o żebranym chlebie.
„Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
„Serca, mój los już zapisany w niebie.
„Ja kocham ciebie! w twojém sercu żyję.
„Kto nas rozdzielić chce, ten mię zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
„Znów się oświadczył i o moją rękę
„Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
„I guwernantka, jak na moją mękę,
„Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
„Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
„Przekabacili już na swoją stronę.
„Płakałam — patrzaj, oczy mam czerwone.

„A tu jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. Czy widzisz jak jestem ubrana?
„Musiałam ubrać się dla ojca mego
„W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,
„Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
„Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.
„Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja!
„Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

„Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
„Gdyby nie Diwa byłbyś już daleko.
„Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny
„Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
„Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
„Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
„Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
„Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
„Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płocha!
„Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
„Kiedy ją dręczą; kiedy mocno kocha,

„Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
„Łzy nad swém sercem zgubioném i trocha
„Kwiatów, i więcéj też żadnéj nie trzeba,
„Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

„Myślałam, że ty mi dodasz nadziei —“
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
„Myślałam, że ty w téj smutnéj kolei“...
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni:

„Myślałam“... Głos jéj o jedną oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.
Boleść złamała jéj giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorżkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach — w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tém pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. A tym czasem

Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiéj pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszéj estetycznéj cieśni,
I skrzydeł mojéj Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniéj
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowéj płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie;
Że w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całéj sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię, która po sobie zostawi
Tyle co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry, ani malin.

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura,
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki,
Jak kwiat posłany dla pierwszéj kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny;
Gdyby mi braknął gorżki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących, biedni!
Tam nędzni, dla nas posępni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarém, mglistém pełném duchów.

Pewnie bym — lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresye nudzą; więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcéj nieco będzie gwaru, krzyku.

Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

*

PIEŚŃ II.

O, nie lękajcie się mojéj goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrjusz, zrzucony przez nią, lub Niedźwiadek,

Spali się, lecz ja nie winien. Per Bacco!
Różnymi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam Odę,
Naprzykład drugą piękną Odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to, żem jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest s y r e d e ń!...
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami

Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnymi oczami
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiéro
Poetyczném jest... zwłaszcza, jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni mirą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... ta strofa ma pewną zawiłość,
Któréj nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niéj,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jéj wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniéj,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniéj.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego.... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jéj żałobę nosić.
Jéj słońca drogi mlecznéj nie omylą,
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiéj głos, bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcéj niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom,

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim i tam — nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako próba,
Wcale nie według mego serca... ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność pologu
W stanie bezżennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira! na tym fundamencie
Moralność cała stoi!... Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Ariostyczna droga?...
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.
Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią, że w czterech dniach układam Dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d....w być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na któréjby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,

Z napisem *patri patriae*.... Jest to nowa
Krytyka.... Stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna.... O! gdyby — !
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby!
I dla jaskółek... na co?... Znowu błądzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka, równe porobi odkrycia?
Nie wiem. Czasami myśl w Eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia;
Lecz później, pismo, druk... tęcze obrywa
Z kształtów.... A teraz odbłysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni téj bohater młody,
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawéj wody,
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznéj pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza... czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy.
Klnie, że w około zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy!...
Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,
A priori to czuł... lecz i nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,
Biedaczek! brakło mu formy gotowéj!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnéj w nim nie było nowéj...
Najnowsze, z ustek różanych wysysał,
I teraz, patrzcie! w pasiece lipowéj
Klęczy pokornie przy kochanki nodze,
Oboje na zbyt niebezpiecznéj drodze.

Lecz młodość.... O! ta pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. Mimo plotek,
Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podlotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dla tego tylko, że się mogą bratać
Piórkami... ściskać i gruchać, i latać.

O, pierwsza miłość!... Téj wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Téj ideałem jest latanie razem
W krainie, w któréj nie ma końca, kresu.

Potem się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dla czego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła....
Prócz tych... ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszém ucieszony,
Wracam do bajki mojéj... z innéj strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzóz i bielą okrytych jabłoni,
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnéj dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszcza mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta
Kłaniał się, pocił, dął, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon,
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta!
Więc się rozeszli, woląc sen... niż świat on,
Co się naówczas zdał za-atlantyckim...
Został się pan starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacyi,
Z któréj niedawno chciał uczynić cmętarz,
Co do jednego wyciąć... niech go kaci!
Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
A tu obaczysz, jak mu się wypłaci
Konfederacya: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,
Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryczek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda,
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba litewskie biskupy,
Na dwóch latarniach miejskich... oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiéj, jeśli ich pod lodem
Car nie utopi... łatwiéj ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!
Lecz obu wielka myśl była powodem:
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta piekielna para,
Że łatwiéj odrwić Polaków... niż cara.

Walenrodyczność czyli walenrodyzm —
Ten wiele zrobił dobrego... najwięcéj!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego — zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcéj już rymu na odyzm,
Co od włoskiego o d i a r - l o... najprędzéj
Może zastąpić brak polskiego słowa...
Walenrodyczność więc... jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz... domyślaj się reszty...
Co? sam Paszkiewicz?... O tém jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny.... Pomyślał: a wiesz ty?
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Walida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda.

Tak jest; obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski

W chmurach się kryją. Więc już rozumiecie,
Że Dzieduszycki nie miał jednéj kréski...
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca,
Wszyscy w ojczyźnie mówili: to zdrajca!...

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy:
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr... trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,
Dla tego, że piał. A więc wszystkie zmazy
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował *in petto*,
Zemstę, jak Włochy, co się mszczą *stiletto*.

Tym czasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół warjat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec, pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencyą ojca się oświadczył pannie.
Wspomniał o drzewie swoich antenatów,
Nie wspomniał ani raz o krwawéj wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów,
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów —
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs — za psami szalał —
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bolu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę... anewryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego, co łudzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu, i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą — oczy utopił sokole;
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole wyciągniętą prosto,
Prosto ku kielichowi, i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić.
Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy.“
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po piciu krzywić.
Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą.“
Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem i oczy, co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą;
A miał na oczach swoich jak jastrząbek
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół śpiący ale grzeczny,
Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,

I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uśpionego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: *niech tak będzie.*

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone;
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pjanemu zdobył sobie żonę,
Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzeszczał,
Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie.

Orzeł na karcie był, a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita,
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niéj toną, myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzał z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,
To znów na ściany patrzał, wstając zwolna:
Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza,
Ledwo się w sobie pohamować zdolna;
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okólna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk — wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli; ale mówiąc szczerze,
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę;
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty;
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jedném oknie miesiąc stanął złoty —
Znacie działanie téj gwiazdy na nerwy.
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łoskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe,
Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?“ Ksiądz milczał. „Co tu robisz mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucypera!“
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera,
Jak w źwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzał i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, którymi go szukał
Pan Dzieduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swém, na ludzi nie hukał,
Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoję małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.

Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk — wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: *Konfederaty.*

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
Przebacz wielmożny pan, jeślim ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie."

Podczas téj mowy, twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate,
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „ja jestem ksiądz Marek!"

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,
Zmarszczył się i rzekł: dla kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.

Na to starosta krzyknął: „protestuję!
Przeciwko zdradzie haniebnéj waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moch kościów"
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w téj mowie niegramatycznościów!
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa! — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kassyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pęknionych,
I Filomelę, co tak jak J. B. O.
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „pójdę i skonam za kratą!“
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak przysiągłbym, że niefałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak daléj,
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!“
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało — nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.

Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorżkniał, że nawet nie trącę
W téj pieśni — smutnéj lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące:
Gołębie słychać tam było gruchania,
Łzy zimne — usta zmywają gorące;
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli, rzecz skończona! — Horror!
Miłość, przechodzi już w pamiątek kolor,

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą!
W dole: Raphael pinxit, albo Giotto.

W galeryi siedzi dusza. O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszéj kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, która biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białymi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiéj; reszta wiatru wyciem —
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie co? krzyż i mogiła.

Precz! wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności. Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
Kto wie, za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonymi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniéj kochał bez nadziei,
Jedno swe oko topiąć w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna
Już zadyszana stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niéj oczyma bawić;
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niéj zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekroć łezkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,

I serce biło w niéj, bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichém brzęczały i gwary,
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. Nim oddech utracę
W téj strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa raca, nakazana
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie;
Pod biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi, wąż leciał paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta raca na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i phalena :
Już zdało się jéj, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. — Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla téj panny,
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemném powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonych w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnéj,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnéj.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Coś do téj główki wpadło... i pobiegła,
Biegnąc jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzéj leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się... i różowa wpadła
W bramę i w około spojrzała i... zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni:
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patryotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana; sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak Transteweranka...
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;

Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacyą... i tak daléj. W szumie
Tych słów nic więcéj nie pojęła córa,
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
Pożyczył niegdyś proszony, na prędce,
Kozaków przeciw panu Puławskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzęce
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan cały purpurowy wczora
Wyglądał jako posąg komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża:
Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wyrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru, obie
Te ręce zdrajca położył na sobie.

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe,
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach... Potem się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzéj,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z téj saméj przędzy
Winą się... dla nich ten rym i przeklęcie!
Niech swoją przyszłość w téj pieśni odkryją!
Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, rąk własnych zczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył:
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zbroczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami!...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę... już dyabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął, krzycząc: „rozbójnicy!“
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiéj modlił się w kaplicy
„Niż — z mojego cię wyklnę kapitołu!
„Córko! podaj mi papier... kozak, świécy!
„Siadaj tu panna, *et pagina fracta*
„Pisz protestacyę, która pójdzie w akta.“

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie....
A starzec do niéj: „ta krew czarna, zsiadła,
„Ta krew na stole atramentem będzie,
„Umocz to pióro.“ Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,
Krwią, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrzała i dreszcz ją przeniknął.
„Wezwawszy bogów na świadki... pisz córo!
„Których bogdajby wzroku nie uniknął
„Ów czyn nieszczęsny i haniebny... juro!“...
Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
„Ja exorcyzmem te szatany zwalczę...
„Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

„A ty panienko, grzech ściągasz na duszę,
„Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka,
„Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
„I na tém miejscu krwi popłynie rzeka,

„Gdzie stoję... a te góry, palcem ruszę
„I na Moskali pójdą!... Kto tu szczeka?
„Kto tu urąga się z bożego Ducha?
„Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?

„Zaprawdę mówię ci, panie starosto,
„Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
„I powiem ci tu bez ogródek... prosto,
„Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę,
„Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
„I gdyby nie ja — te komnaty złote
„Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
„I purpurowe i w ogień odziane.

„Czy nie wiesz o tem? że na Ukrainie
„Zaczęła się rzeź i szlachty wyrżnięcie?
„Pod święconymi nożami krew płynie;
„Pop pierś otwiera, a chłop daje cięcie
„W bijące serce!... Cały naród ginie,
„Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
„A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
„Ale bezczynny, sądzisz, żeś bezpieczny?

„Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
„Dzisiejszéj nocy kozak twój Mohiła
„Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!
„Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
„Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,
„A przy nim zbójców powiązanych siła,
„Idź! obacz, jakie teraz mają łoże:
„Leżą na workach, a w tych workach... noże!

„O! taka pościel będzie dla grzesznika,
„Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
„Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
„Zamordowany.... Pan Sawa się zbrojnie
„Z twoimi chłopy na moście potyka,
„I za twą całość krew wylewa hojnie.
„A twoja siwa się tu rzuca głowa,
„Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?“

Podczas téj mowy pan starosta w czoło
Księdza jasnymi patrzał się oczyma;
Nagle, jak człowiek gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma,
Zadrżał. — A wtem pan Sawa wszedł wesoło...
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,
Że całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzał i zmięszał się cały,
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiéj postawy.

Jako Sybilla z piórem w ręku... Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Daléj ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących — Romans w poemat urasta!
Cóż w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyę,
Dyabłowi oddam bohatera duszę,
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyę —
A tych, co płakać ze mną nie chcą... zmuszę.
I demokracyę i arystokracyę
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

*

PIEŚŃ III.

O! jakże smutno w jasnéj życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzémiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiéro
Pojmować, że ten cały świat satyrą!

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezya gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w któréj wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W téj mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań — kwita,
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcya,
Która poezyi uczy, jest dyssekcya.

Szkoda, że z takiéj dyssekcyi wynika
Jakaś szkodliwa materyalność, sucha —
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:
„Oryginalny wieszcz do Tygodnika
„Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
„Który zapewnia mu wieniec osobny;
„Wiersz, do niczego przedtem nie podobny!“

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym,
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!

I w oknie duszy ma zielone szyby!
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby;
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dla tego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnéj duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobre i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconéj duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnéj sławy, pokoju, wygody.
Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoją przyszłość czytał;
I widział ją tak uwitą, jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniéj Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet —
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet,
Pantheistyczną jest, i wszystkie głazy

Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdéj gruszce, do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych,
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;
U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jéj w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię Z. K., S. K., E. K.
Mówię, że młodą Polskę pisze — baba!
Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie,

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni dla tego, że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby, w balladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza;
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień, jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi;
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiéj się poezyi boi;
Więc rzecz, co działa się tam, gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem Epos i niestety!
Może nie skończę! i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladuje grzbiety,
Nie zaprobuje miecza i to zaraz,
Zjadłszy przynajmniéj trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach, wszędy

Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnéj kwerendy
Wieszał, i przyszłą respublikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi, jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi;
Druga, choć trochę Maltusa kaleczy,
Systema i to, co za ziomki swymi
Pisze pan Cz... zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskimi,
A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza — patrz Tacyta o Fenixie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzał i rozmyślał co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady; wojska w linii
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w téj girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błyskitach,
Wyrzucając błysk, do żądeł by pszczelnych
Podobny. Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem, jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk, daléj, gródek zbrojny
O milę, na równinie; działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i zdaleka.

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa, jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szczeknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferye,
I zamiast pisać akt, stawia baterye.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane:
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko w koło wre; tylko zadumane
Na szarém polu dwie Maćkowe grusze,
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie;
Tu kawalerya się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula po nad uchem
Gwiźnie, i znów się prostuje, gdy minie!
Tu garść kozaków jakby oczeretów
Kępa; tu błyski szabel, tam — bagnetów.

Na to Pan Zbigniew patrzał z po nad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień, ale mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże.
I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biec, gdzie burza błyskała czerwona;
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona

Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniéj w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał, na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,
Gdy udaruje ją car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie przeciwnie,

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłosnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim, w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swéj gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy,
Najmilsze z siebie dali małowidło:
Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I w koło chodząc, budził garłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takiém darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takiém się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoją senną panią,
Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły, i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Z razu był nie szparki
Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoją myśl w serce człowieka,
Coraz prędszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna Rusałek. O! domysły trafne!
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których, jak z dobréj wioski będzie przychód;
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don-Kiszot,
Nigdyby w Trzecim Maju nie urosły
Illuzye, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Beniowski goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły;
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły.
Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,

Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —
Nocą, z pod owych skrwawionych warkoczy,
Próchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I nie znalazłszy w nim... dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyscu, a na tym świecie wszystko czerni —
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili — wiatr dął taki jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój, napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,

Oprócz kozaków dwóch... Z tych jeden stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało?... nie chcę, i nie muszę
Mówić; bo to rzecz należy do wiary
Grecko-rosyjskiéj; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w téj religii, gdzie car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl!... lecz nie dla cara,
Który wolałby może z tego względu
Większą bezpieczność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza, młodego zapędu,
Poszła *ad umbra*... i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesytów,
Bankructw, poezyi głupich, jezuitów,

Heglów poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam — gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie...
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...
O to bynajmniéj nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, on wiedział nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;

Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojéj lutni — te cierpiące —
Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz szalone! —

O czem że ja mówiłem? — ha — w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzał w blade twarze;
Wtem ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu: a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z Wulkana

Leciała, hucząc głucho, i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni łakoma
Ciała ludzkiego — więc — O! myśl szalona!
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów,

Roziskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłąb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słysząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
Więc nic nie tworząc z ognistéj gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze, jak rzecz suchą....
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu, nie chciał uczynić świecznika
Owéj dolinie strasznéj, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy krédowymi syka,
I pachnie gorżki piołun. — Więc mój rycerz
Stał... jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzał... owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła:
Owe gołębie, których ja z autora
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości... nigdy za małżeński związek! —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić... nie wiem czy mógł... wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka,
O sławie onéj i o rybach onych
Nie mówię więcéj... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.

Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rześki
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno - niebieski,
Bo próchno, niby brabanckie koronki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle... światło nadziei!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle, błękitném powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanéj kobiéty
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie téj, na kruchéj łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacyi i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom... a ujrzy tu z nienacka, nagle —

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owém drzewie
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,
W błękitne próchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką
Arachną... Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczątką
Ów utwor nowy... W błyskotnéj sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
Sięgały jéj ust dzióbki różanymi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równymi —
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotymi,
I z włosów dziwne rzucały promienie —
Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jéj spłonęła i szyja:
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
I ten rumieniec, co w skażonych mija....
Widzę, że daléj już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,
Stwórzcie więc myślą panię dwóch połębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim Rusałek kościele;
Gdy w koło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele...
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj daléj...
Miłoście moje, jako próchna świécą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;

Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę
W przypiskach... mój bohater będzie czuły:
Już to nie będą moje rytmy wieszcze,
Ale esencya serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły...
Nie emigracyą, bo téj dyabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdéj spyta, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnéj twarzy swéj ma coś — srebrnego.

Pryncypia: O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekréślę
Te strofy.... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy,
Upadli z pańskiéj jak z niebieskiéj sfery
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko-wiedzący,
Krwią do was byłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący,
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wązgłowiem
Jedno kobiece serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedya gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie.
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze;
Może wieszcz — zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa,
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę, zasnę — ha! lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. Precz szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.
Między ciemnymi położył się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,

Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobréj rady
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojéj własnéj duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchylę,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnéj miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potém wskrzesza,
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. — Skarży się na moją ciemność.
Poeto „fiat lux“ zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,
Lecz pantheista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod Equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrżną: *sta viator*.
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma,
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Nakształt Hektora, Ajaxa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda,
O awanturach własnych geografią,
Po któréj ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: *Pomysły*
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku jak rektorska linia;
Jeśliś ciekawy, patrz: Rozdział: *Opinia.*

O autorowie z nudy! O, Fenixy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek.
O polityczne moje nowe Ixy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek,
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styxy.
A teraz z waszych korzystam przestróżek,
I już nie Ody piszę, ani Hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeśli co mówi? mówi bardzo krótko.
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków,
Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściéj lilja, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

I mógłbym, mógłbym, — lecz nie chcę, a może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno świecące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru

Pełne. — Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru,
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę, lodowaty;
Dla tego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie, spiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Najprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa,
Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnéj cery
Pobiegła skocznie i całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potem zaczęła śpiew o sobie szczery,
Słów jéj nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niéj auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią.
O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałośne łzy nademną ronią,
Bo Muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat *oktawą*.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę,
Mówiąc płakała — na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce.
Pan Zbigniew patrzał zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi *krzywo*,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo!

„Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
„Abym ojczyźnie mojéj służył szablą
„I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
„Te dwa gołębie sztuką prawie dyablą
„Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
„Dwa trupy, które Pluton swoją grablą
„Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.
„Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

„Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pargaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły,
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze, lecz gorący.“

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
„Ja znałem twego ojca! gdyby dożył,
„Pewnieby twoją chęć pochwalił prędką.
„Bogdajbyś późno się w grobie położył
„Jasnym, jak człowiek wielki; ani wędką
„Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
„Zlituj się, Matko niebieskiéj korony!

„Oto dziecko to oddaję w opiekę
„Tobie, Dziewico czysta, Matko boża!
„Broń rzuconego w te nieszczęścia rzekę,
„Która z nas płynie do wieczności morza.

„Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
„Która tu krwawi ducha jak obroża,
„A zaś mu w duszę ognistą przeleję
„Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

„Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
„A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
„Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
„I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
„Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
„W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
„Które by kiedyś jego Bóg rozumiał,
„I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

„Będzie miał w sercu władzę odpychania
„Ludzi, a węże się doń zbiegać będą.
„Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
„I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
„Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
„Grobowiec sławny! ale nie posiędą
„Grobu ni sławy. I to jest przekleństwo,
„Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

„I niechaj będzie jakoby stuletnie,
„Lecz nie. O Boże! nie słuchaj Jehowa.“
Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie,
I pięknem srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za Egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały.

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobréj łodzi,
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem czego chce? i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił i nic więcéj.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — „Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami — w nawiasie: Niech was powystrzela

„Moskal i dyabeł, że się tak kłócicie
„I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
„A choć szlachetne imiona nosicie,
„Jest z was ohyda boska i plugastwo.
„Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
„Który obiecał karmić nas jak ptastwo
„Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
„Cierpi, że buty dziś je obywatel.

„*Venit judicium!* Nie odemnie sługi
„Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
„Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
„Toż samo pan Rożański, co Fabiusem
„Jest w naszéj partyi, także i ten drugi
„Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem,
„I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
„Piszę to z głębi żalu do Waszeci.“

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy, albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, któréj ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał, myślałby, że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białéj jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd, lub pełnéj malwie,
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Ksiądz z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W któréj tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć axamitnéj,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnéj.

Lecz w owe czasy któż jednę godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą.
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko, co się zowie modą? —
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Ze dla niéj każda smakuje trucizna;
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj, każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty,
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie burze!
I zwiejcie mój ślad z téj smętnéj pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnymi uczyni

Czas. Wszak stawałem na niejednéj górze
Bliżéj piorunów, niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżéj chmur, co grzmią, niż ludu, co szczeka!

I dziś od ogni boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcéj litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? nie wiem, i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką.
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony napół, lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. Teraz wam powieścią służę
I w żadne więcéj ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznéj,
I wszystko może ujść w kompanii grzecznéj.

Stoi więc w dębie moja mołodyca
Ze świecą, jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świéca,
Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi
Rozumu, jeszcze więcéj elegancyi. —

Ożeniona więc świeca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku;
Zwłaszcza, jeżeli Moskal na granicy
Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
Z pomocą drugiéj ożenionéj świécy;
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy, styl Delilla.

Już więc Ksiądz Marek, tu mnie nie doścignąą
Ixy warszawskie, kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał, już tak naczubił,

Już, już... wtem szable mu po oczach mignął!
Ksiądz wstał, szczęk wielki był, pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice, każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą.
Tak mówiąc patrzał, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa,
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone!
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny — jak rubin się żarzą,
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmięszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni — między oczy;
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę, co skrami pryskając odskoczy,
Pewnieby więcéj mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czémś czerwoném.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swéj zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. Była to zabawa,
Któréjbym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach,
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w samo czoło,
I palec już giął, gdy nagle, o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezyi mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,

Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc, i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomieszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Najprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem.
Nie widzę więcéj, jary się tumanią,
Dymnéj kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohatérze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał, a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jéj włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzał, gdy z dębowéj groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dla czego Waść się bił z Kozakiem?

„O krwi gorąca! że téż ja nie mogę
„Utrzymać nigdy między wami zgody!
„Oto Pan Sawa znowu ruszył w drogę,
„Bóg wie, czy wróci, a rześki i młody.
„O młodzi! młodzi! pod waszę ostrogę
„Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
„Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
„Nigdy się w jedném miejscu nie zagnieździ.

„Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura
„Dobyli szabel i na konie wsiedli?“
Na to Pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która
„Zwaśniła obu: gdyśmy tutaj jedli
„I pili, oto złota miniatura,
„O którą srogi bój obaśmy wiedli.
„O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
„Ja mu ją, księże, sam zerwałem z piersi.

„A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
„Z pod żeber jego tą szablą turecką.“
Tak mówiąc strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: „O takąż rzecz chodziło świecką?
„Wartoby obu dyscypliną chłostać!
„Wstydź się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko
„Tę miniaturę mi dała dla ciebie
„Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

„Ja zaś nie mając kieszeni w habicie,
„I nie chcąc wieszać téj rzeczy na sobie,
„Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
„Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.

„A przytem i list skropiony obficie
„Łzami, a w takim pisany sposobie,
„Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,
„Podjąłem się ten list schować w kapturze.

„Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
„Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;
„Bar potrzebuje dziś mojéj pomocy,
„Lub go ocalę, lub niebo zdobędę.“
Beniowski blady jak duch o północy,
Już nie uważał na księdza gawędę;
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A najprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiéj mojéj pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzéj niźli Troi;
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze;
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola.
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy,
Pisała Panna, nigdy ojca wola,
„Nigdy poneta, nigdy przestrach krwawy,
„Nigdy szalone szczęście lub niedola
„Nie skłonią mego serca do odmiany!
„Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

„Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
„Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
„Woniami, które były tak urocze,
„Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
„Ty mię porzucał, a ja ci warkocze
„Dałam całować, przenikniona strachem,
„Abyś mi u nóg nie padł konający,
„Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

„Powiem ci teraz, żem się była zlękła,
„Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
„Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
„Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.
„Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
„Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
„Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,
„I że westchnienie śmierci — jest uśmiechem.

„Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
„Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem, czemu
„Cała się zlałam łzami i rumieńcem;
„Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu
„Podobna, póki mi był oblubieńcem
„Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,
„Bo mi się przed nim łza gorąca toczy;
„I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

„Niespokojności pełne serce moje!
„Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
„Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
„Aż do mojego zamku, do Ladawy,
„Każ sobie Panny otworzyć pokoje;
„Na stole stoi filiżanka z lawy,
„Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,
„Nosiłam go dziś całą noc — bławatek.

„Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma
„Wolę, ten wszystko pokona. — *Addio!*
„Z wyciągniętymi za tobą rękoma
„Jeszcze raz wołam tobie — *caro mio!*
„Przy tobie zawsze będę, niewidoma,
„I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
„Nie! ty nie możesz zginąć tak jak oni,
„Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

„Pytałam dzisiaj staréj wróżki Diwy,
„Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
„Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
„Że się o ciebie wiele duchów kłóci

„Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy;
„A czyny twoje ktoś na harfie nuci;
„Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze;
„Nie będziesz temu wierzył, lecz ja wierzę.

„Przepowiadając, mówiła mi stara,
„Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
„A zaś przy tobie stoi jakaś mara
„Ubrana w szaty dziewicze; to chyba
„Ja — czy nie prawda? O! gdyby ta szpara,
„Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,
„Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
„Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
„Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
„Lecz tylko w każdéj chwili widzieć ciebie,
„Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
„Zda mi się nawet, że w jakiéj potrzebie
„Pomagałabym ci okiem — do szczytu
„Szczęścia i sławy — choćby...“ Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
„Te całuj! krzyknął, te rany czerwone,
„Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
„Nie te kropelki łez gorżkie i słone,
„Z których rdza pada na kryształ puklerza.
„Rzuć ten list — daj go, jak mówią, szatanu!
„A słuchaj! ważną misyą dam Waćpanu.

„Piszą mi, że tron odzyskał Khan Giraj;
„Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko.
„Masz listy, których proszę nie otwiéraj,
„Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blisko
„Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
„I bocian także z małą szarą pliszką
„Do téj krainy lecą z wielkim krzykiem;
„Bocian okrętem jest, pliszka sternikiem.

„Ona ptakowi na ogonie siedzi
„I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
„Tak, jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
„Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada;
„Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi,
„Prosto wędruje i w gniazdo upada
„Gdzieś na wieśniaczéj chacie, zmordowany,
„Przebywszy morskie burze i bałwany.

„Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
„Drogę, a prostą, to choćby do słońca
„Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
„Odpoczywając. Leć że więc bez końca.
„A będziesz chodził w anielskiéj ozdobie,
„Jako ojczyzny i wiary obrońca;
„A nim zasługi twoje w niebie zginą,
„Ziemia przeminie, i gwiazdy przeminą!

„Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
„A kto wie, co tam w mojém sercu płacze?
„A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany,
„I chodzę, tuląc do głębi rozpacze.
„Wolałbym może już w grób, jak złamany
„Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
„Kiedy na działo wstąpi moja noga,
„A działo ogniem śpiewa imię Boga.

„Więc, że i starość jeszcze Jowiszowe
„Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone,
„Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe,
„I wulkany z nich rozrzuca czerwone;
„I téj ojczyzny martwéj wznosi głowę,
„I kładzie na nią zbawienia koronę —
„Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
„A pomyśl tylko ty — czémże ja jestem?

„Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
„Będzie rodziła chwasty i lilije;
„Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
„A który jutro Bóg nogą rozbije.

„Nośże ty ducha w téj cielesnéj glinie;
„A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
„Z błyskawicami. Na końcu żywota
„Czyny człowiecze waży szala złota.

„Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
„Są policzone, i nie ginie jedna
„Kropelka, ani biała, ni różana,
„Lecz każda waży i ważąc wyjedna
„Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
„A byłaby téż ta ojczyzna biedna,
„Gdyby dla ciebie zginionego młodo
„Łez nie znalazła. Bądźże więc tą wodą

„Ochrzczony teraz i w grobowcu późnym.“
To mówiąc, ręce wyciągnął, i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźném.
I był na twarzy przerażeniem biały,
I skry mu z oczów szły — i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnéj chwały
Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty,
Z ręku księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi;
Jechał i marzył o przyszłości cudnie,
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie przez gościniec z ostów,
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerye chyba z szkła i dyamentu
Zbuduję, w karczmach posadzę Dyanny.
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się téj łabędziéj marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twéj platońskiéj czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogni plecie:
Tam ślubuj przyszłość. Muza mdleć zaczyna!
Dajcie mi bursztyn, i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół-senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny.
Naprożno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim.

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś w równéj zawsze strojny mierze;
U ciebie jednéj on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcéj kocha ludzi niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoję miałem nakształt słońca

W pamięci mojéj. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia.
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kreśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niéj, jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone;
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałéj róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły, czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

*

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy, na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmięszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki, na polu, czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam daléj wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży, albo sęp bezpiórny,
Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi, albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Odprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiéj i strasznéj twarzy jak Hurony;
Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklannymi
Zdała się żebrać u ognia litości.
Daléj siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości..,
Drugi otyły i z rubinowymi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałéj tuszy, trochę baba
Na twarzy, dziwnéj miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
Malowanymi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy, ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie,
Jak staréj kawał arki na Sinaju!
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.
Litwin, pancernik jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był staréj daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwono-kudłaty

Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych Bogów:
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy
Śpiewał, lecz dyabła żmudzkiego straszydło
Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny.
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym — ni piu ni meno,
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów! O nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz... marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyannę usłużną —
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku — —

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po kropkach piszę daléj. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski — nie był to bohater modny,
Co się księżyca tylko karmi blaskiem —
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny...
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo... lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią.
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia.... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materyalne gusta, moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka, na kształt czerwiennego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma nakształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiéj i w żar łeb żelazny kładzie...
Choć uczty prostszéj nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

Ta rozmaitość może być pokrzywą.
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niéj wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potem z niéj łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiéj — w grobie.

Więc nie mięszajcie mi się tu harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiéj opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię,

Niż — moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z téj strony zrobiłabyś cmętarz.
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz,
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiéj ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

Ej ty na szybkim koniu! Daléj wiecie,
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: Skąd, powiedz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz? jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop w połowie pierwszéj hexametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zdradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
Pędził do swego stepowego domu;
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.

Koń się w niéj mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał!
Straszny pies czarny z obszarpaném uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto poniżał
Korale — szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atencyami do jednéj z podstolin,
Wracając, patrzy, pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżyca,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnéj roi,
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.
Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dla tego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość, zajadłszy w parowie
Poetę może — z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistymi błamy.
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. Obraz ten oprawić w ramy!
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały,
Brylantowymi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały.
Idylę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały?
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda,
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niéj Sawa: „Oj moja Swentyna!
Latasz po stepie jak cygańczuk bosy,
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj będzie licho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na licho — Cyganka!“

„Na licho wyjdę, czy na spokojnicę,
„A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
„Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
„Córkę starosty, albo kasztelana,

„Taj się żeń. Ja ci ubiorę w brusznice
„Korowaj, sama pójdę w step Bojana,
„Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie:
„A spać nie będę na wproszonej ławie.

„Mnie świat szeroki! Jak złotego gila
„Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
„Ty na kurhanie dumał Czaromyla,
„Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.
„A mnie Włoch bił! bił! Oj! łza mi rozchyla
„Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
„Jaka ja biedna była niewolnica!
„A dziś co ze mnie? wiatr! i gołębica!

„Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
„Pocałuj, zapłacz, świśnij, taj polecę!
„Gołębie moje umieją tańcować,
„Na chleb zarobią, na cerkiewne świece.
„Będzie mnie za co ubrać i pochować.
„Albo ja martwa pójdę wpław po rzece,
„A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie
„I pochowają w śpiewającym grobie.

„Taj będzie koniec z żałośną Swentyną!
„Oj! nalatała się ja po kurhanach!
„Oj! nakarmiła się gorżką kaliną!
„Jak jemiełuszka! Była ja przy panach!
„I była między chłopami Caryną!
„A wszystko smutno! Chodzę jak w kajdanach,
„Ni ojca, ani matki na tym świecie!
„Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!“

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
„A co! straciłaś już twój srebrny wianek?
„Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
„Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
„Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
„Co ty robiła z nim przez cały ranek?
„Cóż? oszukana, ha? kwiatku kaliny,
„A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?“

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnymi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złotymi,
Wstała, i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

„Pomiędzy nami stoją te hramoty!
„Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
„Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
„Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
„Ani mnie ujrzysz! Ani ja wiem, kto ty?
„Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?
„Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
„I komu zechcę dam pierścionek srebrny.“

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
„Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“
Na to jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odmknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną.

Podobnie wtenczas się zarumieniła,
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,
„Pierwszy raz jestem spłoniona przed tobą;
„Teraz się będę zawsze czerwieniła
„Przed każdém okiem, przed każdą osobą.
„Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
„Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

„Gdy dawniej, w rękach i na linie Włocha
„Giełam się jak wąż, cóż robiły pany,
„Aby mię słowem zczerwienić choć trocha!
„A byłam jako kwiatek ołowiany.

„Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
„Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
„Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
„Jeśli, jak mówisz, kocham? — lecę kochać!

„A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
„O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
„Połóż się chwilę na darniny świeże;
„Niech sokół czarném krzyż obleci kołem.
„Ja także jestem jak polscy rycerze,
„A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem;
„Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
„Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

„A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
„Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
„Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?
„Kto różę na nim posadzi odludną?
„Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
„O! jak tam w grobie niekochanym nudno
„Spać na kamieniu!“ tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu,
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;
A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany.
Stanęli. Burzan podobny do lasu
Purpurowymi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prało,
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.
Ale się pieśni narzędzie popsuło!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozyi słodkiéj już zabrakło w krużu,
A więc żegnajcie! na stepowém wzgórzu

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęskotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę:
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
A każda co chce z mego serca bierze:
Sonet, tragedyę, legendę lub odę,
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

A najprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna...
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczéj postaci,
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do arystokracyi,
I w tém bez ognia piekle bawił trzy dni;

Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie Sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznem
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym!
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu wierzę żywot wieczny,

Amen... To amen, krztusi mię i dławi
Jak Makbetowe amen... Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko... ha!.. a jeszcze w Boga.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionéj przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywém,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca: kornéj wiary,
Spokojnéj śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnéj miary!
Gdy warstwy ziemi otwartéj przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upada na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem,
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał

Boga, a teraz kawałki spadały —
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie... tylko męstwo.

Zaprawdę!... Gdybyś mię widział narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienickiéj góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrajęę... i stanąć za mną... lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych;
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiéj rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy —
Lecz rzekł: „Niech idzie tam gdzie my idziemy.“

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie?... Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziéj!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
Kiedy kląć zechce... przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Najprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
Patrząc na twoję twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twém krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojém obliczem,
Mię powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą... ty nie jesteś zniczem.
Lecz choćbyś bogiem był... ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.
Kocham lud więcéj niż umarłych kości...
Kocham, lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych.... Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj—? przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...

Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jéj nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył: —
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojéj korze
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

1841.

*

KRÓL-DUCH.

*

RAPSOD I.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne,
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja, Her Armeńczyk *), leżałem na stosie
Trupem.., przy niebios jasnéj błyskawicy;
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnéj okolicy.
Niebo zczerniało... ale świeciło się
Grzmotami, jak wid szatańskiéj stolicy.
A ja świecący od ciągłego grzmota
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

---

*) Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t.: Rzeczpospolita.

III.

I duch niewyszły z umarłego ciała
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała
I unosiły się duchy rycerzy.
Trójca widm mój stos ogniem zapalała,
A ja czekałem, aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze jak duch zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny,
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy;
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice
I trzy siarczane ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
I o swe ciało już nie utroskana,
Ale za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana;
W Styxie, w Letejskiéj wodzie, albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: — a wiedzą tylko Wniebowzięci,
Czém jest moc czucia! a strata pamięci!

VI.

Tam, kędy dusze jasne jak brylanty
Swe dobrowolne czyniły wybory,
Moc utrudzona biegiem Atalanty
Szukała tylko szczęścia i pokory...
Orfeusz między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory;
A jam pomyślał, że mu śpiewem będzie,
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulisses poszedł w prostego oracza,
Aby odpoczął po swych wędrowaniach.
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek.

VIII.

Ja sam z harmonią obeznany młodą,
Własnego ciała nie chciałem odmiany.
I siadłem smutny nad Letejską wodą,
Nie usta moje myjąc, ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX.

Wszakże Letejską przykładając wodę
Do ran — by pamięć boleści straciły,
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały — jako świt daleki,
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiaździce, co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą
Tak błyszczącymi, że mórz dziwotwory,
Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
I obchodzą je cicho jak upiory;
A płynąć wierzchem nad nimi nie śmieją,
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI.

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którąm ja poznał z oblicza
We mgłach Letejskiéj zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk, duchów girlanda słowicza;
Pod nią, jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły,
Na kwiatki jasne pod ciemnymi jodły.

XII.

Z tych łąk i z tych puszcz, jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą;
Szedłem... choć strzały Numidzkimi ranny...
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys, którą na świat znosi szklanny
Obłok? a tęcze świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przedemną do lesistych zacisz
Weszła... a harfy śpiewały wiatrzane:
„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
„Jak sny przez dobre duchy malowane;
„Żywot tysiącem żywotów zapłacisz;
„A zawsze jedną tę serdeczną ranę
„Przyciśniesz w piersi rękami obiema;
„Tę jedną smętną ranę: że Jéj nie ma!

XIV.

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie,
„Serce ci damy, ale spustoszeje.
„Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
„Urągał w Bogu mającym nadzieję.“
Na to ja: niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jéj ust światło leje,
A nie dbam o to, co mię daléj czeka:
Żywoty ducha, czy męki człowieka!

XV.

W jednę girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek, który za tysiące czuje,
I tą girlandą, jako świata książę,
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią...
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!

XVI.

Pamiętam ten głos i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „to Królowa!“
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło... A wtem jasność przyszła nowa,
I w tém powietrzu jako w dyamencie
Ukazał się wid... Piękność, córka *Słowa*,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy...

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciągłém oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła,
I na powietrze rzucała niedbale
Perły, jaśminy i maki-korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych, niby fala;
Jak atłas, który bierze różne tony,
I drżąc, swe hafty gwiaździste zapala;
Tak niebo za nią od północnéj strony,
Gwiazdy swoimi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać... w ogniu od zorzy rumianym.

XIX.

Więc czego woda Letejska nie mogła,
To ona swojém zrobiła zjawieniem;
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty, i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem...
Opowiem: Ja, Her, powalony grzmotem,
Nagle, gdzieś w puszczy, pod wieśniaczym płotem

XX.

Budzę się. — Straszna nademną kobiéta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita;
„Ja jedna żywa... A ty zamiast truny
„Miałeś mój żywot. Popiołem nakryta
„I zapłodniona przez proch i piołuny
„Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
„Synu popiołów, nazwany *Popielem.*

XXI.

„Sam jeden jesteś, ale cię przymioty
„Ojców napełnią... a ja dam dwa duchy:
„Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
„Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
„Ci dwaj, ty trzeci, i mój głos jak grzmoty
„Pędzący w zemstę.“ To mówiąc pieluchy
Moje chwytała, i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem, jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada;
Gdy spojrzę, liść się tylko zawieruszy,
I w kształt złotego widma wstaje, pada,
Czasem na moją pierś tumanem runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

XXIII.

O! pierwsze mego ducha nawałnice!
Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
W któréj się mój duch niby gołąb kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszczę wejdę, to mię coś tak smęci,
Że radbym własne wyrywał wnętrzności!
Albo u bolów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiazdzic morskich tajemniczéj jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiéj waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali właśni;
Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
Mające w sobie całe Polski *Słowo*,
I moc, i rózgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiem, jako duch pod ziemią widzi,
A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
Żórawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wloką duchy; świat zeń szydzi,
Ale go chłopek czuje królem gadu;
I wie, że na te źrenicy blachmany
Bije świat duchów tęczą malowany.

XXVI.

Te oczy ręką zasłonione bożą
Czasem pod ziemią idą złotą żyłą,
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą,
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą... właśnie... gdy gromada
Urąga... śledząc zamyślone czoło.
Ta mądrość, która cały świat spowiada,
Dawniéj perłową wieńczona jemiołą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar... nie próżna guślarka,
Lecz mądrość — chorób duchowych lekarka.

XXVIII.

Więc wkoło... wioski w wieńce kaliniane
Strojne i Roki poświęcone duchom,
Mogiły kozom i pasterzom znane,
Trzody dziwiące się ptaków rozruchom,
Mogiły dawne! dawno zapomniane!
Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
Z darni odarte.....

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski nakształt złotego upiora
W lasach powstanie... Kiedy rycerz sławny
Umrze... to lud go grzebie jak Hektora:
Dwanaście koni bije i krwią spławny
Stos... gdzieś pod lasem... pod mgłami wieczora,
Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
Zamienia w ogień... i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszcze się jawią w ogniu i guślarze,
Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże
Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
Cześć ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy, wyroki uprzedzając boże,
Dla ciał... nie krzyże mieli... ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał jak sok bachusowy.
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata w koło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskróś przeszyła,
I przeszył ogień zorzy brylantowy...
Gdy wejdziesz w ciemne granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed nimi?
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
Ale jak żóraw skrzydłami ciężkimi
Próbujesz nowéj po błękitach drogi.
Między głazami dawniéj czerwonymi,
Między miesiącem i polnymi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przelatują.

XXXIII.

W takich kościołach, Duch z wysokiém czołem,
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą klątem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni:
Padajcie, głazy! przed ducha aniołem!
Krzyczałem: — jako gromada jeleni
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych... gińcie lub wstajcie!

XXXIV.

I nic! Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zielonością...
Bom przewędrował kraj, który mię rodzi...
Inaczéj z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną...

XXXV.

Ja, syn wyrżniętych ludów... ja, istota
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu...
Gdy obaczyłem jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane:

XXXVI.

Gdym to obaczył — a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobów smętnego słowika),
Która złotemu się téj łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka...
Już tchem... już ogniem była... już bez ciała...
Już mgłą... a jeszcze za światem śpiewała: —

XXXVII.

Gdym to obaczył... tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi... sam nie wiedząc czemu...
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnéj łodzi... bez nikogo....

XXXVIII.

Przerażon w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem...
A głos jéj czasem nie był — ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jéj rady.
(A rada była dla ducha fatalna)
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc, że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm... usiada na czele...
I drogę moją piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być... i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonéj piorun w mózg uderzył.
Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnymi sprzymierzył,
Teraz tak straszny!... że komu Ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył — wnet się wali.

XLI.

I zczerniał cały świat: a Ja, syn borów,
Patrzałem jako na las do wycięcia.
Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym nad gopłową wodą
Byłem najpierwszym złotym wojewodą...

XLII.

Tu patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiéj wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy,
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych... w tak wielkiéj ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Pierze leżało zmokłe... lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku takiéj miary!
Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno... to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity méj purpurę
Dostało — wstając leniwe z moczary:
Niby wyzwany czarodziejstwem runów,
Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV.

Taka w tym skrzydle była tajemnica!
I ludzkość! żem się spytał: — powiedz, sępie,
Czy was na wiatrach paląc błyskawica,
Rzuciła w takie nic... i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?...
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw?... czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

Powiedz, jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych?
Gdzie tyle górnych duchów dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych!
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy, wspaniały!... czas późny!...
Błyskawic blaski wszędy!... wojsko w dali;
Gdzie każdy człowiek był, jak upior, groźny,
Skrzydlaty, w czarnéj rozświeconéj stali.
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: Sława Bohu! świat się wali!
Ja pierwszy moją piersią go roztrącę!
Ja, duch! a za mną wojska latające.

XLVII.

To mówiąc, skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja biorąc skrzydła, za cel brałem sławę;
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomóc do domów... O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły, choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa, i sady, i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli.
Jam wszedł jak Anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się król w odblaskach rubinu,
Spojrzał i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem: jako Łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, Dobroć cicha
Znikła... A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał nakształt mnicha
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna,
Żali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw, i króla w źrenicę nie bodła?...

L.

A on, na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc, (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura)
Pobladł i berłem mię wskazawszy, zwalił.
Wzięto mię. Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednéj błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć;
Niż z domowego ciemnéj krwi rozlewu
Korzystać, mój miecz w łono starca wsunąć,
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał nie bronią, lecz wężem.

LII.

Wzięto mię... a ja w podziemnéj ciemnicy,
Sam, do filarów przykuty kamiennych,
Jako pający, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych,
Snuć długie pasma. Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata!
I taką wielką rządzicielką kości,
Że ciągle echem Duchowego świata
Gadała; ciągle z jego okropności,
Z tych głębin, gdzie ćma niewidzialnych lata
Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepcących... brała straszną siłę sztychu,
I tę jak piorun ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
I goił burze ducha, ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot, a Lech słyszał
I czuł, żem ja go gryzł, do ziemi chylił.
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnéj mocy ducha nie wysilił;
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te, jak sługi moje, były ze mną.

LV.

O! wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza;
Dla was są próżne tych czynów postacie,
Dla innych... ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żałobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu jakaś mara biała...
A tam... kształt jakiś czarny i niepewny...
Ówdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała;
Ujrzałem lice przecudne królewny,
Któréj z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła, zamieniwszy jéj ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg złociste jéj włosy
Wlokły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone jak dwa złote kłosy,
Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni.
Te kwiatki, rzekłbyś, że dwa żywe Losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę, uczepione skrycie
Do nóg idącéj falą Amfitrycie.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojéj przed rysy innymi.
Reszta mgłą. A mgły moje tak ją krwawią,
Żem nie spróbował o niéj śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawią
W oczach pamięci duchy... i z białymi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja gdzieś w głębi, do granitnéj nory
Schowany, niby kłąb piekielnych duchów
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory,
(Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słysząc, że niegdyś rodziła natura
Smoki w płomienie ubrane i w pióra)...

LX.

Ja, pomny na to, żem tronowi służył
A doznał zdrady, choć nie miałem winy,
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył,
Dotknięty okiem królewskiéj dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy, cały siny...
Z takiém sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić jak płomieniem.

LXI.

Biedne my duchy! Zawsze z jednéj schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy!
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty!
Który na słońce idzie w księgach Edy,
I gwiazdy... niebios lazurowych kwiaty...
Ogonem zbiera, w swe czerwone płuca
Wchłania... i z ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny,
A tém straszniejszy, żem był nieszczęśliwy,
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcéj wtenczas jéj, niż wolności chciwy.
Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota? (cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone)
Nie wiem, to wszystko poszło w mgły czerwone.

LXIII.

On jednak, ten duch, nie wiedząc co czyni,
Jedném niebaczném słowem pchnął mię w górę.
Ona — ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś Sybillijnéj skrzyni,
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom), że jéj koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

LXIV.

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła; a ojciec zasmucił
Czoła... i miał już przywołać guślarze
Sny tłómaczące. Gdym ja nagle wrócił —
Skrzydlaty orzeł — i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długimi ustawił,
I sen jak w jasnéj błyskawicy zjawił.

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła, gdy w skrzydła ubrani
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca
W ogniu piorunów. Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca,
Sprawili, że snu na nią malowidła,
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

*

PIEŚŃ II.

1.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki,
Zamek stał cichy na piaskowéj górze:
Zimno północne i traw zapach dziki
I serce smętnie bijące w naturze
Dwa razy mocniéj zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie... i koń był koło mnie.

II.

Na jednym ręku niosła swe warkocze;
A drugą, północ wskazała odludną.
Na to ja rzekłem: na północ nie wkroczę,
Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę,
I będę pędził aż drugą tak cudną
Jak ty pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królowę ognia albo wody!

III.

Jeśli nie... wrócę jak straszydło krwawe.
A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
Cień obalony miesiącem na trawę
Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka.
Miesiąc mu daje tę straszną postawę,
Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka,
A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może na powrót grom go tu przypędzi.

IV.

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
A tém wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny.
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świeciła..., szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące, jak morze.

V.

Dyanna, jak liść wierzby — już zielona,
Już jako róży liść różano-złota,
W ognistych się mgieł zanurzała łona,
Zmienna, jak w sercu młodzieńczém tęsknota,
A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
Więcéj przed myślą moją, niż przed strażą.

VI.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
Jak upior złoty, a we krwi umyty,
Złotem cię dziwu wabił ku zdobyczy,
A krwią ohydzał wszelki czar zdobyty,
Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go ucisnął; a tarczy błyśnieniem
Takiś wywołał strach jak objawieniem.

VII.

Po ciemnych puszczach gdziem się błąkał — gnana
Wichrami straszna przyszłości orlica!
Kto mię napotkał, myślał że szatana!
Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica,
Zbroję i skrzydła i młot u kolana
I dzidę, która gorzała jak świéca
Między sosnami, samych niebios blisko,
Miedziane mając ostrze, jak ogniskò.

VIII.

Na jednym pustym śród sosen cmętarzu
Spotkałem smętne i dzikie Germany...
O! duchu! dawnéj przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
A na nich orły wydarte legionom,
Podobne lampom złotym i koronom.

IX.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie;
Kto ci przyczynił głosu i języka?
Liczni, krzyknąłem, jak gwiazdy na niebie!
Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
Ja, syn popiołów, ojciec mogilnika!
Urra ha!... Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. Wszystko wstało!...

X.

Wszystko!... Dziesiątki całe groźnych kroci
Wstały gotowe na rzeź uraganną...
Wszystko!... Na boku tylko śród paproci
Białością swoją mnie zadziwił szklanną
Kształt jakiś, śpiący, cudownéj dobroci
I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posąg... w jutrzenki światłach jak w płomieniu...

XI.

Rzekłem więc: Czy to jaka jest królowa
Wyrżniętych ludów? nieskalanéj bieli?
Którą tu smętnie czarujące słowa
Na fiołkowéj uśpiły pościeli?...
Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
Jak lampa, która ciemność rozweseli,
Skoczyła... chwilę na błękicie trwając,
Jak gwiazda... potem błysnęła spadając...

XII.

A ja, zawrzawszy gniewem... i brzeszczota
Dobywszy... tego barbarzyńca w czoło
Tnę tak, że jako grenada się złota
Rozwalił ów łeb... tu połą... tam połą...
A ja ów zegar widzący żywota
Z tajemnicami, żył czerwonych zioło,
Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy,
Porównywałem dwie głów, jak dwa duchy.

XIII.

Ledwom uczynił to... nowe mi moce,
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc... tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem;
Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

XIV.

Dziś tam głęboki sen w téj puszczy lata!
A może jeszcze posąg biały leży!
A może jaka nadistrowa chata
Mówi powiastkę moją... i nie wierzy!...
Ani wie, jako na zniszczenie świata
Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy?
I obaczywszy mnie jak burzę ciemną...
Duchy gwiażdżące zawiesił nademną.

XV.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów miliony?
Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnéj strony...
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam
Czynić, a one na pomoc przywołam.

XVI.

Z barbarzyńcami... sam... na uroczyskach...
Człowiek... Duch... pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda;
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą... jak pianie kurów u Piłata...

XVII.

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją...
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny;
Przedrannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcéj wychodzi gwiazd na błękit siny...
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzeć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

XVIII.

Jam to czuł, mimo, że krew moja biła
Jak piorun w żyły, że hełm od niéj dzwonił;
Kita się ogniem czerwonym paliła,
A młot skry takie jak miesiące ronił;
Koń gadał... dzida rosła... szabla żyła...
Wiatry dawały rady... obłok bronił....
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze...
O dobrym złote żórawiane klucze.

XIX.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany
Wpadłem na ziemię moję nieszczęśliwą;
Lech nie żył; a lud jego zabijany
W królewnę patrzał, jako w gwiazdę żywą...
Ona też pancerz złoty malowany
Kwiaty różnymi, jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie
Podobna białéj Anhelicy — sławie.

XX.

Koło niéj ciągły tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
Ilekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą:
A nic, gdy biją... straszniejsi, gdy jęczą.

XXI.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków...
Gdy te Ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków.
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysiączników,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę.

XXII.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
Siedząc na prostéj powózce Germanów,
Rzekłem: niech pierwéj dziewczęta rozplotą
Warkocze... córki najpierwszych Supanów,
Niech sama Wanda płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina... Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą.

XXIII.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnéj księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
I nasze dzikie dusze pozachwyca!
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanymi:
Co chce!? niebiosa całe — i pół ziemi...?!

XXIV.

Z tém stary Swityn i Czerczak posłowie
Odeszli. A mnie jéj postać, wprzód senna,
Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie,
I coraz bardziéj jawić się płomienna.
Więc potem, kiedy ległem na węzgłowie,
Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie
Jak duch tęczami różnymi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty...
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI.

Słysząc te głosy, z którymi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
Obracająca powietrznym chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc... przywiodła duch, że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń, jak zwaryowany.

XXVII.

Jeszcze noc była, a ja hełm na głowę
Włożywszy, wsiadłem na koń, pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
I zamek, wieży sterczący kawałem
Nad Wisłą, gdzie lud tę swoję królowę
Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy, w róg mosiężny dzwonię,
Grzmię, aż mi wszystkie oderżały konie.

XXVIII.

Wychodzi siwy Swityn Wojewoda,
Ze snu czerwone przeciera źrenice.
Idź, rzekłem, bo mi słów wczorajszych szkoda,
Za nadto ostre pokazałem lice;
Niech mi krolowa wasza, jasna, młoda
Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona:
Pieśń mi zaśpiewać, paść w moje ramiona.

XXIX.

Nic nie rzekł Swityn, lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.
Rybacy srebrne trzymali niewody;
Kilka świec (choć już ranek błyszczał biały)
Nieśli kapłani, z lutniami Rapsody
Siedli na zrębie jednéj małéj skały
Pod bladą wierzbą, mgłą ranną okryci.
Na wzgórzach w zmroku zapalano wici.

XXX.

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Dyadematów złotych półmiesiące;
Inne, bławatki do wieńca potrzebne
Zbierały w trawach, kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
Lecz ileż razy różaność przedwschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki budzące się do dnia,
I tęcze, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia
Przypominały obraz on tak rzewny!...
Ubranie martwéj na łąkach królewny.

XXXII.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą pozłotę słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni,
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
Pełny, okrągły, blady się przemienia
W mgłę... jak cudowna twarz srebrnego cienia...

XXXIII.

Taka jéj bladość! nieco ku błękitom
Nachylona już zgonu okropnością,
Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
Z upiorną niby odśmiechnione złością.
Zresztą, spokojnie się onym kobiétom
Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu —
A strach powiększał trupa w oczach gminu...

XXXIV.

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
I połamawszy miecza, w błyskawicę
Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nademną ducha mrok i złote świéce
Miecza nad kitą moją purpurową
Jak zawierucha olimpijska, wstały —
Mój duch na hełmie stanął... w ogniach cały.

XXXV.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy,
Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
I szli jak morze huczące zdaleka.
Stos wystawiłem okropny, książęcy!
Taki wysoki, że wiślana rzeka
Na bladych trupów zatrzymana murze
Stanęła — cała jak upior w purpurze.

XXXVI.

Lecz pierwéj nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!
„O! włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
W ogniu z wiślanych oschnąć dyamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
W gmachy filarów pełne i zakrętów,
W alabastrowéj cię położę trumnie,
Każę strzedz wieków śpiewaczce — kolumnie.

XXXVII.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem
Cicho na białych atłasach położę;
Sam przyjdę, jak lew legnę, i wzdychaniem
Śmiertelném twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz w tych podziemnych cieniach
Coś czytająca wiecznie na kamieniach?

XXXVIII.

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho;
Ja, rycerz, jako śpiąca nawałnica
Z otwartą, szklanną źrenicą i suchą;
A ty, jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Że pieśń z tysiąca lat... chwilę... uczyni!“

XXXIX.

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiazdzicach z mieczy,
Upoić krwawym rycerskim sztandarem!
I z onéj ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

XL.

Tam ją, krzyczałem, gdzieś na lodowiskach
Złożę, jako kwiat ujęty w krysztale!
I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale,
A sam z dzikimi orły na urwiskach
Dzikszy niż burze! straszniejszy niż fale!
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć! i ogniom pochłonąć!

XLI.

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą.
Potem więc Roki się zabrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał.
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XLII.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnéj a nie dla spowiedzi?
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.

XLIII.

A nie Bóg nad tą żywota fortecą
Zgwałconą twarzy pokaże, to przecie
Komety złote na niebie przylecą
I bliżéj oblicz ukażą na świecie,
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
Jak widma, jedno, i drugie, i trzecie...
Jeśli nie zlęknę się a krew mię splami...
Kto wie!?... jak słońca przyjdą tysiącami!

XLIV.

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych! może z krwawymi oczyma!
A tu koło mnie powietrze cmentarzy
I ciągła burza, wiatr, ognie i zima,
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy,
Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma,
Gwiazda zajęczy jaka lub zaszczeka?
Wszystko pokaże, że dba o człowieka!...

XLV.

Jeśli nie, rzekłem, jeśli z tym motłochem
Postąpię sobie jak król zwaryowany?
A żywot jak wąż schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnéj rany?
To ludzie są proch! i ja jestem prochem
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy, że go własne siły
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

XLVI.

Zaledwie ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją jasny i suchy,
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach czy są duchy?
Więc naprzód Czerczak u nóg mi nikczemnie
Proszący o łeb, pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj prorocy,
Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

XLVII.

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem niby z nim będące w zmowach.
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi
Idących na śmierć z świecami w okowach.
A niebios! niebios błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche, obojętne!
Mnie się wszelako zdawało, że smętne!

XLVIII.

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze;
Albo, że ze ścian ogniem zapisanych
Wyjdą pająki z ognia... straszne tkacze!
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą
I wyrok jakiś ognisty napiszą!

XLIX.

Myślałem, że me noce niespokojne,
A dnie, jak noce bez gwiazd będą czarne,
W ciemnościach jęki, albo chrzęsty zbrojne,
Tchnienia na czoło chłodne, albo parne! —
I nic!... ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z bożą wzgardą.

L.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło z czasów onych,
Gdy stepy całe dziś w mogiłach widne
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych...
Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa,
A jam był senny jak wąż, gdy poziewa.

LI.

Czasami z góry na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię, i tak jako owce
Najpierwsze państwa Karacze, Supany
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce.
A ja, bywało, z góry jak sęp dziki
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore... dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono,
Ani się serce strachem zakołysze...
Jako Lucyfer z błyskotną koroną
Stoję... a zbrodni mojéj towarzysze
Na większą niż te wszystkie okropności
Patrzą — na mą twarz śmiertelnéj bladości.

LIII.

Dziwią się wszyscy, że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam;
Nie wiedzą, że ja, duch natchniety, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych, i znów za miecz chwytam
I znowu cały świat na siebie wściekam!
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciał długość przedłużył...
Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
Póki kruszyłem duchom łódź i wiosło...

LV.

Poszedłem daléj... i w męki wyborze
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć.
Matkę mi z lasu stawiono na dworze...
A ja zamiast się u nóg jéj położyć,
U téj w łachmanach podartéj orlicy,
Ciała użyłem za knot smolnéj swiécy...

LVI.

Rzekłem ludowi, że mnie czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła.
Z włosem palącym się jak ptak latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuła
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła;
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnéj chorobie.

LVII.

Raz tylko byłem tak na niebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
A byłem cały jako trup zczerniały,
Który stoletnią miał w ziemi trumnicę,
A już robaki z niéj pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
I czerwonymi przerażone łzami
Trupa... i kości spruchniałych ogniami.

LVIII.

Lecz co dziwniejsza, że tak pruchniejący!
Taki upadły! i taki zużyty!
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity
Tę ziemię jako anioł wzlatujący
Z pieśnią... co była jako szklanne zgrzyty
Harmonik i szła w ton coraz boleśniéj,
Aż upadała w śmiech, w szaleństwo pieśni!...

LIX.

Gdy mię, bywało, taki czar omami
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko pjana toczy się ze łzami,
A usta milczą, to mój duch omamion,
Wszystkimi zda się kręci księżycami,
A gwiazdy nakształt muzykalnych znamion
Chwyta i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie *Pieśń Sen*, lecz *Pieśń Mocarza*.

LX.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały,
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły... pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów... i zamknął napełnioną grzmotem.

LXI.

A tymczasem mię wielki Pan niebieski
Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
Grzmiały jak trumny. O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy,
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII.

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, żem blady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawéj kadzi,
W któréj pływają gniazdem wężo-gady;
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi,
(Purpurowe tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj, gdzie się wszelka dusza wściekła
Na króla duchów czerwonych — do piekła.

LXIII.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie.
Gdym wyszedł... lud giął przedemną kolano,
Lud owiec, który się k pasterzom garnie!
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie!
I między nimi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

LXIV.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
Powieki nożem zdają się rozcięte;
A przez czerwoną rubinową korę
Patrzy duch, widmo przeszłości przeklęte!
Przez jakież, Panie! męki i pokorę,
Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte
Musiałem ścierać strach z mojego czoła?
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?

LXV.

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce,
I meteorów ogniska i burze,
I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę,
I chciał zobaczyć, sługa, komu służę?
Żem chciał zobaczyć, Panie! Twoje lice,
Cztery pioruny Twoje, świata stróże...
Wszystkie potęgi Twoje o świat drżące,
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące.

LXVI.

Tyś mną pogardził, Panie! i ominął,
I do straszliwéj śmierci doprowadził.
Swityn żył jeszcze. Starzec sławą słynął,
Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Granicę mego królestwa rozwinął,
Na dwu srebrzystych morzach mię posadził;
Stary, a miecza do pochwy nie chował.
Jam go jak ojca kochał — i szanował...

LXVII.

Pamiętam, biła północna godzina,
I konstelacya łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdziem był, leciała jedyna,
Sufitów próżnych lampa śród ciemnoty;
Wtem myśl ohydna o śmierci Swityna
W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą, żem wnet ku niéj dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niéj...

LXVIII.

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
Już jako pani mego serca była.
Sprobuj, wołała — jeżeli ten skona.
A żadna zorza by nie zaświeciła?
A żadna gwiazda z tych gwiazd przerażona
Nie przyleciała? krwi się nie napiła?
To wtenczas będziesz spokojny o ducha:
Ziemia proch! człek z niéj jak wulkan wybucha.

LXIX.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach
I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
Za myślą twoją idź, nie myśl o czynach!
Probuj, czy niebo martwe jest czy żywe?
Tak mi ktoś szeptał. Gdyby w stu Switynach
Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzały na mnie z grobu jego wzrokiem,
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX.

Wysłałem katy; lecz myśl, gdy się kwieci,
W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.
Posłałem drugie... dwór, żonę i dzieci
Wyciąć. Był ciemny dzień i grad z ulewą.
Czasami słońce ponuro zaświeci,
I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze,
Bom stał, czekając tych katów — na wietrze.

LXXI.

U progu mego żebractwo się szare
Skupiło. Patrzą... król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę
Jęczącą gradem bijącym po zbroi.
Wtem wyszło do mnie suche widmo stare —
Żebrak... i blisko stanąwszy podwoi,
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościał... i podał mi list od Swityna...

*

PIEŚŃ III.

I.

Na dworach wówczas nasze wojewody
Trzymali sobie nadwornych gęślarzy,
Ci byli jako rycerstwa Rapsody,
Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze srebrne, długie brody
Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral lub w srebro lub w bursztyn oprawne.

II.

W ręku trzymali niby pastorały
Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Tymi — bywało — chłopczyków chorały
Pędzą... i wiodą takt przez harmonije;
A kiedy w górę kij podniosą biały...,
Wtenczas z choralnéj pieśni piorun bije;
A kiedy spuszczą na dół berło dziada,
To na kolana pieśń jak anioł spada.

III.

O takim kiju, z lireczką u pasa
Stał stary Rapsod Swityna u proga.
Na płaszczu, pomnę, była różna krasa
I łaty różne; zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
I różne światła płoną... Jego noga
Bosa, dziś świeci przed mymi oczyma,
W obwiązkach, srebrna, jak muszla pielgrzyma.

IV.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą
Podróżny żuraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrno-włosą,
Stał w płaszczu starym, jak w błękitnéj chmurze,
I list podawał... Iryda za kosą
Wlokąca tęczę, gwiaździce i róże
Nie jest mi piękną tak... gdy z niebios spada...
Jak to wspomnienie dawne — tego dziada!

V.

O! złote serce śpiewaka i sługi
Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana!
Miej grób! którego nierozorzą pługi,
Do zaklętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi
(Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana)
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiewaj! — a liry też czasem pokręcaj!

VI.

Niech mi przypomni czary tobie znane
I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
Rzędem, jak dźwięku anioły w organie;
A przebacz mi już tę okropną ranę
I to straszliwe nóg przyćwiekowanie
Któreć odjęło (to coć najboleśniéj!)
Twój najpiękniejszy czar — wędrowność pieśni!

VII.

On mi podawał list,... a ja na nodze
Jego oparłem miecz żelazny, krzywy,
I czułem, że mu między kości wchodzę:
A on stał — jak Bóg wielki — bo cierpliwy!
Mieczem przygwożdżon w kamiennéj podłodze
Którą czerwienił krwawy koral żywy...
Stał... obwinięty ów żebrak w błękicie...
I tak się na mnie patrzał, jak na dziécię.

VIII.

A ja nie zdjąwszy miecza z jego rany,
Owszem głębiéj go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
Paliły mi mózg i gryzły wnętrznoście.
Ten list! na sercu mojém zapisany,
Nad wszystkie ducha mego okropnoście
Głębiéj swe straszne zarzuty wykował!
Bo mną ten człowiek gardził — choć miłował...

IX.

Kacie ojczyzny mojej! i tyranie!
Mój królu wczora! (pisał Switvn stary)
Na dobrowolne poszedłem wygnanie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary...
Ty mię wyganiasz? a ja, o mój Panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie, sam znikam bez wieści...
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści...

X.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój; chętnie w ręce twoje złożył
Tę głowę ściętą ale uśmiechnioną,
Któréj Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono
I nad kościami ludzi się nie srożył,
Gardząc miłości ostatniém spojrzeniem,
Mszcząc się nad kością, jak pies nad kamieniem.

XI.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie... Twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak jak pochodnia świecąca w wilgoci,
Cały oświecon ogniami i parą.
Tyś mię sam ostrzegł!... a to nie z dobroci,
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słychać ciebie... i czuć... choć z daleka...
Kiedy pomyślisz... o śmierci człowieka...

XII.

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega:
On najprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega,
Gdy twoje ciało śpi... a ząb twój zgrzyta.
Duch twój wychodzi i po kraju biega
I targa włosy... jęczy jak kobiéta...
Ty zmordowany jego lamentami
Wstajesz, nie wiedząc, żeś płakał nad nami...

XIII.

Jakiś cię anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe,
Lud rozhartował... a ciebie skamienił,
I kazał ludy orać jako niwę...
Abyś co?... wiatry wiejące spłomienił
Duchami, które wyszły z ciał... a żywe
Wkrótce w anielskiéj zjawią się ozdobie...
Jak wiatr na ciebie! — i przeciwko tobie!...

XIV.

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze...
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem... który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie! na wylądzie
Brzegu, o który grzmi ogniste morze
Krwią twoją jasne i zafarbowane!
Czekam!... z tym listem przeciw Tobie stanę!...

XV.

Tu ci nie błyśnie więcéj moje lice,
Choć niedaleko lecę... żóraw szary.
Pobytu mego mają tajemnicę
Ja tylko, mój koń, mój Rapsod stary.
Prędzéj byś zgonił letnią błyskawicę
Niż mego konia... Człowieka zaś wiary
(Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszą) spróbuj królu, masz go w ręku!

XVI.

Taki był straszny starego Swityna
List... ja w nim groźbę jęczącą słyszałem,
I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko... a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina
Z całą wściekłością! z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć!
Wszystko!... a złamać harfiarza — lub skruszyć!

XVII.

Stary był... pomnę... Zoryan się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał,
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał — ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiéj lireczki:
Głaskał ją tylko (wyjaśniwszy lice),
Niby zlęknioną, białą gołębicę.

XVIII.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
„Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką!
„Ani się lękaj cielesnego zboja!...
„Nie bój się, moja maleńka lirenko,
„Nie bój się, siostro! nie bój, córko moja!...
„A na toż by to nasza mądrość była,
„Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX.

„Przyjmowano cię po domach i chatach,
„Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
„Bądźże dziś wdzięczna... a nie płacz przy katach,
„Bo się ucieszą i ton twój pochwycą.
„Czekaj... wstaniemy oboje po latach,
„Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą!...
„Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
„Harfiarzy, co jak anioły śpiewają!

XX.

„Czekajże, liro!... śpij!... Błogosławiona
„Ta błyskawica jasna i rumiana!“
Tu wzięty w złote, ogniste ramiona
Zniknął... A mój duch uczuł wtenczas Pana.
Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana...
Pierś, która wiatru w się więcéj nie bierze,
Ostrzegły... że już do piekła należę...

XXI.

Dysząc, na konia siadłem... od popiołów
Które pożarły pieśń obsypan... w szale.
A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła... w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzony.... za mną w Wisły fale
Rzucił się, gotów mordować do końca,
Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII.

Ja przodem. — W czerep czarny, ołowiany
Ukrywszy głowę moją jak w kapturze,
Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany, (w chmurze
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień)
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze...
Że trupy swoje wyrzezane chował.
Duch mój przedemną tam był — i mordował.

XXIII.

I przestraszyłem się — bo mi z pamięci
Wczora wydane rozkazy wypadły.
Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali bladymi przedemną widziadły;
Jam wrzeszczał: kto tu prędzéj niż me chęci,
Niż myśli moje? kto srożéj zajadły
Na krew Swityna niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił jak Bóg — myśli moje?

XXIV.

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia niema takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
Ta wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
Te sionki z cedru... które głosem ruszę...
A one pełne ech, jęków i krzyków,
Swityna głosem brzmią na każdém piętrze
Jakby starego instrumentu wnętrze.

XXV.

Ja jeden... który do szaleństwa skłonność
Mam... wpadłem tutaj o jutrzenki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
Ani pieśń rodu śpiewana w sufitach,
Ani mię zemsty nieudolnéj płonność,
Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach
Nie zatrzymali... Nic nie ma na niebie!
Ja sam jak Bóg będę sądził siebie!

XXVI.

To mówiąc kostur wraziłem okuty
W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was, zbrodni wykonawców....
Tu zamek cały błysnął nakształt huty
Ognisk czerwienią... A ja tych bladawców
Zbrodniami bladych otoczony wieńcem,
Siadłem — trup jasny pijaka rumieńcem.

XXVII.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie.
Swityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały zbrodnie...
Widma... w płaszczach z krwi, z zielonymi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne... a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

XXVIII.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
Panie! Ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore...
Jam zbladł: i kostur wyrwawszy ze ściany,
(Sądząc, że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka)
Na wskróś przeszyłem w pierś tego człowieka.

XXIX.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy,
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednéj, ogromnéj gwiaździcy...
Ta jako wielki miecz z pochew dobyty
Karbunkuł miała czerwony w głowicy;
A ten się błyskał i mienił na zarzy
Jak oko w ducha niewidzialnéj twarzy.

XXX.

Wtenczas... w téj gwieździe oczyma usiadłem,
I mocowałem się z nią jak z szatanem:
Truciznami ją serdecznymi jadłem,
Trawiłem jadów duchowych gryszpanem.
Więc czasem ona... a czasem ja bladłem.
Ażem nareszcie padł... jedném kolanem
Przyklękły... dysząc... przejasnymi świty
Jak rycerz w szrankach dzidą w pierś przebity.

XXXI.

I obaczyłem w gwiaździe niby znamię
Ognistsze... powiek mgnięcie i błysk oka:
Wtenczas uczułem, że mi ducha łamie
Na wieki jakaś moc straszna, głęboka.
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: Przyszła z moim zgonem

XXXII.

Kometa. I tu, coraz bardziéj blady,
I mieszając się już, rzekłem ponuro:
Świat zwyciężyłem! i oto są ślady,
Żem duch mający moc nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady,
Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

XXXIII.

Idźcie... Już więcéj nie jesteście sługi
Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią... i nad jéj strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią i tém się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał!

XXXIV.

Co do mnie, jam jest bicz okropny, boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłoście... jak psy spuszczone z obroży!
Żądze, jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi i wszechcierpienie!

XXXV.

Duch mój odpowie. Lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
I w pieśni długiéj wędrownego dziada,
Żem żył. Chwasty mi porosną na grobie.
Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

XXXVI.

Ale po latach! Chciałem mówić więcéj,
Wtem się zaczęła kości targanina.
Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
Szkło iskier... topniał na mnie drut i cyna.
Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły czarną,
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII.

Nic więcéj. Straszne zaćmienie i głusza!
Na sercu ręki bożéj położenie;
Docisk ostatni, pod którym się dusza
Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie.
Więc jako robak, co się w ogniu rusza,
Tak ona, póki w ustach było tchnienie,
Leżała na dnie swéj serdecznéj plamy,
Aż Bóg otworzył jéj — wieczności bramy.

XXXVIII.

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów,
Którzy nie doszli w czém była istota
Czynów? w czém wyższość od rzymskich herodów?
Nademną była myśl słoneczna, złota,
Do niéj moc ciemnych okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi.
Jam szedł jak rycerz krwawo — i bez trwogi.

XXXIX.

Życie dźwięczało w każdéj ducha strunie,
Moc słychać było w każdym moim kroku;
Choć być na takiéj drodze? lepiéj w trunie!
Choć z myślą taką? lepiéj z włócznią w boku!
Prędzéj, czy późniéj? deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku;
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny boże jeszcze biją...

XL.

Ale przezemnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przezemnie dostała;
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból — skała...
Falą ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ja wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!

XLI.

Śpijże, mój kształcie pierwszy, z ducha zdjęty,
Świecący w dali jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Klątwa na ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszéj natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane.

XLII.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I daléj szedłem; a jużem był boży.
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem.
Duch, ukazany w pierwszéj świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

1846. ✻

DRAMATY.

MINDOWE

KRÓL LITEWSKI,

OBRAZ HISTORYCZNY

W

PIĘCIU AKTACH

Osoby.

MINDOWE, król litewski.
ROGNEDA, matka Mindowy, ociemniała.
HEJDENRICH, krzyżak, Legat papieski.
DOWMUNT, Książę Znalszawski.
ALDONA, żona Dowmunta.
TROJNAT, synowiec Mindowy.
HERMAN, krzyżak.
WOJSIEŁKO, mnich, syn Mindowy.
LUTUWER.
KRZYŻAK.
MNICH 1szy.
Litwini. Krzyżacy, Paziowie, orszak Mnichów.

Scena w Zamku Nowogrodzkim.

Akt I.

SCENA I.

Sala w zamku Mindowy.

TROJNAT, HERMAN, PAZIOWIE niosą kobierce.

HERMAN, do Paziów.

Rozścielcie tu kobierce, papież je przysyła
Dla króla poganina, co dzisiaj chrzest bierze.
Święta korona skronie pogańskie okryła,
Niech więc czci wiarę, niechaj jéj świętości strzeże,
Niech poważa Krzyżaków święcone klasztory.

TROJNAT.

Jakże cudnie utkane zamorskie bisiory!
Po takich łąkach nieraz śledzę sarny tropy.
Niemcy musieli pokraść z naszych dolin kwiaty,
Wstąpię na nie, woń może wydadzą z pod stopy.

HERMAN, wstrzymując go.

Wybacz, Książę Trojnacie, nie masz chrzestnéj szaty,
Nie możesz po nich stąpać, z Rzymu je przywożę.

TROJNAT.

A kiedy będę królem, będę mógł?

HERMAN.

Ha! może?
Jeśli razem zostaniesz i kościoła synem.

TROJNAT.

A kiedy będę królem nie-chrześcianinem?

HERMAN.

Marzysz, Książę!

TROJNAT.

Ty marzysz! jam dziedzic korony.
Kto wie, czy będę czekał, aż losu koleją
Spadnie na mnie dziedzictwo?

HERMAN.

Łudzisz się nadzieją,
Płonną nadzieją... Słyszysz chrześciańskie dzwony!
Słyszysz? chrześciańskimi przemawiają słowy.
Umilkły wasze bory, ustały drzew szumy,
I ludzie milczeć będą i uchylą głowy.
Słyszysz te dzwony! teraz zbądź niewczesnéj dumy.
Zbladłeś?

TROJNAT.

O nie! myślałałem — że dzwony usłyszę
Na pogrzebie Mindowy.

HERMAN.

Przy dzwonów odgłosie
Może ciebie w grób włożą?

TROJNAT.

Ja — spłonę na stosie!
Mnie modrzew cichym szumem do snu ukołysze.
Jeszcze usiądzie sokół na martwém ramieniu,
Nastrzępi pióra — chartów zaskowycze sfora.
Ani mię ciasna ziemi uwięzi zapora,
Ja z pieśnią Wajdeloty ulecę w płomieniu:
Ulecę — może raczéj z jaką Niemca duszą.

HERMAN.

Nie słyszę twojéj mowy, bo ją dzwony głuszą.

TROJNAT.

Wykręt krzyżacki — słyszał!

HERMAN.

Już wydane hasła,
Śpieszę chrzcić króla Litwy.

TROJNAT.

Tyś zawsze gotowy
Chrzcić i grzebać ochrzczonych — idź na chrzest Mindowy,

Zapal tam świecę — zapal — i strzeż by nie zgasła,
Nim się dopali, pójdziesz za Mindowy trumną,
Oszczędzisz sobie trudu.

HERMAN.

O książe Trojnacie!
Nadto słabą masz rękę, duszę nadto dumną;
Do czegoż próżne groźby...

TROJNAT.

Czyliż wy mniemacie,
Że trudno zabić stryja? Ochrzcić trudniéj było,
A wyście go ochrzcili. Byłem królem we śnie,
A o chrzcie nigdy mi się nawet i nie śniło.

HERMAN.

Jeżeli tak? zamiary odkrywasz zawcześnie.
We mgle ukryta zemsta, posępna i cicha
Jest stałością rycerza; jawna — dumą dziecka.

TROJNAT.

Gdzież więcéj dumy jako pod tą zbroją mnicha!
Jak waż się kryje podła, nikczemna, zdradziecka,
Sam cel często łożonych trudów nie opłaci.
Patrz! Braciszek zakonu, najpodlejszy z braci,
Ostatni, wśród posępnéj wychowany celi,
Nędzny — na granitowéj zasypia pościeli,
Lub, o nędzo człowieka! w trumnie odpoczywa.
I tam uśpiony, dumę zdradza przez sen, słowy,
Rządzi klasztorem, z dumnéj przełożonych głowy
Brylantami błyszczący znak godności zrywa,
I sam się stroi — patrzaj! a ten przełożony
Już marzy o czerwonym na głowę birecie;
A ten, co biret posiadł — przez sen już ma trony,
Trony papieskie — Papież? — Papież starzec — dziécię —
Dziecię przy królu Litwy, nie straszny nikomu.

HERMAN.

Wielki nasz Papież usiadł gdzieś w italskim domu,
Z drżąca starości dłonią, z osiwiałą głową.
Wielki! — niechaj wyrzeknie jedno ciche słowo,
Którego brzmieniem ledwo zabrzmią echa sali,

Od dźwięku tego słowa mnogi tron się wali:
Spadają króle, berła wypuszczają z dłoni,
Lub chwieją się jak wieże, gdy Bóg wstrząsa ziemię;
Ale gdy twarz łagodną przed ludem odsłoni,
Chrześcian mnogie na twarz pada przed nim plemię,
Drżące błogosławieństwo starca się rozlega
Od wzniosłych wież Solimy do Baltyku brzega.
Książę! będziesz przytomny przy chrzestnym obrzędzie?

TROJNAT.

Nie jestem wam potrzebny.

HERMAN.

Żegnam cię.

Odchodzi z orszakiem paziów.

TROJNAT sam.

Więc wszędzie!
Wszędzie mnichów spotykam! ale przyjdzie pora —
Przyjdzie — on zginąć musi — z nim Niemcy wyginą.
Mindowe, pierwszy z książąt, Niemcom groził wczora,
Dziś tron otoczył zdradną krzyżaków drużyną.
Lecz ten sztylet — w nim Litwa pokłada nadzieję;
Zemną jest lud, kapłani, Dowmunt, mąż Aldony.
Dowmunt, gdy na się zbroję krzyżacką przywdzieje,
Przyjdzie szukać wydartéj przez Mindowę żony;
I mścić się będzie — dla mnie wolny tron zostanie.

Patrząc w głąb.

Oto matka Mindowy ciemna, obłąkana.

Rogneda wchodzi chwiejącym się krokiem, rękami naprzód wyciągniętymi szukając drogi.

Rognedo! przyjm od twego wnuka powitanie.

ROGNEDA.

Wnuka? ja nie mam wnuka — nie mam syna — zrana
Miałam syna i wnuka — już syna grób kryje.

TROJNAT.

Rognedo, ty masz syna! syn twój żyje.

ROGNEDA.

Żyje!
Syn mój żyje — ze wzrokiem pamięć utraciłam.

Kiedyś patrzałam na świat, wtenczas i ja żyłam,
A teraz noc tak ciemna! Boże Litwy! Boże!

Siada z obłąkaniem starości.

Anno! daj mi przędziwo, oto zeszło zorze:
Dziewczęta, wy do pracy — miły szmer wrzeciona

Usiłując śpiewać.

Śpij, moje dziécię! matka przy tobie,
Na twojéj głowie korona.
Śpij, moje dziécię! śpij, moje dziécię!

Po chwili.

On żyje i ja żyję — ale moje życie
Bliskie! bliskie już grobu — i on zaśnie w grobie.
Nie ujrzę go przed śmiercią — śmierć prędko się zbliża.
Czy go widziałeś? jak on wygląda?...

TROJNAT.

Mindowe?
Krzyż ma na piersiach.

ROGNEDA.

Nigdy nie widziałam krzyża,
Jak on straszny być musi...

TROJNAT.

Krzyże brylantowe
Są darami papieża.

ROGNEDA, podnosząc się ze zgrozą.

Papież! Papież!

Pada na krzesło.

TROJNAT.

Kona.

ROGNEDA po chwili.

Anno! staw kołowrótek, podaj mi wrzeciona.
Papież? kto tu wspominał Papieża? — to echo,
Echo mojéj pamięci, rani mię boleśnie.
Dwóch miałam synów: tamten był moją pociechą;
Twój ojciec, drugi, marzę — ja marzę jak we śnie,
Drugi, gdzież jest syn drugi?

Podczas ostatnich słów wchodzą na scenę: MINDOWE w białéj chrzestnéj szacie, z koroną na głowie. HEJDENRICH w ubiorze legata, z pod komży przezroczystéj przebija się zbroja. HERMAN niesie krzyż złoty przed legatem. DOWMUNT w krzyżackiéj zbroi z zapuszczoną przyłbicą, na któréj jest godłem róża, na węzgłowiu również niesie złotą różę i opodal od tłumu opiera się o jeden z filarów. LUTUWER.

Czuję krew koło mnie,
Mindowe jest tu blisko... Przybliż się, Mindowe!
Pewnie z nowéj wyprawy wieziesz łupy nowe?
Pewnie teraz twa sława zabrzmi wiekopomnie?
Słyszę, jak lud okrzykiem uwielbia twe czyny,
Czy wracasz z ciemnéj Żmudzi? z po nad brzegów Dźwiny?
Czy ukorzyłeś Niemców zakon świętokradzki?
Czy Ruś drżała przed tobą? czy drżał król Kipczacki?
Czy z mnogim wracasz łupem? z mnogimi dostatki?
Powiedz, cieszyć się będę i ze łzami matki
Będę ci błogosławić, przybliż się, mój synu.

MINDOWE.

Matko! co te szydercze słowa mają znaczyć?
Na ubłaganie bogów dam kubeł bursztynu,
Dam dwa, jeśli za jeden nie zechcą przebaczyć.

ROGNEDA.

On bluźni! jam słyszała — on bluźni!... O książę!
Nie mogę równie pojąć, co znaczy ta mowa,
Z ust twoich płyną dzisiaj niezwyczajne słowa;
Lecz jeszcze miłość matki do ciebie mnie wiąże,
Zbliż się, z błogosławieństwem dłoń ma na cię spadnie.
Cóż to? ty mnie unikasz jako zgryzot mary;
Czy bez wszystkiego możesz obejść się tak snadnie,
Jak bez błogosławieństwa matki — i bez wiary?

MINDOWE.

Nie, są rzeczy, bez których obejść mi się trudno,
A wszakże się obchodzę, potrzebą naglony.
Tak z niejedną dzierżawą rozstałem się ludną,
Oddałem Haliczanom brylant méj korony,
Ów Słonim, co wśród smugów wznosi się pod niebo,
I wołkowyskie moje rozległe dzierżawy.
Rognedo! trudno mi się obejść i bez sławy,
Jednak sławie ująłem, naglony potrzebą.

Jestem królem, lud wielbi — szydzą wojownicy,
I straszniejszy dla Niemców był połysk przyłbicy,
Niżeli ta korona, która tylko świeci
Blaskiem marnym dla niewiast i gminu i dzieci.
Ale cierpmy do czasu, taka losu wola,
Trudno, nawet Mindowie, z losem działać sprzecznie.
Matko! czyliż mnie będziesz nienawidzić wiecznie?
Matko! czyż ci nie miło widzieć w synu króla?
Oto przed tobą czoło wieńczone uginam,
Błogosław mnie więc, matko! błogosław!

ROGNEDA wyciągając nad nim rękę.

Przeklinam!

HEJDENRICH.

Nikt nie odpowie Amen.

ROGNEDA.

Mindowe! Mindowe!
Posłuchaj mnie, słuchajcie wy, mnichy krzyżowe.
Przekleństwo wam! przekleństwo krzyżackiéj obłudzie,
Co jak zaraza Litwę ciemném skrzydłem kryje.
Synu! ciebie zaraza dotknie — nie zabije,
Ale od ciebie będą uciekali ludzie.
Zostaniesz sam na świecie, będziesz żył, mój synu!
Wymrą ludy, na któreś kładł żelazne pęta,
I zostaniesz samotny na mogiłach gminu.
Ta wiara! wiara ciemna przez ciebie przyjęta
Połączy cię z narodem, co Litwę pochłonie.
Siedzisz na tronie, z tobą i Papież na tronie!
Mindowe, ty masz dzieci, to będą morderce,
Idź, zabij je w kołysce, własne morduj syny!
Urodziłam gadzinę! ty rodzisz gadziny!
Ha! rozdarłam ci serce! rozdarłam ci serce!

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

MINDOWE.

Słyszeliście!

HEJDENRICH.

Cóż znaczy przekleństwo poganki?

MINDOWE.

To jest przekleństwo matki! Ale tak — cóż znaczy?
Marne słowa bezsilnéj zemsty i rozpaczy.

HEJDENRICH.

Zaprzestańmy już przykréj o przekleństwach wzmianki,
Oto z błogosławieństwem niosęć list Papieża.

MINDOWE.

Ja nie znam pisma — czytaj!

HEJDENRICH.

Krótko rzecz przełożę...
Papież ciebie pozdrawia, królu, w Imię boże,
I chrześcian poddanych twéj pieczy powierza.
Przypomina ci, królu, abyś był gotowy
Bronić twéj wiary mieczem, a rozszerzać słowy;
Nadto, znając jak wielka jest twoja potęga,
Gdy państwo Litwy mieczem skreśloną granicą
Od Bałtyckiego morza do hord Krymu sięga,
Powiększone nie jedną ościenną dzielnicą;
I jak potok wezbrany ciągle się rozlewa;
Z wielkich krajów nasz Papież twéj wielkości miarę
Biorąc, po wiernym synu słusznie się spodziewa,
Że skoroś tak ukochał chrześciańską wiarę,
Dając nam przywiązania niemylne dowody,
Zechcesz jak czynią Polski i Niemiec narody...

Mindowe się marszczy.

Znana albowiem wielka wspaniałość Mindowy;
Zechcesz, mówię, jak czynią inni wojownicy,
Na olej lampy w Piotra świętego kaplicy
Przysyłać rocznie w darze jeden grosz od głowy.
A chcąc dowieść, jak wielce cnotę twą miłuje,
W zawdzięczenie ci Papież daje i daruje,
I wszelkiéj władzy tobie, Mindowe, użycza
Nad wszystkimi krajami, które w dalsze lata
Zagarniesz mieczem Rusi, u Towtwiła brata,
Lub zyskasz na Danielu, książęciu z Halicza.

MINDOWE.

Czy to szyderstwo? pierwszy raz papieska mowa
Zabłądziła aż w Litwy ponure krainy;

Pół dnia płynęły słodko twe miodowe słowa,
Z trudnościąm rzecz wyśledził wśród słów plątaniny.
Cenię łaskę papieża — korzystać z niéj będę,
Zatrzymam pewno kraje które sam zdobędę,
Nikomu nie ustąpię mojéj pracy plonu;
Wezmę kraje zdobyte na Haliczu, Rusi,
A gdy się uda, kraje waszego zakonu.
Papież, gdy tak rozdaje, sam wiele mieć musi,
A stąd rzecz uważając, łatwo teraz wnoszę,
Że mu na olej, Litwy niepotrzebne grosze.

HEJDENRICH.

Ze złéj widziana strony rzecz złą się okaże,
Lecz wierzaj mi, najlepsze są chęci Papieża.
Patrz, jaką drogą świętość przysyła ci w darze;
Jéj straży twoje ciało i duszę powierza;
Ona ustali cnoty, zgasi złe zapały.
Pewnie wiesz, jak Sebastyan z cnót swych znakomity
Skonał męczeńską śmiercią — oto drzewce strzały,
Którą ten święty został na krzyżu przebity,
Obficie napojone we krwi Sebastyana.

MINDOWE wyjmując sztylet.

Dam ci podobną świętość dla Papieża pana.
Ten sztylet od dzieciństwa wisi mi u boku,
Pił krew starców i niewiast — i tkwi mi w pamięci,
Że kiedy umierali, w tym ofiar natłoku
Było kilku tak świętych, jak są wasi święci.
Cóż to? drżysz.

HEIDENRICH.

O Mindowe! godzien boskiéj kary
Ten, kto wiarę przyjąwszy, bluźni przeciw wiary!
Z naszéj ręki niedawno wziąłeś tytuł króla,
Jeszcze nowa twa godność niepewna i drżąca.
Wiesz, jak czarno pisana nasza rzymska bula,
Dawnych królów, cesarzów z dawnych tronów strąca
Jednym pociągiem pióra, bez sporu, bez bitwy.

MINDOWE.

Kiedy nie będę królem, będę księciem Litwy,
Będę was darł i palił, rabował i łupił.

I teraz nadtom drogo tytuł króla kupił,
Jeśli miałbym pochlebiać i ważyć w umyśle
Słowa, które wymawiam, mówiąc to co myślę.
Ci wolno nie gadają których jarzmo gniecie.
Ale mnie kto da prawa? kto mi zwiąże mowę?
Czy jest gdzie jaki drugi Mindowe na świecie?
Albo może wasz Papież jest drugi Mindowe!

HEJDENRICH.

Panie! oba innymi przemawiajmy słowy.
Przez usta posła Papież uczucia wynurza,
Zakończę więc poselstwo.

Wskazując na niesione przez Dowmunta węzgłowie.

Oto złota róża
Dla twojéj, panie, żony, litewskiéj królowéj.

MINDOWE.

Dla mojéj żony? dawno umarła mi żona.
Czyż nie wie o tém Papież?

HEJDENRICH.

Przebacz błąd Papieża.
Ale ta ciemna Litwa, lasami omglona,
Zasłania cię przed światem, zamku twego wieża
Jest niższą niż te sosny. Komuż złożę dary?

MINDOWE.

Matce mojéj...

HEJDENRICH.

Święconéj nie przyjmie ofiary.

MINDOWE.

Posłuchaj więc, krzyżaku, złóż je przed Aldoną,
Jest siostrą mojéj żony, będzie moją żoną.
Niech tu stanie Aldona.

Jeden ze straży wychodzi.

Wy głowie kościoła
Odnieście te wyrazy... Choć korona złota,
Z lekkiéj blachy, zaledwo dotyka mi czoła;
I gdyby nie przecudna jéj liści robota,

Ledwie kilka florenów zaważy na szali;
Jednak wdzięcznie przyjmuję dar Papieża Pana,
Lekką jak liść koronę żelazo ustali.
Jakiż tron jest świetniejszy? czyli Ruś znękana,
Gdzie książęta, stargawszy krwi związki przyjazne,
Lodowaty kraj niszczą sprzecznymi zamachy.
Już Halicz drży przedemną, jedne tylko Lachy
Rosnącéj Litwie piersi stawiają żelazne.

Aldona wchodzi.

Oto jest pierwsza z dziewic litewskiego grona,
Sprawiaj twoje poselstwo.

HEIDENRICH, do Aldony.

O ty! któréj skronie
Wkrótce uwieńczy Litwy złocista korona,
Przyjm różę, którą Tybru wychowało błonie,
Tam pod wiary promieniem złote rosną kwiaty.

ALDONA.

Źle się zgadza blask złota z żałobnymi szaty.
Miałam męża, mam męża; jeśli jeszcze żyje,
On się tuła po świecie. Przysięgłam mu wiarę,
Nigdy korona moich skroni nie okryje.
Ale wdzięcznie przyjmuję Papieża ofiarę.
Czuję, wkrótce z tym zimnym rozstanę się światem,
Ten kwiat niezwiędły będzie mym śmiertelnym kwiatem.

HEJDENRICH.

Jak niemieckie dziewice przyjęła bez braku,
Złoto zawsze jest złotem...

Daje znak Dowmuntowi, aby podał różę. Dowmunt się zbliża drżący.

MINDOWE, wpatrując się w Dowmunta.

Co ty drżysz, krzyżaku?
Ktoś ty jest?

ALDONA, wznosi oczy na Dowmunta.

Ach!

Pada omdlała. Dowmunt wychodzi.

MINDOWE.

Omdlała! wynieść ją z komnaty!
Ścigać tego krzyżaka. Ha! co to się znaczy?
Kto on jest?

HEJDENRICH.

Nie wiem, panie, nosi giermka szaty,
Przybył do nas posępny, z wyrazem rozpaczy,
Zaciągnął się w szeregi nieznany nikomu;
Sądzę, że to wygnaniec z wyspy Albionu,
Na hełmie nosi różę, znak Lankastrów domu.

MINDOWE.

Precz stąd, mnichy najemne! koło mego tronu
Widzę sztylety... precz stąd!

HEJDENRICH.

Wiara królów strzeże.
Żegnamy ciebie, panie.

Odchodzi z orszakiem krzyżaków.

MINDOWE.

Przystąp, Lutuwerze.
Nie wiesz, co to za jeden jest ów krzyżak młody?

LUTUWER.

On najmniéj podejrzanym zdawał mi się w tłumie,
Młody jeszcze, rycerskiéj nie nosi ostrogi,
Milczy, bo po niemiecku nikt go nie rozumie;
Stroni ludzi, bo smutny — smutny, bo ubogi.

MINDOWE.

Trudno, abyś podejrzeń ciemny tłok rozegnał.
Jam go dobrze uważał przy chrzestnym obrzędzie,
Gdy kapłan błogosławił, on się nie przeżegnał.
To Litwin.

LUTUWER.

O Mindowe! pewnie jesteś w błędzie.
To krzyżak. Czyżby Litwin przywdział taką zbroję?
Z czarnym krzyżem, w krzyżackim święconą kościele;
Sambym się nie odważył, wyznam, królu, śmiele,

Że ja się więcéj krzyża, niż krzyżaków boję.
A chociaż chrzest przyjąłem za twoim rozkazem,
Lękam się nowéj wiary, jako nowéj tarczy;
Nowa nie zawsze z wrogiem w obronie wystarczy,
Często jak szkło się kruszy, dotknięta żelazem.
Zmuszony żyć wśród Niemców, męczę się i żyję,
Lecz nienawiść dotyla rozkrzewia się w duszy,
Kiedy jestem przy Niemcach, tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy.

MINDOWE.

Tak myśli lud litewski... Słuchaj, Lutuwerze,
Wierzę twéj nienawiści, jak w twą wierność wierzę.
Teraz mi téj ostatniéj potrzebne dowody.
Ten krzyżak, przewiduję, jest to Dowmunt młody;
Nie wiem, nigdy Dowmunta nie widziałem twarzy;
Lecz przeczuwam, on śledzi, by mnie zejść bez straży,
Zdradziecko zamordować. Trzeba rzecz wybadać,
Wyśledzić; jeśli Dowmunt, pewna śmierć go czeka.
Dowiedz się...

LUTUWER.

O Mindowe, i na cóż odkładać?
Nigdyś nie myślał tyle nad śmiercią człowieka.

MINDOWE.

Jeżeli teraz myślę, mam słuszne powody.
Śmierci krzyżaka mszczą się wszyscy krzyżownicy,
A ja, nim z nimi zerwę, chcę ażeby wprzódy
Rozeszły się ich wojska z litewskiéj granicy;
Chcę, żeby się wprzód Rusi rozprószyły tłumy,
Które jak czarne chmury po nad Litwą wiszą.
Potem u siebie rogi litewskie usłyszą,
Teraz niechaj rozsądek trzyma miejsce dumy.

LUTUWER.

Gdybyś posłuchał, królu, co radzi to serce,
Tobyś wszystkich krzyżaków zebrał w dolnéj sali,
Potem zamek podpalić, niech się z nimi spali;
Lub Litwinów ukrywszy za ścienne kobierce,
W kryjówki, w czcze kolumny i w próżne filary,

Skinąłbyś — na skinienie padłyby ofiary,
I krzyżackiéj krwi strumień po murach popłynął,
A jeśli jest w tym tłumie, i Dowmunt by zginął.

MINDOWE.

Poradziłeś z zapałem, tak radzą rycerze,
Co wolą mieczem działać, niż myślą i słowy.
Lecz nie pójdę za twoją radą, Lutuwerze,
Inny mam wcale zamiar, usnuty, gotowy.
Ona sama odkryje tajemnic zasłony,
Dowmunt zginie, padając przy stopach Aldony.

*

Akt II.

SCENA 1.

ROGNEDA, TROJNAT.

ROGNEDA, stoi oparta na kamiennym stole.

Podaj mi czarę... Litwo! Litwo nieszczęśliwa!
Dla twoich bogów nową poświęcę ofiarę,
Syna poświęcę — rozpacz serce mi rozrywa,
Ja go zabiję z płaczem... podaj mi tę czarę!
Napełnię ją trucizną... Boże Litwy! Boże!
Niech on umrze spokojnie — niech nie cierpi długo,
Ja go łzami obmyję — na stosie położę,
Zaśpiewam pieśń — grobową uczczę go posługą.

Sypie truciznę.

Łza upadła do wina, może ta łza matki
Zniszczy skutek trucizny? czy już noc na niebie?
Tak mi ciemno... Wsypałam trucizny ostatki,
Dla mnie nic nie zostało.

Mindowe wchodzi na scenę, Lutuwer rozmawia z nim, wskazuje na czarę i sam oddala się.

MINDOWE, z udaną spokojnością.

Matko! witam ciebie!
Witam, młody synowcze. Powracam z ogrodu,
Słuchałem jak z nad Niemna śpiew słowika płynie,
Zachwycony urokiem wieczornego chłodu;
Ale nie mniéj szczęśliwy przy mojéj rodzinie,

Znajduję szczęście w domu — zawsze miłość wasza
Chmury nieszczęść wiszące nademną rozprasza.
Przy was jestem bezpieczny, zasypiam w pokoju.
Ty milczysz, matko?...

ROGNEDA.

Synu, może chcesz napoju?
Oto wino...

MINDOWE.

Już wino piłem dzisiaj rano
Przy chrzcie moim.

ROGNEDA.

Bluźnierca!

MINDOWE do Trojnata.

Nim gwiazdy powstaną,
Trojnacie, masz opuścić litewską stolicę.
Zaniesiesz Wojsiełkowi to pismo odemnie,
Zawiera ono w sobie ważną tajemnicę;
Powinno być wręczone prędko i tajemnie.
Wojsiełkowi skądinąd znane są me chęci,
Wymagam więc pośpiechu — pomnij, nakaz srogi,
Biada! jeśli się zwrócisz z przykazanéj drogi,
Biada! jeśli wojskowéj naruszysz pieczęci.
Oto masz list.

ROGNEDA, na stronie.

Już odkrył Trojnata zamiary...
Więc pozbawiasz mnie wnuka? przynajmniéj z téj czary
Spełń toast pożegnania.

Mindowe bierze podaną czarę, lecz jéj nie pije. Rogneda po chwili drżącym głosem.

Czyś wypił?

MINDOWE, uderzając się w czoło.

Rogneda!

ROGNEDA.

Nigdyż krwawe sumienie spoczynku ci nie da?
Widzisz krew w głębi czary?

MINDOWE.

W napojach biesiady
Nigdy krwi nie spostrzegam, ale trucizn jady.

ROGNEDA.

Pokażę ci, jak twoja podejrzliwość zwodna,
Spełnię ją do połowy, ty ją spełnisz do dna.

MINDOWE, ciska i tłucze czarę.

O matko! coś wyrzekła? precz, czaro przeklęta!
Tyś mi była najdroższym przodków moich darem,
Jedyny prawie spadek, zawsze dla mnie święta,
Nieraz na ucztach słodkim szumiąca nektarem.
Gdzieś za morzami w kryształ roztopione piaski
Wydały ciebie z łona — nieraz, pełna wina,
Zachwycałaś zdumione wejrzenie Litwina,
Gdy słońce w tobie grało tysiącznymi blaski;
Ja ciskam cię o głazy! Matko, coś wyrzekła?
Skąd ta nienawiść czarna? skąd ta zemsta wściekła?
Chciałaś umrzeć i syna wtracić do mogiły.

ROGNEDA.

Ukarz mnie — zniosę karę, ja mam jeszcze siły!

MINDOWE.

Ha! tak, chciałabyś, matko, znosząc karę srogą,
W obliczu ludu umrzeć męczenniczką wiary?
Alem nadto przezorny, bym powściągał kary
Tych, którzy chcą mi szkodzić, lecz szkodzić nie mogą.
Bądź więc spokojna, matko — uraza tak mała...

ROGNEDA.

Nie chciałam cię urazić — jam cię zabić chciała.

Wychodzi wsparta na Trojnacie.

MINDOWE, sam.

Sam więc jestem, sam jestem; walczyć, szerzyć mordy,
Śledzić spiski — trucizną chłodzić spiekłe wargi;
Wędzidłem krwawém ściągać dzikie ludu hordy,
To moje życie... usta nie wydadzą skargi...
Nie wiedzą, że ja cierpię. — Zbędę się Trojnata,
Pochwycą go, postrzygą, zamkną w mur klasztorny.

Przed ludem mnie zakrywa tajemnicza szata.
Chrześcianin, krzyżaków przyjaciel pozorny,
Wkrótce zgnębię te zmienne, dwugłowe poczwary.
Wyginą wszyscy. — Wiara? wiara czcze wyrazy!
Chrzciłem się, bo mi wtenczas trzeba było wiary;
Teraz, cóż za różnica? czy krzyż od Papieża,
Czy w cerkwiach ruskich złotem błyszczące obrazy,
Albo księżyc Mongołów — miecz wiarą rycerza.
Lecz Aldona nadchodzi, zbadam tajemnicę,
Kto jest ów tajny krzyżak.

Aldona wchodzi.

Aldono! twe lice
Zawsze we łzach, więc wszędzie widzę łzy i zdrady,
Sztylety, trucizn czary i miodowe słowa.
Przebacz, ciebie przelękła ta gwałtowna mowa,
Ty drżysz, Aldono? zniknął twój rumieniec blady.
Oto czara z trucizną o głazy rozbita,
Chciałem ją spełnić, dotąd byłbym w cichym grobie;
Lecz wyznam ci, Aldono! nadzieja ukryta
Wytrąciła mi czarę, jedna myśl o tobie.
Aldono! powiedz słowo.

ALDONA.

Panie! twe cierpienia
Ani mnie twoja miłość nigdy nie zniewoli.
Na cóżeś mi domowe przerwał zatrudnienia,
Którymi słodzę długie godziny niedoli?
Gdy w gronie moich dziewic, przy lampy płomieniu
Widzę, jak w koło srebrne toczą się przędziwa,
Gdy słyszę pieśń rodzinną w ich łagodném pieniu,
Przez chwilę cichém szczęściem tak jestem szczęśliwa,
Że często nad moimi krosnami schylona,
Widząc, jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita,
Cierpień moich zapomnę — póki ciężkie z łona
Nie wyrwie się westchnienie, z oczu łza ukryta.

MINDOWE.

Tyś spokojna, ja nie chcę widzieć cię spokojną.
Szczęśliwa? nie chcę, żebyś ty była szczęśliwa.
Niech serce twoje zawre sprzeczną uczuć wojną,

Niech je niszczy rdza cierpień, zgryzota rozrywa
A gdyś z widokiem cierpień nadto oswojona,
Śmierć jest dla ciebie nową, dziś skończysz dni twoje.

ALDONA, z przerażeniem

Błagam cię, panie! błagam na Bogów imiona!
Nie zadawaj mi śmierci, ja się śmierci boję!
Wszystko mi! wszystko bliski zgon już zapowiada.
Koniec mój, o! przeczuwam, będzie nadto skory.
Patrzaj, Mindowe! patrzaj! jak twarz moja blada,
Na twarzy rozmarzone gorączki kolory,
Szklistym blaskiem posępnie ożywione oczy;
Wkrótce mię całą cichość grobowa otoczy.
Niejedna z dziewic moich, co cierpień nie znała,
Mówiąc do mnie, nim skończy, łzami się zaleje,
A gdy mówi, głos zniża, jak gdyby nie śmiała
Dźwiękiem mowy, lub marne podając nadzieje,
Zbudzić głębokiéj ciszy, która jak sen miły,
Żyjącą osłoniła świętością mogiły.

MINDOWE.

Ty chcesz żyć, jakże silna chęć życia? Aldono!
Może w sercu nadzieje karmisz brylantowe?
O wiem ja, że głęboko oczy dziewic toną,
I przenikają głazy i zbroje stalowe,
Aż dopóki z pod hełmu nie wykwitnie lice
Znajome, ukochane — wglądasz pod przyłbice.
Musiał być blady?

ALDONA.

Panie! kto?

MINDOWE.

Ten krzyżak młody,
Krzyżak, czy Litwin.

ALDONA, na stronie.

On go nie poznał!

MINDOWE.

Widziałem!
Jakeś zadrżała, padła. Silne to dowody,
Lecz jeszcze będą inne. Niegdyś ja sam drżałem,

Kiedy bladość cierpienia omgliła twe czoło,
To dzikie serce z twojém sercem biło razem,
Kiedyś się weseliła, brałem twarz wesołą;
Dziś to już przeszło, dzisiaj jestem zimnym głazem.
Słuchaj! czy znasz krzyżaka, co wśród mnichów zgrai
Nieznajome mi lice czarną zbroją tai?
Znasz go?

ALDONA.

Wierzaj mi! wierzaj! ja go nie znam, panie!

MINDOWE.

Może go poznasz, słodkie to będzie poznanie!
Próżne prośby, mam zbroję i serce ze stali,
Aldono, ja się skryję w téj przybocznéj sali,
Tam każde wasze słowo dojdzie mego ucha,
Zwłaszcza, gdy teraz nocy panuje milczenie;
Kiedy go będziesz witać, pomyśl, że król słucha,
I mieczem przerwie krótkie szczęścia zachwycenie.

Odchodzi przez drzwi boczne.

ALDONA, sama.

Mindowe! o Mindowe!... poszedł... Nieszczęśliwa!
Zostałam sama jedna czekać chwili zgonu,
Chwili nad zgon straszniejszéj... Lampa dogorywa.
A na dworze noc ciemna, słychać szum jesionu,
Szum sosen cichy. Wszystko! wszystko mnie przeraża,
Ten szum drzew i ta cisza — to cisza cmętarza.
O jak mi ciężko!... Niema i jeszcze go niema,
Może nie przyjdzie? Boże! niechaj nie przychodzi!
Niech go anioł ostrzeże! — przeczucie zatrzyma!...

Patrzy przez okno.

Tam widzę, za lasami blady księżyc wschodzi,
Czarne sosny posępnym witają go szumem;
Rozdarte chmury — duchów napełnione tłumem.

Po chwili.

Nie przychodzi, on może nie przyjdzie, ja płaczę!
W téj chwili groźnych króla nie pomna wyroków,
Smutno mi, że nie przyjdzie, że go nie zobaczę...
Chciałam go widzieć... Boże! słyszę odgłos kroków!

O nie, to źródła szumią w zamkowym ogrodzie...
Ach! on idzie! to Dowmunt! poznałam po chodzie.
Jeszcze głośniéj — i głośniéj, jam znowu słyszała...
Udam, że ja go nie znam, żem nigdy nie znała.
Król go nie pozna...

DOWMUNT wchodzi z zapuszczoną przylbicą w krzyżackiéj zbroi.

Potwarz okłamała zdradnie
Serce Aldony — teraz widzę ją, tak blada..
Czy dręczona sumienia wyrzutami bladnie?
Umiem rozróżnić bladość od bladości... Siada...
Nie odwróciła lica... Dawniéj szelest szaty,
Szelest kroków odgadła — poznała... a teraz
Nie odwróciła lica! Idąc w te komnaty,
Będąc na progu, z progów wracałem się nieraz.
Tak mi okropnie! ona mnie nie pozna? może
Nie zechce poznać... Pani!... zadrżała.

ALDONA.

Rycerzu,
Ktokolwiek jesteś, w północ błądząc po tym dworze,
Módl się — oto różaniec widzę przy puklerzu,
Módl się i — wyjdź...

DOWMUNT.

Wyjdź? Widać, że Litwy królowa
Przywykła rozkazywać, na jéj zawołanie
Przybiegnie zbrojna, liczna warta pałacowa.
Wyjdę z wrót gmachu — tylko po mnie tu zostanie
Krew...

ALDONA, cicho.

Moja...

DOWMUNT.

Nie wiem! nie wiem; lecz tu krew zostanie.
Wiesz, kto ja jestem? czyli twe serce przeczuwa?...

ALDONA, jak echo tym samym głosem.

Czy twe serce przeczuwa?...

DOWMUNT.

Powtarza pytanie!
Odpowiedz!...

ALDONA.

Wyjdź...

DOWMUNT.

O Boże! ona myśli, czuwa,
I tak jak śpiąca związać nie może wyrazu,
I myśli ją odbiegły. — Słuchaj! czyś ty z głazu?
Dwa słowa! imię moje!... Szalony! szalony!
Oto mi czoło ciemna przyłbica okrywa,
Postać kradnie płaszcz czarnym krzyżem naznaczony,
I jakże poznać mogła?...

Odkrywa przyłbicę

Patrzaj! nieszczęśliwa...
Czy ty mię znasz? jak żądasz być zbawioną w niebie,
Odpowiedz... i uciekaj! ach! uciekaj ze mną...
Znasz mię?

ALDONA

Czy ja znam? Boże! nie, ja nie znam ciebie,
Nie! nie! nie przypominam... może — tu tak ciemno,
Może dla tego.. Słuchaj, teraz moje oczy
Od ciągłych łez posępną skryły się zasłoną,
Mgła ciemna wszystkie dla nich przedmioty pomroczy,
I zaledwo z łez oschną, znowu we łzach toną.
Szczęście moje z nieszczęściem nie zna równéj szali,
Jak mara obłąkana kończę życia drogę.
Nie! nie! ja ciebie nie znam — teraz znać — nie mogę.

DOWMUNT.

Nie poznała... to lampa tak ciemno się pali.

Bierze lampę ze stołu i oświecając twarz, przybliża się do Aldony.

Patrz! patrz!

ALDONA.

Błagam cię! błagam ach! oddal się, panie!
Oddal się — światło lampy oczy moje razi.
O patrzaj! niezadługo zabłyśnie świtanie!
Patrzaj! już blask jutrzenki twarz księżyca kazi.
O nieba! ciebie w sali światło dnia zastanie...

DOWMUNT.

Ha! męczarnio okropna! męczarnio szatana!

Do Aldony, która się zbliża pomięszana.

Czego chcesz? precz odemnie! śmierć jedna została...

Ze śmiechem obłąkania.

Cha! cha! jaka myśl dzika! upaść na kolana,
Upaść przed nią... Cha! cha! cha! prosić by poznała.
Lub może kupić pamięć zimnym, złotym kwiatem?
Więc wrócę tak samotny w dziką świata drogę?
Przepaść się otworzyła między mną a światem,
Nie mogę wrócić, trzeba umrzeć — umrzeć mogę...
I przed śmiercią nauczę ją wymawiać imię
Znajome, zapomniane — nauczę jak dziécie,
Lub jak uczą sokoła, wtenczas gdy zadrzémie,
Przerywając sen: przerwę jéj sen — senne życie...
Słuchaj! wiesz, kto ja jestem?

Dobywa sztyletu.

Nie! nie! bezimienny
Upadnę przy jéj stopach jako liść jesienny.
Rzucam się całą duszą do grobowéj ciszy...

ALDONA.

Dowmuncie! ach Dowmuncie!

DOWMUNT.

Jeszcze głos Aldony?

ALDONA.

Znam ciebie! kocham! słuchaj — on widzi! on słyszy!
Tam Mindowe w téj sali! za tymi zasłony!...

DOWMUNT.

O Boże! jakże miło powrócić do życia.
Ty mnie kochasz? Mindowe gdzie jest? gdzie się kryje?
Ach straszną! straszną miałem chwilę do przebycia,
Dotąd mi krew wzburzona głośno w piersiach bije.
O Aldono! ta chwila stoi przed oczyma,
I nie chce zniknąć, póki szczęście się rozpali,
Ta chwila wszystkie myśli nad przepaścią trzyma;
Ale nie wróci...

ALDONA.

Luby! słyszałam dźwięk stali.
Chroń się! chroń się, Dowmuncie! mój drogi! mój miły!

DOWMUNT.

Co mówiłaś? Mindowe gdzie jest? w tamtéj sali?
To daleko — uciekać nie chcę — nie mam siły...
O nie! nie! tyle szczęścia! nie, to nie jest zdrada.
Ja muszę być szczęśliwy — muszę widzieć ciebie.
Zgasła lampa, lecz księżyc przyświeca na niebie,
Chodź do światła, Aldono... O! jaka ty blada!...
Rumieniec łzy obmyły, żar gorączki strawił;
Jaka ty blada! — jam cię nie taką zostawił!...

ALDONA.

Nie, to bladszy niż zwykle, to ten blask księżyca
Twarz mi dzisiaj ociemnił...

DOWMUNT.

Więc księżyc przeklinam,
Jeżeli barwę róży kradnie z twego lica.
Ha! przeklinając księżyc, ludzi zapominam.

ALDONA.

Luby! słyszysz dźwięk stali? czy słyszysz? to oni!

DOWMUNT.

Słyszę jakieś stąpania — słyszałem chrzęst broni,
Idą jakby tygrysy na mą krew zażarte.

ALDONA.

Dowmuncie! wychodź! wychodź, jeszcze drzwi otwarte!
Wychodź! Aldona wiecznie wiary ci dochowa...
Tu wszyscy nas zdradzają, Bogi, ludzie, ściany,
Uciekaj!...

DOWMUNT.

Moja luba, bądź zdrowa! bądź zdrowa!...

Wychodzi, lecz po krótkiéj chwili wraca.

ALDONA.

Przebóg! czemuś powrócił? blady, pomięszany,
Powiedz, coś widział?

DOWMUNT.

W końcu przybocznéj komnaty
Oni już są!... już przyszli!

ALDONA.

O nieba! o zdrady!
Słuchaj, wyłam te okien pozłacane kraty,
Pod nimi nie daleko są zamkowe sady...
Uciekaj! nad głowami grożą czarne burze...
Uciekaj...

DOWMUNT usiłując wyłamać kratę.

Kraty mocno osadzone w murze...
Wyłamać niepodobna... nie, to próżnym szałem...
Niepodobna... Ha pękły! pękły! wyłamałem...
Bądź zdrowa! daj mi rękę... dłoń zimna jak z lodu...
Bądź zdrowa...

Staje na oknie... po chwili wraca do sali...

Nie... naprożno! pośród drzew ogrodu,
Widziałem tłumy zbrojnych Mindowy rycerzy;
Pod samymi oknami las włóczni się jeży.
Daremna więc ucieczka — przyszedłem bez miecza
By nie wzbudzić podejrzeń, cóż ten sztylet znaczy?
Ani mię przeciw wrogów ciosom zabezpiecza,
Ani usłucha dłoni — zdradzi ją w rozpaczy!
Bez ulgi i bez zemsty w zimnym legnę grobie...
Aldono! tyś pobladła! Aldono! co tobie?

ALDONA.

Nic, nic... daj mi tę różę, z hełmu twego różę,
Może zmysły orzeźwi.

Dowmunt daje różę.

Tak mi w oczach ciemno!...

DOWMUNT.

O rozpacz!... ona bladnie. Chodź zemną, chodź zemną!
Chodź, uciekajmy! Boże! gdzie uciec? w tym murze
Są kryjówki... szalony! tam będą i ludzie:
Te gmachy już zdradzieckiéj nawykłe obłudzie...
O Aldono! nieszczęście — usiądź tu, Aldono!
Oczy moje jak dziecka całe we łzach toną.

ALDONA.

A ja płakać nie mogę... Cha! cha! luby! drogi!
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy...

Cha! cha! cha! niech tu przyjdą! niech przestąpią progi
Oto próg pałacowy!...

Pada przed drzwiami.

DOWMUNT.

Aldono! Jak głazy
Zimna...

Składa omdlałą na krześle.

Rękami będę rozdzierał tych ludzi...
Chodźcie tu!... O te oczy! ta twarz, blada, sina!...

Po chwili.

Z rąk martwych wyrwę różę... kiedy się obudzi,
Mnie już nie będzie... niech mnie nic nie przypomina.

Obrywa liście kwiatu.

Kwiat zerwałem — gałązka w jéj została dłoni,
Tak mocno trzyma.

Pod koniec téj sceny słychać coraz mocniejsze szczęki oręża.

Słyszę! już idą... to oni!...

*

Akt III.

SCENA I.

HEJDENRICH, HERMAN.

HEJDENRICH.

Oby już prędzéj rzucić litewskie krainy.
Hermanie! oto wracam z królewskiéj biesiady,
Radość niezwykła wrzała pomiędzy Litwiny,
Ja jeden byłem smutny! jeden tylko blady!
Dzikie ich uczty. Słuchaj! w granitowéj sali,
W około stół dębowy puharami błyska;
W środku komnaty ogień z modrzewiu się pali,
I w koło wieje dymem, wkoło iskrą pryska.
Sześciu Litwinów w burkach, bez ruchu jak głazy,
Unosili nad stołem smolnych sosn pochodnie,
Jako żywe świeczniki. Gwar, dzikie wyrazy!
Na lica miód przywołał występki i zbrodnie.
Dziwnie się wydawałem ja — mieszkaniec Rzymu

Wśród téj niesfornéj zgrai — mój krzyż brylantowy
Ledwo blaskiem roztrącał czarne kłęby dymu...
Hermanie! oby prędzéj rzucić dwór Mindowy.

HERMAN.

O panie! nie czas teraz rwać z Litwą przymierze,
Nie są przygotowani do wojny Krzyżacy;
Jeden krok nierozmyślny korzyść nam odbierze
Z długich naszych podstępów, z misyonarskiéj pracy;
Gdyby Mindowe umiał korzystać z téj pory,
Przycisnąłby i zgnębił krzyżackie klasztory.

HEJDENRICH.

Prawda, trzeba lwa głaskać. Lecz wyznam ci, bracie,
Że mi w niesmak już idzie poselstwo Papieża;
Mam sławny miecz komtura, mam serce rycerza,
Jednak bawię tu dotąd! bawię w mnisiéj szacie!
I nadto, muszę podle, mnicha obyczajem,
Starać się wziąść przewagę podstępnymi słowy.
Dawniéj krzyżak pogardzał tym księciem i krajem,
A teraz jam spowiednik? jam sługa Mindowy!
Czy pamiętasz, Hermanie, braciszka zakonu,
Który przybył tu z nami, nosił róży znaki,
Nazywany od braci synem Albionu;
On zniknął teraz, żadnéj nie mamy poszlaki...
Jeśli Mindowe zgwałcił tajemne umowy?
Jeśli się targnął z mieczem na sługę kościoła?
Słusznie zakon oburzy postępek takowy,
I krew brata naszego o krew Litwy woła.

HERMAN.

Rycerz, o którym mówisz, w więzieniu zamknięty,
Nie oburzaj się — Litwin nie wart tych zabiegów.
On poganin, zagnany aż do Niemna brzegów,
Chroniąc się przed Mindową, przybrał habit święty,
I znów pod tą opieką wrócił utajony
Szukać wydartéj sobie przez Mindowę żony.
Ale go nie zbawiły nasze święte szaty.
Wczoraj, kiedym w ogrodzie odmawiał modlitwy,
Odkryłem jego wieżę i przez okien kraty
Miecz mu podałem ostry.

HEJDENRICH.

Zbawiasz syna Litwy...
Nienawidzę Litwinów! pocóż z taką pracą
Nawracać ich na wiarę? jakież stąd korzyści?
Chrzest nie zgasi wzajemnéj ludów nienawiści;
Mogliby płacić haracz — a teraz nie płacą.
W nas zgaśnie duch rycerstwa, zakonu granice
Otoczą zewsząd tylko przyjazne krainy;
Pójdziemyż ścigać błędne po stepach księżyce?
Ha! chyba z morzem walczyć! lub z nurtami Dźwiny!
Wygaśnie duch rycerski... Idzie Litwy książę...
Trzeba znów przybrać postać podłości, pokory,
Jak jaszczurka zamorska zmienne mam kolory;
Lecz jestem posłem, straszna przysięga mnie wiąże,
Cały zakon w legata przedstawiam osobie.

Daje znak, Herman oddala się. Mindowe wchodzi.

Wielki królu, Bóg z tobą!

MINDOWE.

Pozdrowienie tobie!

HEJDENRICH.

Panie, tyś pomięszany? wzrok zamglony wróży
Jakieś tajne zamiary, znamię wnętrznéj burzy.
Zapewne niedość jeszcze ustalony w wierze
Nie umiesz zbroić serca przeciw troskom świata;
Niepewny Boga, który z nieba czuwa, strzeże,
Niepewny, jaka w niebie dla cnoty zapłata.
Modlitwą prędko ziemskie rozproszysz zgryzoty.

MINDOWE.

Modlić się? dzisiaj wziąłem ten różaniec złoty,
Ostrzem sztyletu święte przebiegałem ziarna;
Lecz na sztylecie była krew spiekła i czarna,
Niewiem czyja? i kończyć nie mogłem pacierzy.

HEJDENRICH.

Królu! jeśli twe serce żałuje i wierzy,
Bądź spokojny! nasz kościół nigdy nie zostawi
Twéj wiary bez nagrody, żalu bez pociechy,
Litościwy odpuszcza, kocha, błogosławi.

Odkryj nam skryte myśli, wyspowiadaj grzechy,
Nic nie ukrywaj, synu, a sługa ołtarzy
Rozwiąże je na ziemi.

MINDOWE.

I któż się odważy
Zajrzeć w głąb tego serca, w tę przepaść rozpaczy
I zbrodni... Kto? ty, trwożny mieszkaniec klasztoru,
Ja sobie nie przebaczę, nikt mi nie przebaczy.
Najmniejsza z moich zbrodni, a wielka z pozoru,
Żem się krwią zmazał.

Pokazując sztylet.

Patrzaj, tą krwią wypisane
Wszystkie są moje czyny na téj rdzawéj stali...
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! od Boga mi dane
Mam prawo tych rozgrzeszać, co się krwią zmazali.

MINDOWE.

Żądasz czarniejszych zbrodni? Słuchaj! przez sklepienie
Jęczy! jego korona moje czoło kryje...
Słuchaj! usłyszysz drugie pod ziemią westchnienie,
Ale nie, nie usłyszysz — dotąd on nie żyje...
Czy mi przebaczysz?

HEJDENRICH.

Ufaj! wielka moc kościoła!
Nie będzie próżno błagał chrześciański książe.
Szczera twoja pokuta grzech okupić zdoła,
Co rozwiąże na ziemi, Bóg w niebie rozwiąże.
Więc odpuszczam! niech zniknie ta występku skaza.

MINDOWE.

Ty chcesz czarniejszych zbrodni? ty chcesz duszę ciemną
Przejrzeć aż do dna? patrzaj! pod berłem z żelaza
Lud podły, ciemny, dziki czołga się podemną.
Przycisnąłem go całym ogromem ciemnoty,
Bojaźń już nosi w sercu, chytrość w miejscu cnoty.
Patrz, jak ów ciemny Litwin na moje skinienie

Uchyla korne czoło, piersi krzyżem znaczy,
Choć wolałby przy piersiach czuć węża pierścienie,
Niż ten krzyż nienawistny... Któż mi to przebaczy?

HEJDENRICH.

Panie! jesteś nad ludem, byś mu przewodniczył;
A jeśli daną władzę spełniasz nadto srogo,
Jeśli chcesz posłuszeństwa, jeśli rządzisz trwogą,
Bóg ci przebaczy — on sam władzy ci użyczył,
Ja ci przebaczam...

MINDOWE, z gorżkim uśmiechem.

Dobrze! już jestem spokojny!
Pójdę teraz krzyżackie napadać dzierżawy,
Dawno czekałem chwili sposobnéj do wojny,
Skarb mój wycieńczał — ja sam stęskniłem do sławy.
Z waszéj zaś strony nic mi nadal nie potrzeba,
Mam już złotą koronę, przebaczenie z nieba,
Idę kraj wasz napadać, szarpać włoście Żmudzi.

HEJDENRICH.

Panie! ty mnie doświadczasz tak gorżkimi słowy,
Lecz krzyżak się marnymi słowy nie ułudzi.

MINDOWE

Com tobie wypowiedział, jam dowieść gotowy.
Patrz przez te ciemne kraty na błonia stolicy,
Tłumem zebrani w polu błyszczą wojownicy...
Może się oni tylko zebrali na łowy?
A tam niebo ogniste przywdziewa kolory,
Może to pożar wkradł się w nadniemeńskie bory?
Co, łatwowierny mnichu? teraz znasz Mindowę?

HEJDENRICH.

Niech cały ciężar zbrodni spada na twą głowę,
Pomnij na świętą wiarę!

MINDOWE.

Szydzisz ze mnie, mnichu!
Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,

Moje gmachy klasztornym kobiercem zaścielę,
I zmówię pierwszy pacierz, gdy mistrz wielki skona.

HEJDENRICH.

Ty przez nas jesteś królem.

MINDOWE, rzuca koronę.

Tak! precz ta korona!
Rzucam ją, to mi ręce splątane rozwiąże...
Teraz jestem Mindowe, książe, wróg Krzyżaków.

HEJDENRICH rozdziera komżę i staje w zbroi i w zwierzchnim krzyżackim płaszczu.

A jam jest — brat Hejdenrich — krzyżak, wróg twój, książe.
Pozbędę się téj szaty, tych pokory znaków...
Jak mnie tu widzisz w zbroi, przysięgam na Boga,
Że słowa posła mymi nie były słowami.
Widzisz we mnie rycerza! widzisz we mnie wroga!
Po takiéj czarnéj zdradzie już zdrada nie plami,
Będę działał podstępnie i walczył otwarcie,
W twoim zamku podniecę zdrady i pożary,
Za morza pójdę błagać o zemstę — o wsparcie.
Płaszcza tego nie zrzucę, aż na twoje mary
Rozścielę go całunem — i w wieczór i rano
Dodam jedno przekleństwo do moich pacierzy;
Jeśli Bóg je usłyszy? Bóg na cię uderzy,
Nim te pochodnie zgasną! nim zorze nastaną!

Wychodzi.

MINDOWE, sam.

Grozi! ale napróżno, przezornym być muszę,
Kiedy zwiodłem krzyżaka — oni światem rządzą,
Zbłądzili, choć myśleli, że nigdy nie błądzą.
Serce moje spowiedzią pozyskali skrusze.

Lutuwer wchodzi.

LUTUWER.

Panie, spełniłem rozkaz..

MINDOWE.

Dowmunt już nie żyje?

LUTUWER

Dowmunt nie żyje!

MINDOWE.

Starcze! starcze! biada tobie!
Jeśli się jaki podstęp w twoich słowach kryje.
Chcę widzieć martwe ciało.

LUTUWER.

Panie! on już w grobie.
Dotąd jeszcze, tak, dotąd słyszę pieśń wesołą,
Którą tam śpiewa grabarz, kopiąc grób głęboki,
I pot zimny na moje występuje czoło.

MINDOWE.

Gdzież go grzebią?

LUTUWER.

W więzieniu pochowano zwłoki.

MINDOWE.

Starcze! mój zamek w wielki zamieniasz grobowiec.

LUTUWER.

Smutno mi, gdy rycerza zgon niesławny ima.
Grób jego zapomniany, i żaden wędrowiec
Kamienia nie dorzuci, wzroku nie zatrzyma.

MINDOWE.

Dość tego, słuchaj, starcze! zerwałem z krzyżakiem,
W strasznym gniewie wrącymi odpowiadał słowy.
Dziś wojsko poprowadzisz nowogrodzkim szlakiem,
Przez głuche lasy... daléj przejdziesz bród niemnowy
Na łodziach lub wpław — czasu oszczędzać należy.
A skoro ranek błyśnie, ty z pocztem rycerzy
Zagrzmisz pogańską pieśnią; od waszego śpiewu
Zadrżą szyby Malborga, wieże się zachwieją.

LUTUWER.

Jestże ten napad skutkiem gorącego gniewu?

MINDOWE.

Snułem go przewidzianych wypadków koleją.
Nigdy głębszą ufnością nie spały zakony,

Myślą, że chrztu szatami jak dziecię spowity
Zapomiałem o zbroi; że w blasku korony
Zapomniałem o sławie; że w lasach ukryty
Cieszę się barwą królów purpurowéj szaty.
Lecz powiedz, Lutuwerze, jestżem tak bogaty,
Bym zapomniał o wojnie, napadach i chwale?
Patrz na kraje krzyżackie! o brzegów bursztyny
Łamią się Bałtyckiego morza szklanne fale;
Na falach płyną miasta z dalekiéj krainy
Z płóciennymi żeglami i z podległych danin
Wypłacają się mnichom, ślą im Franków wina,
Czary z kryształu, zbroje, sukna z cudnych tkanin,
Jedwabiu, lub wielbłądów błędnych Tatarzyna.
A tu lasami łąki zarastają żyzne.
Jakiż tu kupiec zajrzy? gdzież bogactwa moje?
Ubogą tylko wziąłem po ojcu spuściznę,
Niedbam ja o bogactwa! o złoto nie stoję!
Ale w skarbcu jedyna po ojcu pamiątka,
Jedna szata w rozliczne lśniąca malowidła,
Wagą złota płacona, z jedwabnego wątka,
Któréj barwy tak zmienne jak motyle skrzydła;
Jeden pas złoty, jedna kryształowa czara,
I ta się już rozbiła. Patrz! krzyżaków miasta,
Czy to Malborg, czy morska Klepidawa stara,
Każde co dzień zamkami pod niebo urasta;
Lud jak w mrowisku tłumne napełnia ulice,
Złotem błyszczą się gmachy, marmurem kaplice,
Dym z ognisk uwięziony wzlatuje nad dachy,
Dachy łączą się z niebios przejrzystym błękitem;
A tu — patrz, Lutuwerze! jak posępne gmachy!
Tu każda sala ciemnym połyska granitem,
Gołe i zimne ściany — jeszcze los szyderca,
Jakby mi chciał urągać! często w dnie zimowe
Ściany zdobi pokryciem srebrnego kobierca,
Wilgoć mrożąc na ścianach w kwiaty kryształowe.
Nędza i wszędzie nędza!

LUTUWER.

Panie, noc uchodzi,
Trzeba spieszyć...

MINDOWE.

Tak, prawda! zeszła twarz miesiąca.
Pójdę, może mnie nocy powietrze ochłodzi.
Zawsze skarga tysiące wyrazów natrąca.
Nadtom długo wyrzekał na mój los ubogi,
Naprawię go, gdy w Żmudzkie uderzymy rogi.

Wychodzi z Lutuwerem.

SCENA II.

Przedsienie gmachu.

ALDONA, leży bez czucia na ziemi. HEJDENRICH wchodzi.

HEJDENRICH, podnosząc Aldonę.

Ha! cóż to za dziewica? padła na marmury
Bez czucia. Jakie cudne rysy bladéj twarzy!
Widziałem nieraz w kraju Franków kształtne córy,
O których śpiewa *truwer*, błędny rycerz marzy;
Żadna jéj nie wyrówna... oto już spłonęła
Jak kwiat, gdy się rozwija — budzi się — westchnęła...

ALDONA, z pomięszaniem.

O mój luby... on umarł — śmierć moja snem była.

HEJDENRICH.

Dziewico, bądź spokojna! czuwa sługa Boży.

ALDONA, usuwając mu się do nóg.

Ktokolwiek jesteś, broń mnie! Strzeż mnie! twoja siła
Może te rygle więzień żelazne otworzy.
Boże! tam trup — trup jego bez głowy... o Panie!
Nieszczęsna jest ta, która twéj pomocy wzywa.

HEJDENRICH.

Jesteś ty Chrześcianką?

ALDONA.

Okropne pytanie!
Nie! nie jestem! nie jestem! jestem nieszczęśliwa!

HEJDENRICH.

Chrześcianin modlitwą nieszczęście osładza.
Lecz powiedz mi, dziewico! ja wszystko uczynię.

ALDONA.

Wszystko! o nie, rycerzu, próżna twoja władza,
Nie wskrzesisz go, widziałam krew strumieniem płynie.

Śmieje się z wzrastającém obłąkaniem i wpatruje się w ciemność.

Jakaś postać znikoma, lecz do mnie podobna,
Oddziela się odemnie, przedemną się snuje;
Jest to część méj postaci — a jednak osobna,
Przy niéj zostały czucia — ona myśli — czuje,
Ja sama jak głaz jestem... Wołam cień znikomy.
Cień się coraz oddala — coraz daléj — daléj
Rozpływa się — już blady — już ledwo widomy.

Z rozpaczą.

Ja bez czucia zostanę! Serce się nie pali,
Ostygło — zapominam, pamięć słabo kréśli,
Mówię, a słowa moje nie są wątkiem myśli,
Myślę, a myśli moje nie są wątkiem serca...

HEJDENRICH.

Jestem świadkiem początku zmysłów obłąkania.
Mindowe, ten poganin, ten ludzi morderca,
Godzien jest niebios kary. Lecz moje starania
Przywrócą jéj spokojność; czarne zmysłów mary
Znikną przed złotém słońcem, przed promieniem wiary.

ALDONA.

Wiara? ja miałam niegdyś mojego anioła,
Byłam kapłanką wiosny niedawnymi laty.
Pamiętam obraz wiosny w gaju, w końcu sioła,
Jéj czoło uwieńczały świeże róży kwiaty,
W około jodły cichym usypiały szumem.
Ileż razy przy blasku srebrnego księżyca
Sama, lub dziewic wiejskich otoczona tłumem,
Marzyłam — modliłam się...

HEJDENRICH.

Nieszczęsna dziewica!
Trzeba ją jakby dziecko łudzić wrażeń blaskiem.
Uchodź ze mną, dziewico, po nad Niemna piaskiem
Stoi klasztor, tam świętych obaczysz królowę,

Jéj obraz jest do wiosny podobny obrazu;
Będziesz ją kochać, wieniec z róż krasi jéj głowę,
Tak piękna, tak litosna, a kolumny z głazu
W każde święto okryją gałązki jodłowe.

ALDONA.

Pójdę! pójdę za tobą...

HEJDENRICH.

Już się księżyc zniża,
W cieniach nocy Mindowe ścigać nas nie może.
Weź płaszcz krzyżacki, kaptur, zawieś znamię krzyża.

Okrywa ją swoim płaszczem.

Dzisiaj jeszcze w Wojsiełka staniemy klasztorze.
Wojsiełko, syn Mindowy, tygrys w szacie mnicha,
Ukorzy się przed świętą Legata osobą.
Nie płacz, piękna dziewico! nie płacz, pan Bóg z tobą!
O! prędko w oczach dziewic strumień łez osycha.

*

Akt IV.

Sala ciemna w klasztorze Wojsiełka.

SCENA I.

TROJNAT, WOJSIEŁKO. Orszak MNICHÓW.

WOJSIEŁKO.

Bracia, mówcie pacierze — oto w nasze progi
Nowy gość przybył, nowy klasztoru mieszkaniec.
Trojnacie, porzuć zbroję, weź habit ubogi,
Za pasem bursztynowy zawieszaj różaniec,
Prędko, nie zwlekaj chwili.

TROJNAT.

Błagam was na Boga!
Wojsiełko, nie chciej w grobie zakopywać brata.
Powróć mi wolność! wolność nad życie mi droga.
O Bogi! więc się za mną wieczna zamknie krata,
Życie pełne zwiędnieje w samym wieku kwiecie.
A ten świat! świat!

WOJSIEŁKO

I cóżeś zostawił na świecie?
Ludzi? ja ich widziałem, oni mnie widzieli,

Pokazując na miecz wiszący na murze.

Ten miecz krwią był oblany... I bezpieczniéj głowę
Złożysz tu na kamiennéj klasztoru pościeli,
Niż na łonie człowieka... Marności światowe!
Tu mniéj marności, płyną godziny mniéj chyże,
I ludzie tu się snują z zasępioną twarzą;
Ale ludzie ci milczą jak grobowe krzyże,
Chcą skarżyć brata, chyba przed grobem oskarżą.
Zakonnik ciemny, twardym miodem zapalony,
Mniéj straszny od człowieka w miłosnéj godzinie.
Lecz ty żądałeś władzy? żądałeś korony?
Będziesz ją miał... Postrzyc go!

Mnichy sadzają Trojnata na ławce kamiennéj i przystępują do postrzyżyn.

TROJNAT.

Nim chwila przeminie,
Te nożyce mnie wiecznie rozdzielą ze światem.
Błagam cię, Wojsiełku! jesteś moim bratem..

WOJSIEŁKO.

Jestem mnichem... O! bracia, zapalcie gromnice,
Niech wiecznie pochwalone będzie boskie słowo.
Trojnacie — podnieś czoło! rozjaśń blade lice,
Śmiej się — a my pieśń będziem śpiewali grobową.
Klasztor jest ciemnym grobem — tu wiara okréśli
Wszystkie twoje uczucia, zniknie zawiść czarna.
Tu zapomnij o myślach... gdy masz jakie myśli,
Powiąż je razem z krzyżem jak różańca ziarna.
Wiecznie ograniczony murami ciemnymi,
Gdy zgaśnie ta pochodnia, ty zgaśniesz na ziemi.
Twoja prośba litości mojéj nie obudzi.
Ja byłem — byłem niegdyś tygrysem dla ludzi,
I jeszcze raz nim będę... Stańcie tu w około...
Patrzcie, litość wzbudzają te włosy trefione,
Co w tysiącznych pierścieniach spadają na czoło.
Przystąpcie, mnichy! włóżcie mu świętą koronę.

Mnich ostrzyga Trojnatowi pierścień włosów.

TROJNAT.

O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Pierścień włosów spalić w kadzielnicy,
Jest to dar serca, co się poświęca dla Boga.

TROJNAT.

Te włosy twardą stalą przetarte przyłbicy,
Przyłbicy, która była postrachem dla wroga,
Spadną pod nożycami, jak za ciężkie winy...
O świat! świat!

WOJSIEŁKO.

Daléj, bracia, kończyć postrzyżyny...

Wchodzi Hejdenrich i Aldona zakryta cała krzyżackim płaszczem.

Któż to?

HEJDENRICH.

Papieski Legat i książę kościoła...

WOJSIEŁKO.

Aż do ziemi pokorne uchylamy czoła...
Panie! uświęć ten klasztor łaskawości względem,
Właśnie dzisiaj zebrani w tém ustroniu cichém
Byliśmy wyświęcania zajęci obrzędem.

HEJDENRICH.

Cóż to? Trojnat! maszże ty wolę zostać mnichem?

TROJNAT.

Na moje wybawienie niebo cię przysyła,
Ja nie mam! nie mam woli — tu mną rządzi siła.
Oto gwałtem wiedziony do stopni ołtarza
Zalewałem się łzami...

HEJDENRICH.

I któż się poważa
Przed ołtarze niechętne prowadzić ofiary?

WOJSIEŁKO.

To za wolą Mindowy.

HEJDENRICH.

Ja mam wyższą wolę.
Uwolnić go natychmiast! albo święte kary
Jak gromy spadną na was zebranych w tém kole.
Klątwa! klątwa na klasztor! już wasze modlitwy
Posłane nie ulecą aż do Boga tronu.
Wasze pacierze ściągną nieszczęścia dla Litwy,
W proch się rozsypią mury waszego zakonu;
Znamię przekleństwa nosić będziecie na twarzach,
Nikt zmarłych nie pogrzebie, trumny nie poświęci;
Kwiaty leśne porosną na waszych ołtarzach,
Na waszych murach spocznie Anioł niepamięci...
Ha! zadrżeliście, mnichy? chciałem, byście drżeli...
Podnoszę klątwę — moja przytomność jest darem,
Darem dla was. Ja przez noc odpocznę w téj celi,
Wy zaś idźcie się modlić i złotym puharem
Pijcie za moje zdrowie... Tyś wolny, Trojnacie.

TROJNAT.

Więc żegnam cię, krzyżaku! żegnam ciebie, bracie!
Bracie Wojsiełku, będę pamiętał o tobie.

Odchodzi — po chwili Wojsiełko i mnichy, oddawszy ukłon Legatowi, oddalają się.

HEJDENRICH.

O! lepiéj Trojnatowi na świecie, niż w grobie —
Dla Mindowy wskrzesiłem zaciętego wroga,
Pomści się za mnie... Zdała słyszę mnichów śpiewy,
Za Legata modlitwy wznoszą się do Boga.
Wzburzam to morze mnichów i uśmierzam gniewy...
Odpocznij tu, Aldono... Nieme obłąkanie
Wyryte ma na twarzy, nie wyrzekła słowa.

Aldona siada w głębi.

Noc głęboka, nie prędko zabłyśnie świtanie...
Jaka w około cichość panuje grobowa.
O Bogu zapomniałem wśród światowéj wrzawy.
Ja! zakonnik — i pocóż mięszam się do świata?
Dla czegoż przypasałem do boku miecz krwawy?
Ubiegła dni połowa, mnogie przeszły lata,
A ja pierwszy raz myślę!... o! jak straszne męki
Myśleć...

Słychać dzwon klasztorny.

Klasztornych zdala dzwonów słyszę jęki...
Kiedyś... może i prędko... dla mnie dzwon uderzy...
I cóż czynić? modlić się?... niech się modlą ludzie!
Zapomniałem modlitwy, nie umiem pacierzy,
A jednak... nieraz, nieraz w udanéj obłudzie
Klęczę, całuję zimne podłogi kościoła.
Krwią skalany, mgłą czasu osłoniony ciemną,
Jestem wyższy nad ludzi; dla czegoż przedemną
Aż do ziemi pokorne uchylają czoła?
Mnie uczcili — uczcili szatana w człowieku!

Po chwili.

Jestem ostatni z ludzi! gdy wieki przeminą,
Będą mnie pokazywać jako widmo wieku:
Mnich i zabójca ludzi. — Ciemna mar drużyno!
Czemuś mnie otoczyła? precz! precz blade duchy:
Oto chwila myślenia! oto chwila skruchy!
Precz, szatanie! nie jestem już twoim w téj chwili.
Już dno odkryłem w prawdy zatrutym kielichu...

Po chwili, coraz gwałtowniéj.

Lecz poco ta dziewica? poco ta dziewica?
Zastanów się nad sobą, zastanów się, mnichu!
Litość w tobie wzbudzają ukraszone lica,
Ludzie jéj nie wzbudzili!... Już dusza wywrzała,
Włos osiwiał, ja grzeszę... Precz stąd, nieszczęśliwa!
Ty mnie wiedziesz do zbrodni, tyś mnie obłąkała!
Szatan w tobie zwodnicze ponęty ukrywa!...
Precz! precz! ona nie słyszy — dotknąłem się dłoni
I ogień mię pożera... Aldono! Aldono!
Weź ten sztylet, zabij mnie... Moje zmysły płoną.
Zabij mnie! zabij!... Boże! w téj cichéj ustroni
Tyle zgryzot... Precz! idź się błąkać w lasach Litwy!
O nie, zostań! nie mogę rozłączyć się z tobą.

ALDONA.

Słuchaj, naucz mnie modlitwy!
Okryta czarną żałobą
Będę się modlić...

HEJDENRICH.

Nędzna, mów Ave Maria!
Uciekaj stąd! nieszczęsna! ona mnie zabija!

Chodź ze mną, uciekajmy! te sklepienia choru
Spadną na nasze głowy — patrz, już drżą filary.
Kocham ciebie, Aldono! lecz w murach klasztoru
Nie śmiem tego powtórzyć — patrz! te krwawe mary
Męczenników rzucają już obrazów płótna,
I stoją tu przedemną — ożyły obrazy...

ALDONA.

Róża grobowa, smutna,
Okryła mogił głazy,
Usypia liści szelestem;
A on śpi w grobie! a on śpi w grobie!
Cha! cha! powiem tobie,
Czém byłam dawniéj — teraz już nie wiem, czém jestem?

HEJDENRICH.

Obłąkana... Mnich jakiś do téj sali zmierza.

Wchodzi Mindowe w habicie mnicha, z zapuszczonym kapturem.

Z czém tu przychodzisz, nędzny klasztorny żebraku?

MINDOWE.

Z rozgrzeszeniem.

HEJDENRICH.

Dla kogo?

MINDOWE.

Dla ciebie, krzyżaku.

HEJDENRICH.

Wiesz, kto ja jestem? Komtur i Legat Papieża.

MINDOWE.

Wiesz, kto ja jestem?

HEJDENRICH.

Może klasztoru posłaniec,
Co zbiega okolice i prosi jałmużny?...
Oto masz dar obfity.

Rzuca mu pieniądz.

MINDOWE.

Tyś mi jeszcze dłużny
Jednym pacierzem... patrzaj! oto mój różaniec...

Wyjmuje miecz z pod habitu.

Z takim różańcem będziem odmawiać modlitwy.

HEJDENRICH.

Precz, mnichu!

MINDOWE, zrzuca ubiór mnicha.

Mnich już odszedł — został Książę Litwy.

HEJDENRICH, dobywa miecza.

Już stąd nie wyjdziesz księciem!

Biją się — wpada Wojsiełko i mnichy z pochodniami.

WOJSIEŁKO.

Boże! Wielki Boże!
Mój ojciec?... ojcze! ojcze! skąd ta wściekłość sroga?
Na kogoż miecz podnosisz w święconym klasztorze?
Jest to poseł Papieża! jest to poseł Boga!
Mnich niezachwianéj wiary, pobożny i święty.
Będziesz wyklęty, ojcze, i klasztor wyklęty.

MINDOWE.

Poznaj go, synu, tego papieskiego posła.
Święty? dobrego nabył do świętości prawa!
Patrz na jego oblicze! ta postać wyniosła
Raz się płaszczy do ziemi, znów z ziemi powstawa,
Jak wąż w żelaznéj łuski pierścienie uwita.
Raz jest nędznym grzesznikiem, znów świętą osobą,
Ta poczwara spragniona i nigdy nie syta,
Gdyby mógł lasy zabrać, zabrałby je z sobą.
Złotą ukrywa zbroję płaszcz z wełny ubogi...
Poznajcie posła — dobrze poselstwo odprawił!
Więcéj zabijał ludzi, aniżeli zbawił.
Nie sam ujechał... patrzcie, to towarzysz drogi,
Myślicie, że to krzyżak pokorny i cichy?
Odkryjcie jego szaty!... Skamienieli mnichy!
Patrzcie! on z tą dziewicą uchodził do piekła.

WOJSIEŁKO słuchał z natężeniem słów Mindowy i rozerwał różaniec, który trzymał w dłoni, ziarna posypały się po ziemi.

Otoczyć wejścia!... Ojcze, patrz! różaniec złoty
Pękł w drżącéj wściekle dłoni... płonę ze sromoty.

HEJDENRICH.

Precz stąd! precz stąd! mnichów zgrajo wściekła!
Pogardzam waszą zemstą! zapęd marny, płonny.
Oto się ciemnym tłumem napełnia komnata,
Ja rzucam miecz na ziemię, sam wyjdę bezbronny,
I nikt się tknąć nie waży osoby Legata;
O tyle jestem wyższy nad te podłe tłumy.
Wychodzę... wam przekleństwo zostawuję Boga!

Mnichy rozstępują się, Hejdenrich wychodzi.

WOJSIEŁKO.

Któż widział tyle zbrodni razem z tylą dumy?
Wyznaję, mnie samego ogarnęła trwoga,
I ty milczałeś, ojcze...

MINDOWE.

Dziwi mnie odwaga.
Gdzie Trojnat?

WOJSIEŁKO.

Przez Legata został uwolniony.

MINDOWE.

Trojnat wolny! o nieba on pragnie korony!
Zły los moje zabiegi niszczy i przemaga.
Wyście go uwolnili... O! mnichy przeklęte,
Miło wam szeptać pacierz po murach zakonu,
Na łonie bezczynności wiodąc życie święte,
Lub dzwonić po umarłym, a słysząc jęk dzwonu,
Razem z dziedzicem z cudzéj radować się śmierci,
Że wam znów grosz za pogrzeb wpłynie do karbony.
Z ziemią ja kiedyś zrównam ten wasz gmach święcony,
Was samych wplotę w koło, rozsiekam na ćwierci.

MNICH I.

Tobie służymy, Panie, służąc naszéj wierze,
Za ciebie codzień mnogie mówimy pacierze.
Obraliśmy patronkę — na jednym z ołtarzy,
Kędy Solimskiéj Matki boskiéj malowidło,
Stawialiśmy sześć wielkich złocistych lichtarzy,
I tyleż świec z żółtego wosku — i kadzidło.

Lecz jeśli modłów naszych nie miała na względzie,
Odtąd inna patronka stróżem Litwy będzie;
Odtąd ołtarzom *panny Maryi z Ankony*
Powierzamy los Litwy i straż twéj korony.
Lecz ołtarz jéj ubogi.

MINDOWE.

Skarbu nie wycieńczę,
Bogacąc nowéj dzisiaj patronki obrazy;
Znam jéj łaskę i za nią sowicie odwdzięczę.
A mając do Maryi Solimskiéj urazy,
Chcę, żeby wszystko złoto i drogie kamienie
Przeszły odtąd na ołtarz Maryi z Ankony...
Oto niedługo słońca zabłysną promienie,
Może się zdrada wciska w mój gmach opuszczony;
Wracam do zamku śledzić podstępy Litwina.
Aldono, co krzyżackie ukochałaś zbroje
W nadziei, że Malborga okrasisz pokoje,
Dziś wrócisz do ciemnego zamku poganina.

Mindowe wychodzi z Aldoną. Mnichy, szepcąc pacierze, rozchodzą się po celach.

SCENA II.

Noc. Las sosnowy.

LUTUWER, leży pod drzewem.

Już się do nowogrodzkich zamków nie dostanę.
Rycerze mnie odbiegli — umrę! umrę w lesie!
Jutro spłonę na stosie, wiatr prochy rozniesie.
Miecz krzyżacki głęboką zadał w piersi ranę,
I krzyżak, co ugodził, miecz zostawił w ranie,
A ja ten miecz poznałem — okropne poznanie!
Na nim godło Dowmunta. — Ach gdzież jest Mindowe?
Powiem mu... Och! och! konam, do zawarcia powiek
Pomóżcie cichym szmerem gałęzie jodłowe.
Konam w rodzinnych lasach.

Mindowe wchodzi, za nim Aldona.

MINDOWE.

Ha! cóż to za człowiek?
Zraniony — krew na wrzosach!

LUTUWER, wyciągając ręce.

O Panie! o Panie!
Przybliż się — tajemnica...

MINDOWE.

To ty, Lutuwerze?

LUTUWER.

Konam!...

MINDOWE.

I tajemnicę odkrywa skonanie.
Jakaż to tajemnica?

LUTUWER, cicho

Królu! w krzyż nie wierzę.
Nie mam wiary — i krzyż mię nie może przekonać.

MINDOWE.

Skonaj bez wiary...

LUTUWER

Panie! panie, daj mi wiarę!
Jakąkolwiek, nie mogę tak bez wiary skonać.
Przyjąłem chrzest, gdyś kazał — dzisiaj Bogi stare
Wołają mnie! wołają! każ mi wrócić.

MINDOWE.

Każę.

LUTUWER.

Jodło, tyś moim Bogiem... Oto Litwy gromy
W proch obróciły złote krzyżaków ołtarze.
Od twoich zamków niższe dziś krzyżackie domy.
O straszny! straszny byłem, gdy na mnichów głowy
Ciskałem oszczep — zakon czoła nie podniesie...

MINDOWE, odwraca się.

Co to za stuk?

LUTUWER.

O panie! to nic — to po lesie
Litwini tną gałęzie na mój stos grobowy.
Czy to mi rosa spadła na czoło!

MINDOWE.

Łza moja...

LUTUWER.

Od dzisiaj będzie rosą rdzawieć starca zbroja,
Jak za tymi chmurami mgli się blask księżyca,
Jeżeli jéj od rosy wnuki nie ustrzegą.
Och! panie, jak mi cięży jedna tajemnica!
Przeklniesz! nie wypełniłem rozkazu.

MINDOWE

Którego?

LUTUWER.

Och! zabójstwa...

MINDOWE, zimno.

Którego?

LUTUWER.

On żyje.

MINDOWE

Kto taki?

LUTUWER, coraz słabiéj.

Nie pomnę już imienia, muszę przypominać.
On mnie zabił, chcę przekląć, on walczył z Krzyżaki.
Nie pamiętam imienia -- nie mogę przeklinać.
Och! och! och!...

Kona.

MINDOWE.

Skonał... zimny... Patrzę na twarz bladą,
I zamiast starca rysów z uwiędłym wyrazem
Widzę rysy dziecięcia; wychowani razem,
Ja go dzieckiem widziałem. Dziś go na stos kładą.

Wchodzą żołnierze.

Litwini — nieście za mną Lutuwera zwłoki
Do zamku Nowogródka. Tam wznieść stos wysoki.

Odchodzi, dając rozkazy, za nim wynoszą ciało Lutuwera.

SCENA III.

Świątynia pogańska w nowogródzkim zamku.

ROGNEDA, przy ołtarzu sypie kadzidło.

Boże piorunu! rzucam dla ciebie kadzidło!
Wonny się bursztyn pali.

Niechaj twoje mgliste skrzydło
Białowiejskie puszcze wali;
Zostaw tam lasy ogniem zapalone gromu.
Przybywaj! przybywaj, Boże!
Wszystkie duchy do książąt przybywajcie domu,
Nim wasze ciemne twarze jasne rozmgli zorze.
Już słyszę... jako szumi wzdęta nawałnica,
Kiedy sosny druzgota Boga wichru ramię;
Z takim szumem wir duchów przy blasku księżyca
Płynie topi się i łamie.
Matka królów was wita!
Oto dla was ofiary
Rzucam w kadzielnic żary.
To dla Bogini wiosny — ten kwiat, co rozkwita,
A to dla Boga zimy — ten kwiat, co usycha,
A to dla Boga piekieł — brylant z krzyża mnicha.

Po chwili.

Rozwidniają się duchy w mrocznym kadzidł dymie.
Bogi! syn mój do dawnéj znów powrócił wiary,
Na waszych zgliszczach setne zapali ofiary.
Mindowe... syn mój... z dumą powtarzam to imię!
Mindowe! czy słyszycie? powiedzcie mi, Bogi,
Czy on będzie szczęśliwy? czy długo los błogi
Utrzyma go na tronie? czy przekleństwa moje,
Które niegdyś ściągnęła gorżka jego wina,
Nie zaszkodzą mu w życiu? przeklinając syna,
Bałam się ich spełnienia i teraz się boję.
Mówcie! lecz serce własnym modłom nie dowierza,
Już mi braknie na wasze zaklęcie wyrazu.
Mówcie!

GŁOS Z OŁTARZA.

Mindowe zginie od ręki rycerza,
Który poległ zabity z Mindowy rozkazu.

ROGNEDA.

To był głos ludzki!... nie, nie, to są boskie słowa!
Bogi, czemuż tak nagle znikacie przedemną?
Daliście mi odpowiedź okropną i ciemną.

Zniknęli, znów mnie ciemność okryła grobowa.
To może natężone zmysły mnie uwiodły.

Oddala się. — Trojnat i Hejdenrich wychodzą z poza filarów, gdzie byli ukryci.

TROJNAT.

Rogneda za Mindową zasyłała modły,
Nie można na nią liczyć — to matka...

HEJDENRICH.

Trojnacie!
Słyszałeś, jaką dałem odpowiedź z ołtarza?
Pierwszy raz Legat zasiadł w takim majestacie;
Pierwszy raz posłańcowi Papieżów się zdarza
Dawać wyrok przez usta pogańskiego boga...
Lecz Mindowe za nami z klasztoru przybędzie,
Nie wie, że w zamku znajdzie ukrytego wroga;
Gdy walczy w Prusach, Krzyżak stolicę zdobędzie,
I za wszystkie poprzednie zdrady mi zapłaci...
Panie! na twe rozkazy mam dwudziestu braci,
A każdy zbrojny mieczem i krzyżem i tarczą.
Teraz, gdy na Krzyżaków wyszli wojownicy,
Te małe siły w naszych zamiarach wystarczą;
Potem miodem znęcimy zmienny lud stolicy.

TROJNAT.

Z nocą trzeba otoczyć zamek z każdéj strony,
Ja sam się wkradnę z mieczem w znany gmach zamkowy,
Zgładzę dzieci, by przez nich nie stracić korony.

HEJDENRICH.

A Mindowe?

TROJNAT.

Kto inny knuje śmierć Mindowy.

HEJDENRICH.

Lecz, książę, gdy zasiądziesz w litewskiéj stolicy,
Czy wspomnisz, że ci Krzyżak dopomógł w zamiarze?

TROJNAT.

Wzniosę ołtarz...

HEJDENRICH.

O! niechaj w proch padną ołtarze!
Ale nie waż się wdzierać do pruskiéj dzielnicy,
Nie waż się...

TROJNAT.

Tak, zadosyć uczynię twéj chęci,
Usługę waszę w wiecznéj zachowam pamięci.
Idźmy! idźmy! Mindowę już w ręku trzymamy,
Idźmy otoczyć zamek i osadzić bramy.

*

Akt V.

Sala w pałacu Mindowy.

SCENA I.

MINDOWE, ROGNEDA, siedzi na przodzie sceny.

MINDOWE.

Matko! próżna ucieczka, w każdéj zamku bramie
Widzę, błyszczą zdaleka buntowników zbroje.
Jak tygrys w klatce, chyba mury te rozłamię.
Nigdym się nie bał śmierci — teraz się nie boję,
Lecz rozpacz ogarnęła, wściekłość mnie porywa.

ROGNEDA.

O synu mój! nie umrze ten, kto Bogów wzywa,
I kto z ufnością boskim wyroczniom zawierza.
Słuchaj... nie możesz zginąć jak z ręki rycerza,
Który poległ zabity za twoim rozkazem.
Ufaj i śmiało ludzkim pogardzaj żelazem,
Chyba umarli wstaną...

MINDOWE.

Kto? te mnichów tłumy,
Którzy poszli do piekła... Kto? te Niemcy harde,
Którzy z życiem wrodzonéj pozbyli się dumy.
Dla żywych i umarłych równą czuję wzgardę,
Umarłych się nie lękam...

ROGNEDA.

Lecz Dowmunt?

MINDOWE.

Śpi w grobie.
Gdyby ci wstawać mogli, których grób pokrywa,
Nie śmiałyby się żony ubrane w żałobie,
Ani dziedziców radość byłaby tak żywa.
Matko — i ja nie wrócę, gdy dziś w grobie zasnę.
O! zamku, co przetrwałeś długie wieków burze,
Ciebie najprzód powita jutro słońce jasne,
Ja ciebie żegnam... Zamku na wysokiéj górze!
Byłeś ty gniazdem orła, orzeł ciebie wsławił,
W tobie zasypiał, w tobie zwykł łupy pożerać,
I nieraz cię krwią ofiar niewinną zakrwawił;
Ale czyż orzeł w gnieździe powinien umierać?

ROGNEDA.

Serce rozdzierasz, synu.

MINDOWE.

Rozdzierałem serca.
Bezbożny, zbójca, tyran, obłudnik, morderca:
Jedna z tych zbrodni ludzkie wypali sumienie,
Jam wszystkie spełnił — zimno — znużony po zbrodniach
Głębiéj teraz spać będę i w grobowe cienie
Przejdę przy jasnych wiosek krzyżackich pochodniach.
Ach matko! ciężkie, ciężkie było moje życie,
Czułem, choć twarzą boleść wskazywałem rzadko.
Nikt mnie nie kochał!...

ROGNEDA.

Słyszysz tego serca bicie?
Kochałam cię...

MINDOWE.

A jednak przeklęłaś mnie, matko!

ROGNEDA.

Niemasz ty serca, synu! on mi przypomina!
Przekleństwo zapomniane!

MINDOWE.

Tu czara nalana
Słodkiém winem, truciznę przymięszam do wina.

Sypie truciznę.

O matko! tu Aldona idzie obłąkana.

Wchodzi Aldona i w obłąkaniu zdaje się kogoś prowadzić za sobą

ALDONA.

Chodź tu za mną, Dowmuncie, w téj sali tak głucho,
I ty za głośno stąpasz... słyszy moje ucho
Ciężkość twoich odetchnień — szelest twojéj szaty...

Po chwili.

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie?... grób ten dwoje kochanków przykryje.

Po chwili.

Chodź za mną, daj mi rękę, jak twe serce bije?
Bije zanadto głośno, Mindowe usłyszy!
Czego tak głośno stąpasz? w pałacowéj ciszy
O sklepienie się każde westchnienie roztrąca.
I uśmiech taki zimny — i dłoń taka drżąca.

Idzie do okna.

Czemu tak wcześnie? czemu tak wcześnie?
Już mię porzucasz, drogi mój! miły!
Jeszcze gmach cały spoczywa we śnie,
Ledwo wieczorne gwiazdy zalśniły.
Lecz oko twoje moich unika
I łzami smutna błyszczy źrenica.
Czy cię tak smuci ten głos słowika?
Czy cię tak smuci ten blask księżyca?

MINDOWE.

Nieszczęśliwa... więc dam jéj zatrute napoje...
I któżby z ludzi sądził, żeby serce moje
Miało tyle litości?

Podaje Aldonie czarę.

Dowmunt ci przysyła
Ten napój, wypij, zaśniesz...

ALDONA, z uśmiechem.

To Dowmunt?...

MINDOWE.

Wypiła...

ALDONA.

Noc była ciemna i chłodna,
Czułam, jak się myśl moja rozdzielała zemną
I mowa z wątkiem myśli stała się niezgodna.
Straszna to była chwila, jeszcze w noc tak ciemną.
Lecz dawniéj, kiedyś — w téj saméj dobie,
Była straszniejsza chwila w téj sali...
Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... czy słyszysz dźwięk stali?
Chroń się; o Boże! wyłam okien kraty...

Śmieje się z obłąkaniem

Tam na grobie rosną kwiaty,
A w grobie...

Śmieje się dziko.

Aldono! tyś pobladła — Aldono, co tobie?
Nic mi, mój luby... bywaj zdrów na wieki!

Wychodzi zamyślona.

MINDOWE.

Niech prędko sen śmiertelny zamknie jéj powieki...

ROGNEDA.

Słyszę jakieś stąpania — synu! synu drogi!
Patrz, oto klucz od świątyń — przez te drzwi komnaty
Uchodź — tam będą bronić wielkie Litwy Bogi,
Tam w ołtarzu odemkniesz potajemne kraty,
Jest wyjście do ogrodu, kędy lampa świeci...
Zapomnij przekleństw.

MINDOWE, wskazując na jedne z drzwi.

Matko! tam! tam moje dzieci!...

Wychodzi innymi drzwiami.

ROGNEDA, sama.

Poszedł... ostatnich jeszcze kroków szelest słyszę?
I te już nikną... poszedł — wszędy grobu cisze...

Po chwili.

Gdzież jestem? czy młodości wróciła godzina!
Wszyscy są tu koło mnie — książęca rodzina
Otoczyła mnie w koło. Nie są to obrazy,

Które z płótna się patrzą nieruchomym wzrokiem;
Widzę ich — na obliczu czas nie wyrył skazy,
Nie zakryli się żadnym posępnym obłokiem.
Jak wczoraj pożegnani.

Mówi do otaczających ją duchów.

Ryngolcie! mój mężu!
Siądź tu przy mnie... Patrz, jak ta dziecina na łonie
Uśmiecha się i w twoim podoba orężu.
Nierusz miecza, Mindowe, okaleczysz dłonie.
Masz kwiatek, baw się z kwiatem, dziecię, duszo moja!
Ty się uśmiechasz, mężu — Ryngolcie kochany.

Słychać szczęk broni.

Broń jęknęła — Ryngolcie, czy to twoja zbroja
Zajęczała tak smutnie? czy miecz spadł ze ściany?
Ty znikasz, pójdę z tobą — nigdy się nie chwiałam,
Czy przyjmiesz mnie do grobu? czy przyjmiesz?

Przez kilka chwil milczy zamyślona — Trojnat ze sztyletem w ręku, blady, przechodzi przez głąb sali — i wchodzi do pokoju dzieci przez drzwi, na które Mindowe wskazał, oddalając się.

Słyszałam!
Tak, to on był!

Mindowe wraca.

MINDOWE.

Kto matko? kto matko!

ROGNEDA, z zadziwieniem.

Mindowe?
Pocoś tu przybył! poco szukasz tu schronienia?
Uciekaj! miecz ukryty spadnie na twą głowę.

MINDOWE.

Nikogo tu nie widzę oprócz mego cienia,
Który po raz ostatni pada na te ściany.
Matko, widać nieszczęściem umysł masz zbłąkany.
Próżna ucieczka, losy niechaj się uiszczą,
Byłem w świątyni, zewsząd zdradne miecze błyszczą.
Czy był tu kto?

ROGNEDA.

Gdzie Trojnat? Trojnat tu przechodził.
Zdaje się, że widziałam sztylet — we krwi brodził.

MINDOWE.

Gdzie Trojnat? Matko moja! gdzie Trojnat — on zginie.
Chciałbym ukarać sprawcę niegodnego czynu.
Matko, powiedz! ach powiedz! nim chwila przeminie,
Będzie zapóźno...

ROGNEDA, z rozpaczą.

Ja go nie widziałam, synu!,
Nie lękaj się — nie zginiesz od Trojnata dłoni,
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;
Chyba umarli wstaną, chyba Dowmunt wstanie.

MINDOWE.

O matko! oby prędzéj zabłysło świtanie.
Zaledwo się od wschodu rozwidnia noc ciemna,
Srebrne mgły się podnoszą. Zda mi się, że słyszę,
Jak smutno szumią wody błękitnego Niemna,
Jak posępnie litewskim borem wiatr kołysze.
Matko, czujesz przez okna téj gotyckiéj sali
Kwitnących jodeł płynie balsamiczne tchnienie.
O Litwo moja! syn twój na ciebie się żali,
Zdradzasz go. Niech już słońca zabłysną promienie.
Nie wytrzymam, tak srodze duszę moję nęka
Ta nad głową z sztyletem zawieszona ręka.

Podczas ostatnich słów wchodzi Dowmunt w krzyżackiéj zbroi, z zapuszczoną przyłbicą. Rogneda do końca aktu siedzi nieporuszona.

DOWMUNT.

Zapłaciłbym krwią moją tak podłe wyznanie,
Boisz się umrzeć — zgonu boisz się, tyranie!
Płacz i głoś żal za życiem niewieścimi słowy,
Nakarmię dziką zemstę bojaźnią Mindowy,
Ujrzę płacz rzewny dziecka.

MINDOWE.

To krzyżak! strach marny.
Dzieci tylko przeraża zbroja i krzyż czarny,
Broń się...

Biją się i po długiej walce zastanawiają się oba.

A więc innego użyjmy sposobu.
Oba odrzućmy zbroje — ten, kto mnie zabije,
Musi wprzód wejść do grobu, potem powstać z grobu.

DOWMUNT.

Pomnisz Dowmunta!

MINDOWE.

Skonał.

DOWMUNT, podnosi przyłbicę.

Już zmartwychwstał, żyje.
Patrz, kto ja jestem!

MINDOWE.

Matko! matko! mąż Aldony

DOWMUNT.

O Boże! mąż Aldony! tak jest, mąż Aldony!
Broń się, nieszczęsny! cała wściekłość mi wróciła.
Odemszczę w krwi tyrana nieszczęścia méj żony.

MINDOWE.

Więc i śmierć jéj odemścij.

DOWMUNT.

Jakto? ona żyła!
I choćby serce uschło, ją mój wzrok ożywi,
Będziemy jeszcze razem, będziemy szczęśliwi,
Jak dziecka strzec jéj będę i osłodzę płacze.
Powiedz, że ona żyje! wszystko ci przebaczę,
Nawet tę wieść ostatnią okropną i ciemną.

MINDOWE.

Ona piła truciznę, zginie razem ze mną.

DOWMUNT, przebija go.

Ty prędzéj zginiesz! Boże! Aldona! Aldona!

Wybiega.

MINDOWE, opiera się o filar sali.

Krew mi płynie strumieniem z rozdartego łona.
Matko moja! chodź, zamknij! zamknij oczy syna.
Jak się ciężką wydaje ta żelazna zbroja,

Ten miecz okropny mrozem krew mi w żyłach ścina.
Czyżeś mię opuściła? matko! matko moja!
Przekleństwo wam! o mnichu! mnichu, precz mi z krzyżem.
Na tron nieście, a w mnichy Trojnata postrzyżem.
A ty po co nademną szepcesz te pacierze?
Boże mój — Boże, ciągle odzywa się we mnie,
Precz, mnichu! sen przerywasz, niech boleść uśmierzę,
Niech zasnę! och, niech zasnę! daremnie! daremnie!
W strasznych bolach o wszystkiém w świecie zapominam,
Świat i siebie przeklinam — i dzieci przeklinam.
Wszystkich przeklnę. — O matko! gdzie są moje dzieci?

Trojnat wychodzi z dzieci pokoju ze sztyletem, blady.

TROJNAT.

Nie, tu niema nikogo — lampa tylko świeci.
Gdzież ta korona? gdzież jest? zabić bez nagrody.
Gdzież jest moja korona? gdzie purpura księcia.
Jak mi ciężko — okropnie...

Patrzy przez okno.

Słyszę ranne chłody,
Spojrzę na ziemię, róża jest jak twarz dziecięcia,
Spojrzę na niebo, księżyc jest jak twarz dziecięcia,
Wszystko mi przypomina. Raz pierwszy krew leję,
Potem przywyknę — teraz pot się sączy z czoła.
Noc straszna. Włos od zgryzot przez noc mi zbieleje.
Jakiś szmer słychać — może to mnie dziecię woła?
Czy wrócę ich dokonać? Nie, tak mi się zdało.
Ciemno lampa płonęła, jedno z dzieci spało
Po płaczu utulone jak na łonie matki,
I przez sen niespokojne marzyło wyrazy;
Drugi już się przebudził — i wołał o kwiatki,
I niewyraźne dawał piastunce rozkazy;
Potem nagle zapłakał, gdy żadnéj nie było,
I jakby mu się jeszcze coś strasznego śniło,
Jeszcze zapłakał — jęknął — znów cicho w komnacie,
I jeszcze — jeszcze jęknął.

MINDOWE.

Trojnacie! Trojnacie!
Skończ! skończ! przekleństwo tobie! o boleść straszliwa!

Mocniejsza teraz, kiedy życie dogorywa.
Gryzłbym z jękiem te twarde kolumny marmuru.
Przeklinam ciebie — matko, ty przeklnij mordercę!
Twych przekleństw ja doznałem. Boleści tortury!
O, gdyby prędzéj skończyć! przebij mi to serce,
Lecz nie tym mieczem, którym zabijałeś dzieci,
Precz! precz! czuję, duch z jękiem ostatnim uleci.
Och! och! och!

Kona.

Dowmunt wpada prędko, prowadząc za sobą obłąkaną Aldonę.

DOWMUNT.

Ach przemów! przemów do mnie, o droga Aldono!

ALDONA, śpiewa z obłąkaniem.

Oto złotą osnową
Winie mi się wrzeciono,
A ja śpiewam dziecinie:
Jeśli się nić uwinie,
Uwieńczona koroną,
Będziesz kiedyś królową;

Przestaje śpiewać.

Jeśli się przerwie — pieśń ci zaśpiewam grobową.
Pamiętam, tak mi niegdyś piastunka śpiewała,
Czy się ta nić uprzędła? czyli się urwała?
Nie wiem — już nie pamiętam, to tak dawno było.

DOWMUNT, z rozpaczą.

Czy ty mnie znasz, Aldono?

ALDONA, zimno.

Tak, myśmy się znali
We śnie. Tyle mi twarzy na świecie się śniło,
Któż sny pamięta.

DOWMUNT.

Lampa tak ciemno się pali,
Dla tego nie poznała.

Bierze lampę i z nią przystępuje do Aldony.

Patrz! twój Dowmunt żyje.
Stoi przed tobą. Patrzaj! choć nieszczęście zmienia,

Nie zmieni rysów twarzy — zginął stróż więzienia,
Ja odzyskałem wolność...

ALDONA.

Ach, jak mi wesoło!
Idę do ślubu, wianek zawieszę na czoło.
Jeden kwiat polnej róży
I dużo rozmarynu,
Niechaj mi szczęście wróży;
Dwie gałązki jaśminu
I jeden liść paproci.
Patrzaj! oto poranek blado niebo złoci.
I tak mi słabo — tak mi w oczach ciemno.

DOWMUNT.

O luba! droga moja — chodź ze mną! chodź ze mną!
Niepłacz — czas wszystko zgładzi, zmysły ci powrócą.
Strzec cię będę jak kwiatu, otoczę kwiatami,
Żadne ponure myśli szczęścia nie zakłócą,
Łzy moje cicho będą płynąć z twymi łzami.

ALDONA, wpatrując się w Dowmunta, z uśmiechem.

Dowmunt!

DOWMUNT.

Ty mnie poznałaś?...

ALDONA, oglądając się.

Jak tu ciemno w gmachu,
To kwiaty na podłodze...

DOWMUNT.

Krew skalała głazy.
Chodź! chodź! oto ich twarze pobladły z przestrachu.

ALDONA, śmiejąc się z obłąkaniem.

Cha! cha! ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy.
I ból. Niech go uczuję głębiéj. — Och! rozdziera,
Rozdziera mi wnętrzności. Wyrwij mi go z łona.
Już widmo ciemne myśli bladnie — obumiéra.
I wszystko przeszło. Boże och! och! och!

Umiera.

DOWMUNT, padając przy niéj na kolana.

Aldona!

Wchodzi Krzyżak

KRZYŻAK, do Trojnata

Kapłan litewski panem Litwy cię ogłasza,
A lud radosnym krzykiem jego wybór święci.

TROJNAT.

Nie gadaj do mnie... wszystko wygasło w pamięci.
Lecz głos dumy — sumienia boleści rozprasza,
Może o tém zapomnę, gdy włożę koronę.
Dowmuncie! chodź z téj sali...

DOWMUNT.

Patrzaj na Aldonę,
Jaka blada, jak zimna — to Aldona!

TROJNAT.

Blada?
Ach właśnie taka bladość była dzieci twarzy,
Tak były ciche, zimne... Okropna to zdrada!
Zabijać dzieci! dzieci! Ale mi się marzy,
Że jeden jeszcze westchnął... pójdę tam — zobaczę,
Nie, nie, to było tylko konających drganie.
Tyle razy słyszałem z ich kolebek płacze,
Nie dziw, że mi się marzą.

KRZYŻAK.

Lud cię woła, Panie.

TROJNAT.

Tak, prawda — lud mnie woła i na króla święci,
Matko! matko Mindowy! spełnione twe chęci.
Cóż to? nie słyszysz, matko?... Nic nie odpowiada.
Rognedo! twego syna ziemia dziś pokryje.
Rognedo? cóż ty milczysz?

Zbliża się do nieruchomie siądzącéj Rognedy.

Przebóg! jaka blada,
Nieruchoma, skościała — zimna —

Bierze ją za rękę.

Już nie żyje.

*

1829.

PRZEDMOWA

do I. wydania Mindowy i Maryi Stuart.

Ktokolwiek zechce przeczytać do końca dwa tomy niniejszych poezyj, przekona się, jak mało czytelnika sobą i własnymi uczuciami zatrudniam; usilnie kryłem się za osoby działające w powieściach, jeszcze mniéj widać autora w dziełach scenicznych. Odczytując świeżo dramat Mindowe, wpadam na myśl, że pierwszym z zarzutów krytyka może być niedostateczność układu, drugim bezbożność, a oprócz tych zarzutów, iluż błędów wiersza nie wyśledzi oko wglądającego przez mikroskop gramatyka. Niech mi więc wolno będzie, uprzedzając krytyki, wyznać, że sam czuję najlepiéj wszystkie niedostateczności dramatu Mindowe, a części przynajmniéj błędów starałem się w Maryi Stuart uniknąć. Mamże jeszcze z szczerszą otwartością postąpić? mamże wyznać, że Mindowe jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych, napisany przed trzema laty, wtenczas, kiedy autor miał lat... Ale nie, zamilczę o wieku autora, bo to byłaby nadto słaba i bezużyteczna obrona i możeby słusznie jakie z pism peryodycznych polskich, naśladując Edinburgh Review — (tylko samo bardziéj błahe i nad bardziéj błahym pastwiąc się autorem) powiedziało: iż kiedy nie na tytule dzieła, to przynajmniéj w przypisach o przywileje małoletnich upominam się. I tak Mindowe powinien był wiecznie w tece dziecinnéj pozostać; wiecznie by w niéj pozostał, gdyby nie dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego. Ależ i w akcie trzecim, na który niejako uwagę czytelnika zwrócić usiłuję, pozostało mi tu uczynić przykre może dla wielu innych, ale dla mnie mało ważne wyznanie. Jeden z literatów, który dawniéj przebiegał sceny Mindowy, uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora

w ślicznéj Grażynie Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historyi Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawném ubóstwie królów i kniaziów. Nieraz książę Tweru albo Nowogrodu, testamentem rozpisując swoje skarby, jednemu z synów kubek, drugiemu szatę jedwabną, trzeciemu łańcuch daje w spuściźnie. Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych, podało mi myśl wzmiankowanéj sceny, i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz:

Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję.

I ten drugi:

A tu patrz, Lutuwerze, jak posępne gmachy.

Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam.

Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściéj, bo malują wiernie naturę i serce człowieka; ta różnica tylko zachodzi, że dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowie naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudném byłoby powiedzieć, że Walenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Walenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającéj w Walenrodzie, jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przystosowania, również jak błędy przez drukarzów popełniane prędzéj w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą.

Ale z drugiéj strony, ileż w tegoczesnych poetach nowych myśli? jaka moc zadziwiająca wynalezienia? słusznie Cousin w historyi filozofii osiemnastego wieku powiedział: że wiek dziewiętnasty będzie bogatym w wielkich poetów, albowiem Bóg obfitą dłonią rozlał na ludzi

nowe zasoby imaginacyi; ale niesłusznie tenże pisarz dodał, że Bóg uczynił to jakoby dla wynagrodzenia ludzi za oschłość politycznych wypadków wieku; sądziłbym, że wiek ten będzie w wypadkach swoich poetycznym i że skarby imaginacyi wylane zostały na świat celem usposobienia ludzi do wielkich czynów i przedsięwzięć, celem silniejszego popchnięcia dążności ludów.

Przekonany jestem nakoniec, że wszelką bezbożność w słowach Mindowy odkrytą, uprzedzony chyba i płocho sądzący czytelnik na karb autora policzy. Trzebaż było, aby Mindowe w każdém słowie, lękając się obrazić czytelnika, obrażenia krzyżaków lękał się? Wyrzeczenie się wiary, zerwanie z krzyżakami, bula papieska, w któréj Inocenty IV. daruje królowi wszystkie kraje, jakie kiedykolwiek Mindowe mieczem pozyska na Danielu książęciu z Halicza, są to fakta z historyi wyjęte. Te rysy były głównym zawiązkiem utworu, musiały więc pozostać, i śmiem dodać, że sceny te, jako żywcem z historyi wydarte, są jedyną zapewne zaletą źle ułożonego obrazu.

*

MARYA STUART

DRAMA HISTORYCZNE

W

PIĘCIU AKTACH.

Osoby.

MARYA STUART, królowa Szkocyi.
HENRYK DARNLEJ, mąż Maryi Stuart.
MORTON, kanclerz.
RIZZIO.
BOTWEL, kochanek Maryi.
DUGLAS.
LINDSAY.
PAŹ Maryi Stuart.
NICK, błazen Henryka.
ASTROLOG.

Scena w pałacu Holy Rood.

Akt I.

SCENA I.

Sala w pałacu Holy Rood.

MARYA STUART, RIZZIO, PAŹ.

PAŹ, wbiega prędko.

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj, królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy;
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiéj kaplicy.
Dziś, królowo, nad rankiem, za ogrodu murem
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda:
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem
Mały Janek i strzelce i Maryanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem; wtem zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się dokoła;
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potem wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli... Znów ten człowiek blady
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy
Przeciwko tobie, pani, lud budził do zdrady.

RIZZIO.

Poznałem z opisania, to był Knox, królowo;
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,
Lud modli się i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześciańskie podaje nauki;
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!

Jak Papież klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

PAŹ.

Królowo! śmielsi z ludzi do zbrodni gotowi
Wpadli do twéj kaplicy z dzikimi okrzyki;
Gniazdo papistów! krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
Wtem patrzę, oto w szaty kościelne przybrany
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja — i śmiele
Jak ksiądz zaczął kazanie w święconym kościele.
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mnie orężem — o ścianę oparty
Miałem ulec — wtem Botwel z królewskimi warty
Przybył — ocalił pazia, kaplicę otoczył.

MARYA.

Rizzio! słyszałeś? Sama — sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich, lud mnie nienawidzi;
Ów Knox śmiało urąga kobiecéj koronie,
Takżem to nisko spadła? przeklina mię, szydzi,
Rozdzierają to serce. Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam! czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocyo!...

RIZZIO.

Przestaną!
Przestaną cię obrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak, pozwól, królowo;
Paziu, pisz rozkaz — niechaj schwytani na zbrodni
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

Paź bierze pióro i siada nad kartą pargaminu.

Pisz rozkaz, przewinili, litości niegodni.
Wszystkich bym jednym stosu ogarnął płomieniem.

MARYA.

Cały lud byś wytępił? jaka zemsta dzika!
Lud mię zdradza.

PAŹ, pisząc.

Królowo! czyliż z twém imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

MARYA.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś jego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem,
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz? — nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła.

RIZZIO.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy na obłoków tronie
Tonące w Tybrze patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie,
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłém czołem widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonéj kary,
A cnót przyćmionych kiedyś znajdą się obrońce,
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce.

MARYA.

Wiara każe przebaczyć.

RIZZIO.

Bóg ma kary w niebie,
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryje niesławą,
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie
Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie
Zapalić jasny świecznik, niech błyska i płonie.

Do pazia, który skończył pisać i wstaje.

Skończyłeś, paziu? dobrze, zawołaj rycerza,
Który dziś straż odbywa.

Paź wychodzi.

Wyrok swój usłyszą.
Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza.
Jak pióra, co na mojéj głowie się kołyszą,
Zadrżą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

MARYA, RIZZIO, DUGLAS, PAŹ

MARYA.

Witam ciebie, Duglasie, niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowéj.
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.

Duglas odbiera pismo z rąk królowéj, przegląda je i czeka.

Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niém ubliżyć kobiecie? królowéj?

DUGLAS.

Królowéj? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz, pani — oto na tym pargaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłéj godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba,
Imię z twojém imieniem zawsze było w parze:
Wybacz śmiałości mojéj, może się podoba
Sprostować błąd?

RIZZIO.

Królowa nie błądzi, gdy każe.

DUGLAS, ze wzgardą.

Niech z samych ust królowéj otrzymam odprawę,
Czekam jéj odpowiedzi.

MARYA.

Spełń rozkaz.

DUGLAS, zapalając się.

Na Boga!
Wstrzymaj, pani! o! wstrzymaj te rozkazy krwawe!
Królowo! chcesżże, aby krwią zalana droga

Wiodła do twego tronu? do tronu kobiéty?
I niezgody pochodnia na królewskim dworze,
Niewiem, kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty.
Albo ją wiatr francuski roznieca przez morze.
Słowa wyroku wzięte z weneckiego śpiewu,
Z barkaroli harfiarza, lub z hymnów Papieża.
Więc aż w Szkocyi je słychać... pragną krwi rozlewu!
Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza,
Może zostanie...

MARYA.

Dosyć! pamiętaj, Duglasie!
Mnie twoje płoche słowa obrazić nie mogą,
Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą,
Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie...
A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
Jestem królową...

DUGLAS.

Przebóg! ja stracę ostrogi?
Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie,
Ani je podstępnymi zdobywałem drogi,
Nie dała mi ich harfa, nie dało śpiewanie,
Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu,
Gdziem je zyskał, powiedzą pola Albionu:
Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
Szczycę się długim przodków szlachetnych poczetem,
A wszyscy! — wszyscy! mieczem służyli Stuartom.

RIZZIO.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem...

DUGLAS.

O nędzny! coś wymówił? co słyszałem? Boże!
Ha! więc znasz jak Duglasy mścili swéj zniewagi?
Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze,
Na kimże ja się zemszczę? — lalka, bez odwagi,
Oto trefione włosy i różane lice:
Przystąp tu, małe dziecko — rzucam rękawicę!

Rzuca rękawicę.

Podnieś — jeśli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

RIZZIO, podnosząc.

Podnoszę... Z mojéj strony, oto masz wyzwanie.

Bierze kwiaty leżące na stoliku przed królową i rzuca je pod nogi Duglasowi.

Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi
Tu, w obliczu królowéj...

MARYA, do Rizzia.

Z mojego rozkazu
Odrzuć tę rękawicę...

RIZZIO.

Rzucam, nie mam zbroi,
I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu...
Daj mi wachlarz, królowo!...

DUGLAS, z wściekłością.

Jeszcze raz znieważył,
Odrzucił rękawicę... Królowo! królowo!
Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,
Już nie zaśnie pod dachem, gdzie pożar rozżarzył.
Przysięgam, ścigać będę... Nie zechce się bronić?
Zostanę podłym zbójcą, pójdę za nim w ślady;
Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.
Znajdzie mnie tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,
Znajdzie mnie u podwoi, w ogrodach, w kościele,
Znajdzie na dworze Francyi, przed tronem Papieża,
Choćby mu się słał u nóg, jak się teraz ściele,
Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza...

Zimno, ze wzgardą.

Kiedyś, królowo... kiedy dworem okolona
Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty,
Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,
A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,
Podam ci ten kwiat — we krwi!...

MARYA.

Rizzio! chodź z téj sali.
Widzisz, Duglasie! jestem ze Stuartów rodu,
Umiem pogardzać.

Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potem wraca.

RIZZIO.

Jutro — w chłodnikach ogrodu
Czekam ciebie, Duglasie, i na ostrzu stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

Odchodzi śpiesznie za królową.

SCENA III.

DUGLAS, sam.

Jutro — dzięki tobie!
Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi;
Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie...
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał?... nawet drżącą dłonią
Rzucał pod nogi kwiaty — gardził?... być nie może,
Żeby Duglasem wzgardził! on wie — śmiercią grożę...

Zamyślony, spokojniéj.

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią?...
Czuję, nie mógłbym w piersi odkryte uderzyć...
Dam Włochowi miecz dłuższy doświadczonéj mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć,
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila,
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

DUGLAS, MORTON, wchodzi.

DUGLAS.

Witam, wielki kanclerzu, właśnie szukam ciebie;
Obacz jako małżeńska miłość się przesila,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.

Daje rozkaz królowéj.

Przyłóż pieczęć.

MORTON, przeglądając pismo.

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?
Ja mam przyłożyć pieczęć — jeśli nie przyłożę,
Królowa powie na to...

DUGLAS.

Mówiła królowa:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.

MORTON.

Tak mówiła? słyszałeś?...

DUGLAS.

Słyszałem.

MORTON.

Mówiła!?...

DUGLAS.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!
Trzeba pieczęć przyłożyć...

MORTON.

Lecz gdy król się dowie,
Co powie na to?

DUGLAS.

Łatwo zgadnąć, co król powie:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Weźmie ją ręka dotąd dzwonkami brzęcząca.

Śmiejąc się, odchodzi.

MORTON.

Czekaj! czekaj, Duglasie — bojaźń mię przenika,
Pójść do królowéj?... Nie, nie, pójdę do Henryka.

Odchodzi

SCENA V.

Scena w pokojach Henryka Darnleja.

HENRYK DARNLEJ, NICK.

NICK.

Nagródź mi, królu...

HENRYK.

Za co?...

NICK.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki bez dzwonków.

HENRYK, śmiejąc się.

O! szkoda!...

NICK, smutno.

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię tajemnicę chowałem Midasa:
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!

Po chwili milczenia.

Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnéj nie będzie różnicy...
Takiéj żądam nagrody...

HENRYK.

Cha! co ci się roi?...
Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Prócz ubioru, coś jeszcze biedny Nick dostanie?

HENRYK.

Żądaj więc...

NICK, myśląc.

Królu, daj mi — daj —

Wesoło.

Portret królowéj.

HENRYK.

Dam ci swój...

NICK.

Twego nie chcę, daj mi szyling, panie,
Na nim jest wizerunek królowéj w koronie;
A ciebie na szylingu nie ma...

HENRYK.

O! straszliwie!
Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie,
Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia!... jam na wszystko gotów,
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mnie małe:
Oto jest mąż królowéj!... Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowéj — to wielka dla Darnleja sława?...

Zamyśla się.

NICK, niby do siebie mówiąc głośno.

Nie dał szylinga, pójdę, nie wytrzymam dłużéj,
Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
Ja służę Henrykowi — Rizzio Maryi służy —
I któż z nas lepiéj wyszedł?... Gdym przybył do dworu
Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczém,
Zaraz mi dano szatę różnego koloru,
I kij, na którym głowa z podwójném obliczem,
I czapeczkę z dzwonkami, i pas, a przy pasie
Były dwa worki próżne, i dziś jeszcze próżne,
I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
Opatrzony podwójną twarzą... i okryty
Łataną szatą... w workach żadnego cekina;
Dziś patrz! Włoch już drogimi błyszczy axamity,
Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
Z pełnych worków twarz Maryi wygląda przyjazna,
Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
I gdyby miał takiego, jak ja jestem, błazna,
Możeby był podobny do takiego króla
Jakim jest...

Pokazuje ze złośliwym uśmiechem na Henryka.

Zasnął w myślach, zaraz go obudzę...
Królu, słyszysz głos harfy?

HENRYK.

Gdzie?

NICK.

W tronowéj sali...

HENRYK, z mocną boleścią

Szatanem jesteś, Nicku, ja się dręczę, trudzę —
Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
Niech zagrzebie tron, harfę... Gdzież znajdę zacisze?
Coraz bliżéj strasznymi nabawia mnie snami!
Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę —
Jak jéj nie słyszeć?

NICK.

Królu, wdziej czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

HENRYK.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

HENRYK, NICK, MORTON.

MORTON.

Królu! racz słuchać, królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią... Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

HENRYK.

Któż o tem wątpi?

MORTON.

Racz więc posłuchać mię, książę

HENRYK, z oburzeniem.

Książę?

MORTON.

Królu, racz słuchać!... Nie znajdę wyrazów...
Oto jest pismo, pieczęć przyłożyć kazano.

HENRYK, przegląda pismo.

Cóż to? gdzież moje imię? z jakich to rozkazów?
Nie! to pomyłka...

MORTON, z uśmiechem.

Tak jest, króla nie wpisano,
Przez pomyłkę zapewne?

HENRYK.

Wątpisz o tém, starcze?
Wnet pójdę do królowéj a wszystko przemieni!
Pójdę i wymówkami niewierną obarczę...
Nie, prosić będę... Długo żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie jak dawniejśmy czuli;
To prawie moja wina... jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas... zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.
Gdzie jest Marya?

MORTON.

U siebie — Rizzio u niéj bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi.

HENRYK, gwałtownie.

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę.
Któż mnie uwolni?

MORTON.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się... Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarzenie, ja przyjmę obronę,
Zginie.

HENRYK.

O nędzny starcze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowéj być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, ze krwi obmyć dłonie.
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie!
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłéj sprawie?
Ten Włoch nikczemny może w sądzie uwolniony
Znów mi będzie urągał? Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony;
Powróci pokój w domu... Tak — ja się namyślę...
Poco myśleć, myślałem, wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo, zimno, dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie,
Grabarze na cmentarzach już dlań kopią doły.

NICK, widząc że Morton nie może wesołości utaić.

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś, Mortonie,
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły,
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ.

LINDSAJ.

Królu! dostałem dzisiaj sokoła, król ptaków!
Norwegski, cały srebrném osłoniony pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

HENRYK.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

LINDSAJ.

Cha! cha! bez porównania, lekszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiet, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosiła go na dłoni nad Klydu rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

MORTON.

Dziś król ma zajęcie.

HENRYK.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy,
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj, Lindsaju! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiet, celem pośmiewiska,
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz, Lindsaju?

LINDSAJ.

Powinieneś się zemścić srogo! — to tak właśnie,
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiéj.

HENRYK

Nim słońce zagaśnie,
Lindsaju, dziś pomożesz zastawić mi sieci.
Wiesz, kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!

Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświeci.
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

LINDSAJ.

Najchętniéj w twe zamiary wchodzę,
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

HENRYK.

Ja cię za to sowicie nagrodzę.
Będziesz w jego zwierzyńcu płoche sarny gonił.

SCENA VIII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS.

LINDSAJ, do wchodzącego Duglasa.

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?
Odgłos o waszéj zwadzie rozszedł się daleki,
Słyszałem...

DUGLAS.

Dobrześ słyszał, lecz gdy chcesz rozgłosić,
Pamiętaj, że dzwon może zamilknąć na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

LINDSAJ.

Słuchaj! złącz się z nami.
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

DUGLAS.

Któż cudzéj dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was! ja pragnę, Rizzio niechaj żyje!
Jutro go oddam waszéj zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję,
Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się, że boju nie zechcesz, Mortonie?
Lindsaju! jam nie jeleń, co w borach popasa?
Henryku! pomnieć zechcesz, że w twojéj koronie
Słabszy daleko kruszec niż w mieczu Duglasa.

Na jutro złóżcie zemstę — kto pójdzie inaczéj,
Jest wrogiem moim.

Odchodzi.

SCENA IX.

HENRYK. NICK. MORTON. LINDSAJ..

LINDSAJ.

Cóż to? oszalał z rozpaczy?

MORTON.

Królu! czyliż cię groźba Duglasa zachwieje?

HENRYK.

Nie — lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.
Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje,
Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
Rycerze! niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
Trzymamy w ręku życie nieszczęsnéj ofiary.
A ty, mały trefnisiu, śpiesz do astrologa,
Niech powie, jaki skutek odniosą zamiary.

*

Akt II.

SCENA I.

Teatr wystawia mieszkanie astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami; teleskopy w oknach obrócone na niebo.

ASTROLOG, sam.

Nicość nauki — gorżki owoc doświadczenia!
Myśleć, zgłębiać, i potem wszystkiemu nie wierzyć;
Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć,
Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia?
Przeznaczenie!... szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
Ty, coś ręce zakrwawił, podnieś czoło blade!
Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem,
Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę,
W kolebce byłeś takim jak dzisiaj zbrodniarzem,
Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!

Ty, co posiadłeś cnoty, umierasz nędzarzem,
Przestań się dręczyć — cnota twoja nie jest cnotą.
O! gdybyś w późnéj chwili, na śmiertelném łożu,
Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi.
Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
Szedłeś samotny nędzarz... Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

ASTROLOG, NICK.

NICK.

Jak się masz, ojcze?...

ASTROLOG.

Ojcze!... skąd to pokrewieństwo?

NICK.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

ASTROLOG.

O nędzny! nie znasz nauk i badań potęgi!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą.

NICK.

Więc mi pokaż kres dalszy — Ojcze! proszę ciebie.

Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.

Cha! cha! cha!

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK, śmiejąc się.

Niebo!

ASTROLOG.

A na niebie?

NICK, spokojnie.

Nic!...

ASTROLOG.

Zasiane jest ono światy rozlicznymi.

NICK patrzy drugim końcem teleskopu zmniejszającym przedmioty.

Widziałem...

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK

Ziemię!

ASTROLOG.

A na ziemi?

NICK.

Nic...

ASTROLOG.

Mnie musiałeś widzieć?

NICK.

Byłeś oddalony...
Byłeś mały jak proszek, mądry astronomie.
Nie patrz na niebo, znikniesz w tych światów ogromie,
Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtéj strony,
Jak małą ci się wyda! Nauki! i sława!...
Tém lepszy jest teleskop im bardziéj oddala.
Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
A mędrzec króla...

ASTROLOG.

Błaznom rozprawiać dozwala.
Lecz z czémże tu przyszedłeś?

NICK.

Pyta mąż królowéj,
Jaki los czeka Rizzia?... Nie łam sobie głowy,
Przy mojéj się pomocy rzecz łatwo wysłowi,
Powiadam ci, że zginie — ty powiesz królowi,
Że zginie...

ASTROLOG.

Precz mi z oczu! nie żądam pomocy.
Nieś to pismo królowi, w niém jest tajemnica;

Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem téj nocy:
Wszystkie popadły, srebrne zachmurzyły lica.
Precz mi z oczu.

NICK.

Lecz powiedz jeszcze, co mnie czeka?

ASTROLOG.

Śmierć prędka...

NICK.

A po śmierci?

ASTROLOG.

Nie wiem...

NICK.

Do widzenia.
Równośmy mądrzy...

Odchodzi.

ASTROLOG.

Podłe jestestwo człowieka,
Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

ASTROLOG, PAŻ.

PAŻ.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawię się, mądry mistrzu.

ASTROLOG.

Słuchaj, paziu młody!
Czy ty kochasz królową?

PAŻ.

Skądże to pytanie?
Czy ja kocham królową? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jéj stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jéj czoła;

Nieraz jéj twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonéj kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!

ASTROLOG.

Paziu! nim chwila przeminie,
Masz stanąć u królowéj i donieść jéj skrycie,
Że człowiek milszy dla niéj nad tron i nad życie
Zginie dzisiaj.

PAŹ.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

ASTROLOG, z zadziwieniem.

Botwel? innego miałem w przestrodze na celu?
Paziu! ja nie myślałam wcale o Botwelu?

PAŹ, z rozpaczą

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem,
Nie wierz mi! ona tego sobie nie wyznała,
I mnie się nie zwierzyła — z rumieńca odgadłem.
Jam zbłądził... Nie, Botwela nigdy nie kochała.
Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,
Zatrzymaj wszystko w sobie, czcij honor królowéj!
Nie dziw się, całą duszą słuchałem twéj mowy,
Cóż dziwnego, że słowo wyrwało się z duszy?
O nieszczęśliwy paziu! Z serca mi wyrwałeś
Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!

Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.

Weź tę sprzączkę — zapomnij!... Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam,
A ty byś nie zapomniał?

ASTROLOG.

Chodź tu, moje dziécię.
Czy myślisz, że nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie,
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam, żeś dawał,
Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?

Patrz na komnatę, oto są królowéj dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
Kiedyś wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
Patrz na te czarnym płynem nalane puhary,
W nich złoto rodzą mojéj sztuki tajemnice;
Takiego kruszcu z Peru Hiszpania dostaje.
Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

PAŻ.

Lecz któż ma zginąć?

ASTROLOG.

Rizzio! Rizzio, w jego serce
Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
Jutro płakać będziecie; silni są morderce,
Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

PAŻ.

Ojcze, więc spieszę.

Wybiega.

SCENA IV.

ASTROLOG sam, bierze jeden z puharów.

Tutaj są moje nadzieje.
Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę,
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?

Patrzy w puhar.

Nie, jeszcze niema — dzisiaj wcześnie, jutro może?
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co? na co sława?
Pierwszeństwo wynalazku — wytrwałość jest cnotą,
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem, miałżebym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! skądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela? dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa, Saturna znamiona,
To znaczy... Otóż Botwel, zdziwi się gwiazd mową.

SCENA V.

ASTROLOG, BOTWEL.

BOTWEL, zamyślony.

Czemuż wszedłem w te progi? muszę być szalony?
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony,
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemna, cicha;
Śmierć we mnie uśmiech budzi; zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech?... I czegoż żądałem!
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? przepaść mi odkryje;
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzucę.
Zgłębić przyszłość! niech tylko obecność przeżyję!
I czegoż tu przyszedłem? tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się, zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

ASTROLOG.

Gwiazdami pisane
Zgłębiłem tajemnice.

BOTWEL.

Powiedz mi więc szczerze,
Czy wierzysz w twe wyroki?

ASTROLOG.

Wierzę, jak w śmierć wierzę.

BOTWEL.

Nigdy nie mylą?

ASTROLOG.

Nigdy.

BOTWEL.

Marność nauk świata!
Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.
Czy długo ja żyć będę?

ASTROLOG.

Trzy lata.

BOTWEL, ze wzgardą.

Trzy lata?
Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.
Trzy dni dla mnie za wiele — trzy lata? daremnie.
Widzisz mnie, astrologu, na wybladłéj twarzy
Gorżki uśmiech i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mię zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny — umrzeć muszę.

Pokazuje truciznę w kryształowém naczyniu

Patrz — oto jest trucizna, a przeszkody — żadne;
Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę?
Cóż, jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?
Od długich bolów krótkim uwolnię się bólem.
Umieram...

ASTROLOG, bierze go za rękę i prowadzi do stołu gdzie leżą horoskopy.

Nie, żyć będziesz trzy lata, Botwelu.
Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem...

BOTWEL

Królem?
Co mówisz? będę królem! do takiego celu
Dążyć z nad brzegu grobu? miałem zasnąć w grobie.
Będę królem... Kląć ciebie? czy dziękować tobie?
Nie wiem... powiedz mi, starcze, powiedz, czy na tronie
Spokojniéj jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie.
Może późniejsze życie gorżki owoc wyda?
I pocóż? poco ścigać tak zni komą marę?
Wypiję tę truciznę... nie, rozb iję czarę —
Ale poco rozbijać — może mi się przyda?
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem...
Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem?
Wygrałeś, astrologu! żyć będę!...

ASTROLOG.

Wygrałem.

BOTWEL.

Idę do celu... nie chcę umierać przed czasem.
Prowadź mnie, astrologu, w wysokie komnaty
I pokaż mi władnące moim losem światy...

Wychodzą.

SCENA VI.

Pokój królowéj, w głębi okno gotyckie.

MARYA, PAŻ.

PAŻ.

Zaraz przybędzie Rizzio.

MARYA.

Czemuż nie przybywa?
On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu
I wkrótce zginie.

PAŻ.

Pani — tyś niesprawiedliwa,
Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu,
Paź nie śmie się przypomnieć, może nie ma prawa.

MARYA.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
Wachlarz na miecz zamienisz, powoła cię sława.
Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?
Botwel?... lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
Ty płaczesz? paziu! paziu!

PAŻ.

Dziecinne łzy ronię,
Daruj mi — ja myślałem, że w twojéj obronie,
Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
Teraz pierwszy raz czuję, że nastąpić może,
Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
Lecz, wszak Botwel rycerzem? przecież jest na dworze,
I mógłby jeszcze bliżéj, bliżéj być królowéj.

MARYA, zamyślona, jak echo.

Botwel... tak... mógłby bliżéj, bliżéj być królowéj.

PAŹ.

Był jednak blisko wczora, kiedy w dworzan kole
Towarzyszył ci, pani, na królewskie łowy;
Tajemniczy miał smutek wyryty na czole.
Potem, gdy cały orszak siadł na strojne łodzie,
Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
Patrzał w głębinie wody, jak gdyby w téj wodzie
Widział jakie straszliwe, dręczące widziadła;
I coraz się nachylał, drżałem, nigdy w świecie
Takiéj myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
I pojąć jéj nie mogę — dotąd mi się marzy
Jak sen jaki okropny.

MARYA.

O! niewinne dziecię!
Ja łatwo ją pojmuję... dzika myśl szaleńca.

PAŹ.

Królowo! wiatr, co sprzyjał téj wodnéj podróży,
Silniéj w żaglach zaszumiał, i z twojego wieńca
Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął,
Zbudził się Botwel, zadrżał i na sługi skinął,
Łódź mu podano... usiadł samotny do łodzi
I ścigał kwiat zerwany... śledziłem go długo,
Aż zniknął we mgle.

MARYA, niecierpliwie.

Odejdź! odejdź, wierny sługo!
Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi...
Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

Paź odchodzi.

SCENA VII.

MARYA, sama

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy,
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.
Długo ją usypiałam, już uśpić nie mogę,
Będę widzieć Botwela... oddalę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie...

Co?... ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia... O bojaźń dziecinna!
Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie,
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie.
Wczoraj tak było... Dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mnie sądzić może.
Ciężko mi w téj koronie... francuska korona
Z lekszego była kruszcu... na chwilę ją złożę...

Zdejmuje koronę.

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstręczał wielu.
Teraz wolna... Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

Zdejmuje pierścień.

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony, i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twéj posępnéj twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia.
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole,
Niech tę chmurę rozproszy uśmiech szczery, tkliwy;
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

MARYA, RIZZIO.

RIZZIO.

Wezwałaś mię, królowo?

MARYA.

Bojaźnią dręczona,
Przyzwałam ciebie, Rizzio, w te skryte komnaty.
Jesteś w niebezpieczeństwie, bo rzucone kwiaty
W roli Duglasa śmierci wydały nasiona.
Posłuchaj więc cierpliwie, mój błędny rycerzu,
Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga
Łatwo znaleźć obronę w mieczu i w pancerzu,

Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.
Wierzaj mi, źle, kto wrogom ukrytym zawierza,
Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.
Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,
Okręt gotowy... żaglów rozpięte zasłony.
Bądź zdrów!

RIZZIO.

Królowo moja! powtórz te rozkazy!
O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani
Nie posłucham... choć ściągnę twój gniew, twe urazy,
Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? pani!
Maryo! o! ja zostanę — przysięgam, zostanę!
Postanowienia żadna nie naruszy siła!
Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane,
Żeby choć głos był zadrżał, gdyś ją wymówiła...
Maryo! posłuchaj!...

MARYA.

Rizzio, chciej mówić z królową,
Rozmawiałeś z kim innym.

RIZZIO.

I gdzież twa korona?
Nie widzę jéj na czole... kwiatem uwieńczona
Jesteś mi równa... śmielszą przemówiłem mową.
Daruj mi! ja myślałem!... myślałem, szalony!
Że ją umyślnie zdjęłaś dla mnie...

MARYA.

Źleś osądził.
Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony,
I teraz się modliłam.

RIZZIO.

Przebacz mi, jam zbłądził.
Lecz nie kładź jéj na czoło... czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żałobą.

MARYA.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —

Ciszéj, kładąc koronę.

Z sobą.

RIZZIO.

Śmiałość mi odebrała... więc dobrze... odjadę.

Staje w gotyckiém oknie i z udaną obojętnością mówi.

Dziś dzień taki pogodny... dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade,
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.
Obacz, proszę, królowo, jak cicho na dworze.
Kwiaty w twoim ogrodzie odświeżone kwitną,
Tam góry Szkocyi barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia; jak tam szumi morze!
Białą mgłą osłonione chwieją się okręty...

MARYA.

Rizzio! czemu tak zbladłeś?...

RIZZIO odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.

Tam żagiel rozpięty...
Patrzeć nie mogę...

MARYA.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

RIZZIO.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie?
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby.
Wkrótce ten zamek w mgły się roztopi błękicie,
Będę stał na pokładzie... a morze podemną.
Ha! kto wie, gdzie zapłynę? w tłum świata się rzucę.
Zapomnienie już szatą okrywa mnie ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! wszak nigdy nie wrócę?
Już mnie boleść głęboka strawiła i zmogła.
Pocóż mam wracać? poco? łzy, westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mnie mogła!
I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć!....
Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

MARYA wzruszona.

Rizzio!

RIZZIO.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
Z dźwiękiem mowy głos duszy twojéj się wyrywa.

MARYA, zimno.

Rizzio, chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
Proś odemnie Papieża, niech zamknięty w złoto
Przyśle mi chleb ze stołu Pańskiego.

RIZZIO, z oburzeniem.

Pobożna!
Gardzić, poniżać serce, zabijać jest cnotą,
Potem można się modlić? wszystko zgładzić można.
Żegnam cię...

MARYA.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!
Bądź zdrów! Marya ci wiecznie pamięci dochowa.

RIZZIO.

Mamże odjechać?

MARYA.

Cóż to znaczy?

RIZZIO.

Przebacz, pani!
Ale twój głos był tkliwszym, smutniejszym niż słowa,
Pozwól mi dziś pozostać... jutro się oddalę.

MARYA, z ironią.

Zostań! zostań! dziś możesz pozostać bez grzechu,
Dziś bal na dworze, maski napełnią te sale,
Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu;
Przyjdź więc... tam nowe z nami będzie pożegnanie,
Przyjmiesz je, choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowéj.

RIZZIO.

Pani! żegnam na wieki!

Odchodzi.

MARYA.

Raniłam go słowy,
Lęka się mego śmiechu, dłużéj nie zostanie.

Jedno słowo od pewnéj śmierci go wybawia,
Zawsze gorżkie lekarstwo, dobre skutki sprawia.

*

Akt III.

SCENA I.

Ogród. — Noc. — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę św. Krzyża. Okna pałacu oświecone wewnątrz. Księżyc świeci.

BOTWEL, sam.

Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu,
On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
Nie żyć, albo być królem — dotąd już bym nie żył!
Czyliż się na krok jeden zbliżyłem do tronu?
Jestem, czém byłem — marnym łudzę się pozorem.
Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem,
Dziś wcześnie — jutro będziesz na tronie, Botwelu.
Gwiazdo, z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo méj drodze przyświéca.
Może krew na téj drodze, świeć — krwi się nie boję.
Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
I kiedyż się w niéj będą modlić za mnie? może
Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
Tłum zalotników pełen nadziei, zapału,
Ja — jak nędzarz u progu... okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu,
Tak — to ona — królowa! poznałem koronę...
Bliżéj! bliżéj — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
Gdyby mnie jaki człowiek obaczył w tym stanie,
Rzekłby z gorżką litością: Botwelu! tyś chory!
Idź do szpitala! słuchaj! ty jesteś szalony!

SCENA II.

BOTWEL, PAŻ.

PAŻ

Szukam ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
A ty w murach zamkowych, w królowéj ogrodzie?

BOTWEL

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie!

PAŻ.

O! prawda, jak tu miło? w tym lesie topoli
Kwiaty milszą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta,
Chcesz ją widzieć?

BOTWEL.

Co mówisz! królowa zezwoli?

PAŻ.

Zezwoliła!

BOTWEL.

Widzieć ją! kiedy?

PAŻ.

Za godzinę.

BOTWEL.

Sama ci to mówiła?

PAŻ.

Spełniam jéj rozkazy.

BOTWEL.

O gwiazdo! świeć mi, gwiazdo! na morze wypłynę,
Niech łódź moję strzaskają wodokryte głazy,
Nie dbam o nic, zaczęły sprawdzać się wyroki.

PAŻ.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki,
Strwożyć możesz królową tych nieszczęść widziadłem,
A cień twojego czoła na jéj czoło spadnie.

BOTWEL, z ironią.

Co? rozpogodzić czoło, paziu? to tak snadnie.
Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem.

To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorżki twarzy
Nie jest owocem cierpień! igraszka dziecinna.
Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna,
Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy.
O! paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy?
Tak jak na pargaminie zaloty pisane
Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
Bywaj zdrów!

Odchodzi.

PAŻ.

Jak gorżkimi przeraził mię słowy;
Spieszę teraz do Rizzia z rozkazem królowéj.

Wybiega.

SCENA III.

HENRYK, MORTON i LINDSAJ. Wchodzą spiesznie.

HENRYK.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

MORTON.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi
I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.
Trzeba śpieszyć — nie wiemy, jakie ma zamiary?
Pod lilijami Francyi bezpiecznie odpłynie.

HENRYK.

Co! miałżeby uniknąć zasłużonéj kary?
Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

LINDSAJ.

Spieszmy więc!

HENRYK.

Czekaj! czekaj! niech dobrze rozważę.
Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?
Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły
Będzie wskazywał palcem... Jaka myśl straszliwa!
Będzie wskazywał, będzie urągał méj twarzy,

Jeżeli twarz poblednie. Kto wie, co się zdarzy?
Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
Jego trup zakopany — tu, blisko królowéj,
Więcéj mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
Skoro się stąd oddali.

LINDSAJ.

Panie! skończmy łowy!
Już prawie wpół dognany ów jeleń pierzchliwy.

HENRYK.

Nie, nie, niechaj odjeżdża.

MORTON.

Tak, niech z Bogiem płynie,
Niech po krajach rozszerza twoję sławę, panie,
Jeszcześ nie był dość znany francuskiéj krainie.
Harfiarz na dobrowolne skazany wygnanie
Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
On trzyma serce Maryi, trzyma rządu szalę,
A Henryk?

HENRYK.

Co chcesz mówić?

MORTON.

Że Henryk w tym kraju
Jest królem.

HENRYK.

Jestem królem! czy słyszysz, Lindsaju?
Co on śmie mówić?

MORTON.

Lindsaj tym słowom zawierza.
Napiwszy się dowoli płochych kadzidł dymu,
Uda się może Rizzio do dworu papieża;
Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,
I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.
Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnlej powie,
Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

HENRYK.

Przestań! już idę!...

Chcą wychodzić, w progu spotykają Duglasa.

SCENA IV.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ DUGLAS.

DUGLAS.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

HENRYK.

Nieba! więc moja zemsta spełnić się nie może?
Jużbym się był nie wahał!... Pójdę po nad morze,
Każę okręt zatrzymać.

DUGLAS.

Już żagle rozwinął.
Jam winien! teraz na mnie mścijcie się, rycerze,
Oto piersi odkryte i miecz obnażony;
Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
Że ludziom już nie wierzę, i sobie nie wierzę.
Sam chciałem przeciąć żywot tak podłéj osnowy,
Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowéj,
Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
Życie Włocha zostało na mojém sumieniu;
Myślałem, że ten harfiarz wierny przyrzeczeniu
Jutro jak rycerz bronią ze mną się rozprawi.
Ufajcie teraz ludziom? znoszę brzemię sromu,
Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział;
Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
Przynajmniéj uciekając, gdyby był powiedział,
Że nie waszych sztyletów, mojéj zląkł się broni,
Możebym żyć mógł jeszcze.

SCENA V.

HENRYK, MORTON, LINDSAJ, DUGLAS, PAŻ.

DUGLAS, chwyta za piersi wbiegającego Pazia.

Paziu! paź ten zginie!

Ja go zabiję... Pazia tak kocha królowa
Jak Rizzia.

Postrzegając pismo w rękach pazia, wyrywa je.

Cóż to znaczy? na tym pargaminie
Widzę jakieś skreślone niewyraźnie słowa,
Czytajcie...

PAŻ.

List — królowéj oddać mi kazano,
Nie czytajcie! nie macie prawa!

LINDSAJ, biorąc z rąk Duglasa pismo.

Prawem siła.

Czyta

„Dzięki tobie, królowo, żeś mi pozwoliła
„Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj“ podpisano:
Rizzio.

DUGLAS.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

LINDSAJ

W klasztorze
Czytać mię nauczono, pojąłem nauki.

HENRYK.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?
To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?
Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.
Lindsaju, zamknij pazia do mojéj komnaty,
Żeby nie zdradził, żeby nie mógł nam przeszkadzać.

PAŻ.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać.
Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czole,
Daj mi miecz równéj miary, jak miecz przy twym boku,
A czarną zdradę we krwi obmyję potoku.

LINDSAJ.

Paziu mój, jesteś dziecko!... O! młody sokole,
Ty jeszcze pierwsze pióra utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

PAŹ.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

Lindsaj wyprowadza pazia.

DUGLAS.

Więc Rizzio zginąć musi!

HENRYK.

Kiedy?

DUGLAS.

Dzisiaj zginie!

HENRYK.

Gdzie?

DUGLAS.

Ty się wahasz jeszcze? gdzie? w tronowéj sali,
U nóg królowéj — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojéj stali.

HENRYK.

Lecz w obliczu królowéj spełnić czyn tak krwawy,
To mnie od niéj na wieki! na wieki oddzieli!

DUGLAS.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy,
Wzgarda nie ośmieliła, nic cię nie ośmieli,
Idź pełzać przed królową w udanéj pokorze,
Lecz wiedz — kobieta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

HENRYK.

Gardzić? nigdy w świecie!
Dziś będę śmiałym... dzisiaj męstwa dam dowody,
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,
Potem potajemnymi wprowadzę was wschody.

Odchodzi z Duglasem.

MORTON.

Poszli — nie pójdę z nimi. Marya się nie dowie,
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zmowie.

Odchodzi w stronę przeciwną.

SCENA VI.

Pokój Maryi, jak w scenie VI. aktu II.

MARYA, sama, siedzi nad krosnami.

Sama jestem. Gdzież paź mój? dotąd nie powraca.
Czemże czas sobie skrócę? tak pomału płynie!
Najmilsza ta godzina, gdy mię zajmie praca,
Kiedy się kwiat na płótnie pod igłą rozwinie,
Gdy jak wiejska dziewica siądę za krosnami.
Lecz jak mało tych godzin, wiecznie! wiecznie w tłumie
Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
Uśmiech nie jest uśmiechem, nikt mnie nie rozumie.
Gdybym tak oświecona blaskami klejnotów
Zeszła do niskiéj chaty, gdzie lud mój przebywa,
I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
Jest szczęśliwa? odpowie: musi być szczęśliwa!
Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
Widziałem oświecone okna jéj komnaty;
A ja nędzny do grobu skazany na pracę,
Mchem i zielem porasta strzecha mojéj chaty,
W pocie czoła uprawiam te skaliste góry;
Widziałem groby królów, na grobach marmury,
A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa:
Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa.

SCENA VII.

MARYA, RIZZIO.

RIZZIO.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię, królowo!
U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę,
Każdą chwilę bym życia okupił połową.
Maryo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
O pani! Maryo moja! tak się szczęściem łudzę,
Jak gdyby wieczór szczęścia miał trwać długie wieki.
O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

MARYA.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

RIZZIO.

Królowo! co ja powiem, niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutra, do rana,
Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie,
Że się z nim widzieć będę, dotrzymałbym słowa.

MARYA.

Rizzio... to być nie może?

RIZZIO.

Zamiaru nie zmienię.
Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły,
O mojém oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem,
Zda mi się, że już płynę na łonie gondoły
Czarnym wybitéj kirem, jak na łonie trumny;
Okna pałaców długim świecą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem;
A nademną, daleko, na błękicie ciemnym
Posępném światłem księżyc roztacza się złoty,
I w duszy czuję dzikie uczucie tęsknoty;
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym
Potrzeba takich cierpień, niech się karmi łzami.

MARYA.

O! Rizzio, serce twoje nie wesoło marzy,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

RIZZIO.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojéj twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie, prędko, prędko skona!
Można za szkłami różę rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona.
Ale poco się smucę? wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś! wrócę! czemużbym nie wrócił!
Czemu?... Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił,
Może nigdy nie wrócić... Nie, to niepodobna,
Ja będę kiedyś w Szkocyi, w tych samych komnatach,
Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,

Zabrzmi znów wesołością, rozjaśnią się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach.

MARYA.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie;
Szemrać będą dworzanie.

RIZZIO, z wzrastającą wesołością.

Szmer zgłuszą oklaski,
Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta: „znasz mnie?“ każdy mu odpowie:
„Nie znam cię, masko“ ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten, kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy!...

Słychać szczęk broni.

MARYA.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

RIZZIO.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutném jękła brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie,
Ty mnie jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

MARYA. z niespokojnością.

Lecz gdzież się paź mój bawi?

RIZZIO.

Pani, rozjaśń czoło!
Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.

Siada na małym stołku pazia, u stóp Maryi.

Siądę przy twoich stopach... Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć.

MARYA.

O! co ci się marzy?
Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełném nadziei.

RIZZIO.

Nadziei? chciałem na twéj wyczytać ją twarzy;
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei —
Nadziei tam nie było... Pani! nie chmurz lica,
Niech paź z twarzy królowéj gniewu nie wyczyta,
Paź dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżyca...
Pani! piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
Daj mi róż kilka.

MARYA.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

RIZZIO.

We Włoszech, na ołtarzów święconym marmurze
Zawieszę ten dar drogi, nad złoto bogaty,
Pokazywać je będą, patrzcie! oto róże
Maryi Stuart Szkockiéj, anioła w koronie.

MARYA, dając mu kwiaty.

Nie odmówię twéj prośbie, lecz zamiaru bronię,
Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

Henryk wchodzi tajemnymi wschodami i staje za krzesłem Maryi niepostrzeżony.

RIZZIO.

Pani! jestem twym paziem — Paź ciebie zaklina,
Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
Ma jakąś woń czarowną, woń, co przypomina
To gór szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki
Przyniesie zapach róży, co ciebie otacza,
Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
Marzyć będę...

MARYA, z uśmiechem.

Królowa paziowi przebacza;
Rizzio nie śmiałby do niéj użyć takiéj mowy.
Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
Dobrze, żeś nie zapragnął purpurowéj szaty!
Dobrze, żeś na wachlarzu przestał.

Daje mu wachlarz.

RIZZIO.

Dzięki tobie!

SCENA VIII.

MARYA, RIZZIO, HENRYK, stojący zawsze za krzesłem Maryi, DUGLAS, LINDSAJ.

DUGLAS uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.

Właśnie dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty,
Z kwiatami i z wachlarzem teraz legnie w grobie.

RIZZIO.

Królowo!...

MARYA, powstając.

Stój, Duglasie! skądże ta odwaga?
Ty w komnacie królowéj! czy gardzisz królową?
Stój! stój! Duglasie, odejdź! królowa cię błaga.
Nie!... mogę rozkazywać... precz! odpowiesz głową!
Rizzio! chodź do mnie.

DUGLAS.

Próżno wołasz go do siebie,
Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.

Do Rizzia.

Módl się, za chwilę będziesz lub w piekle, lub w niebie.

MARYA.

Duglasie! precz stąd! precz stąd! splamisz stopnie tronu.
Pomyśl! próżno mnie będziesz błagał przy skonaniu,
Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłonią;
W obliczu ludu zelży kat na rusztowaniu.

DUGLAS.

Próżno grozisz, królowo! wiesz, że władam bronią.
Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,
Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wasali.
Mam się lękać kobiety? Po co wszczynać boje?
Na tym samym okręcie, na którym miał płynąć,
Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję,
Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinąć,
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty,
Podłego Włocha dobrze wyuczę się roli;
Wnet mię zgraja francuskich trefnisiów okoli,

Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;
Będę pierwszym przy uczty zastawionym stole,
Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę...
Chyba mnie zdradzi kropla krwi na mojém czole,
Lub te szaty splamione, pióra połamane.
Giń, Włochu!... Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Odrzuca sztylet.

MARYA.

O Boże!
Duglasie! ach Duglasie! — nie, nie mogę wierzyć,
Żebyś ty go śmiał zabić.

DUGLAS.

Przekonam cię może,
Duglas słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

MARYA.

Duglasie! nieszczęśliwa zniżę się do prośby...
Nigdy krwi nie widziałam!... widok mi nieznany!
Oddal — oddal odemnie te krwawe obrazy!

DUGLAS.

Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,
Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
Chciałbym, żeby jęk Rizzia echem powtarzany
Zabrzmiał, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy!
Niechaj krew jego wsięknie głęboko w te głazy,
Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.

RIZZIO.

Maryo! och! Maryo!... Boże, zmiłuj się nademną.
Och! och! och!...

Kona.

MARYA.

Rizzio!... Boże! zmiłuj się nademną.
Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
O! gdyby tu był Henryk!... Tak cicho jak w grobie,
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

HENRYK, nachylając się, cicho.

Jestem tu, przy tobie.

MARYA, odwracając się zwolna.

Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!

Pada na poręcz krzesła.

HENRYK.

Omdlała.

Wynieście jego zwłoki.

DUGLAS ponuro.

Przyszedłem zabijać,
Lecz nie wynosić zwłoki — wołajcie grabarzy.

Lindsaj wyciąga trupa z sali i wraca.

HENRYK, do Duglasa.

Duglasie! straszna teraz bladość twojéj twarzy.
Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?
Miałeś wdziać jego szaty?

DUGLAS.

Krwią czarną skalane?

HENRYK.

Ciebie dręczy zabójstwo?

DUGLAS, zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.

Henryku! a ciebie?...
Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane,
Ty zabiłeś człowieka! i wejdź teraz w siebie?...
Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?
A jesteś tak spokojny! patrz, jaka różnica,
Ja pomściłem się czarnéj na honorze skazy,
A jestem tak wzburzony! rozpogódź więc lica...
My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,
Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,
Życzę, aby na niebie powstająca zorza
Ujrzała twarz Darnleja jak dzisiaj rumianą.
Królowo! przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni.

Odchodzi.

LINDSAJ.

Ci rycerze — imienia rycerzów niegodni.

HENRYK.

Słuchaj! Królowa wkrótce otworzy powieki,
Uciekajmy z téj sali.

LINDSAJ.

Chodź! jedźmy na łowy...

HENRYK.

Lindsaju! ty znasz może uczucia królowéj?
Będzie mnie nienawidzić?

LINDSAJ.

Zbądź niewczesnéj trwogi?
Chodź! chodź, królu! chodź ze mną, słyszę czyjeś kroki!

Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.

SCENA IX.

MARYA omdlona. BOTWEL.

BOTWEL.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Skąd ta krew? po raz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska...
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze? sztylety! — któż skonał?
Może król!...

MARYA.

Och!...

BOTWEL.

Królowa budzi się...

MARYA z pomięszaniem.

Duglasie!
Ach miej litość!... gdzież jestem? Boże, jak tu ciemno.
Za późnom się zbudziła! tak jest! już po czasie...

Jestem przy tobie... Boże, zmiłuj się nademną!...
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie — zabijał.

BOTWEL, z zadziwieniem.

Henryk zabijał?...

MARYA.

Może krew plami te szaty?
Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łzo natrętna... Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — drżyjcie! czyż krew płacić łzami?
Krew za krew — drżyjcie! zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.

BOTWEL.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

MARYA.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

BOTWEL.

O! nie, chyba własną...

MARYA.

Tyżeś to w téj godzinie? słuchaj! w jakim celu?
O! niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię, Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

BOTWEL.

O Maryo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiedz! zabójstwa? otrucia?

MARYA.

Nie, nic nie żądam — chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze!... Boże! cóżem wymówiła!

Wyrywa się z rąk Botwela i ucieka.

SCENA X.

BOTWEL sam.

On żyje jeszcze?... W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty w niéj ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza.
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jéj odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

*

Akt IV.

SCENA I.

Pokoje królowéj.

MARYA, BOTWEL.

MARYA.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza
Usypia wszystkie troski i uśmierza bole;
Czas, cierpliwość najsroższe rany ułagadza.
Wszystko znieść można.

BOTWEL.

Wszystko?

MARYA.

Troski i niedolę...

BOTWEL.

I wzgardę?

MARYA.

Dosyć! dosyć zniosłam na kobietę!
Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawioném.

BOTWEL.

O Maryo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem.
Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
Już zeń zdjęto szkarłaty, zasłano całuny;
Obejrzyj się, na tronie niedostaje truny.
Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki skona,
Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
Przykryją szkarłatami, na mary położą;
Dziwnie od martwéj twarzy odbija korona;
Przeraża ludzi wstrętem ta postać woskowa,
Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie;
Nie obrażaj się, Maryo, lecz Szkotów królowa
Podobna do téj maski leżącéj na grobie.

MARYA.

Cóż uczynię?

BOTWEL.

Ha! módl się! przebaczaj!

MARYA.

Przebaczyć!
Komu przebaczyć?

BOTWEL.

Wszystkim.

MARYA.

Chciej mi wytłómaczyć!

BOTWEL, się żegna.

Czego się żegnasz?

BOTWEL.

Pani! odmawiam pacierze,
Słyszę dzwon po umarłym.

MARYA.

Co? dzwon, po kim dzwony?

BOTWEL.

Po śmierci Rizzia.

MARYA.

Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony,
Szatan budzi mię ze snu.

BOTWEL, patrząc przez okno.

Patrz, pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi,
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala;
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi,
Ale ten najwierniejszy, który w trumnie zaśnie.
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną,
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;
Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą,
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą.
Spij, Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie.

MARYA.

Słuchaj! słuchaj! kobieta na cóż się ośmieli?
Patrz, Botwelu! ten obraz wiszący na ścienie,
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka,
Ściga za mną oczyma... Nie zniosę téj twarzy!
Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika.
O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy,
Na obraz szatan przeniósł myśl moją, sumienie,
I serce moje dręczy boleścią okrutną.

BOTWEL.

Cha! cha! więc ci niemiłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić.

MARYA.

Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
Ja go mam w sercu.

BOTWEL.

Pani! spełnię twe rozkazy,
Czy będziesz spokojniejszą?

MARYA, niecierpliwie.

Spełnisz moje chęci?
Co wyrzekłeś?

BOTWEL.

Tak, zniszczę ten obraz Darnleja.

MARYA, z przytłumionem westchnieniem.

Obraz!

BOTWEL.

Tak chciałaś?

MARYA.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
Chciałam zgonu obrazu.

Na stronie.

Zniknęła nadzieja!
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

BOTWEL.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać.

MARYA, z rozpaczą.

Co mówisz? mój drogi!
Dla nieszczęśliwéj cios to nazbyt! nazbyt srogi!
Nie wytrzymam!

BOTWEL

O pani! mam zostać przy tobie?
Każesz mi zostać? jesteś królową, masz władzę.
Dziś więc grób mój przy Rizzia każę kopać grobie,
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze.

MARYA.

Ty mi serce rozdzierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

BOTWEL.

Nad Duglasem mścić się! to daremnie,
Duglas z Lindsajem oba uszli w obce kraje.

MARYA.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu! miej litość!
Chciej mnie zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiém, że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie.
Powinien zginąć!

BOTWEL.

Kto?

MARYA, długo pasując się z sobą.

On!

BOTWEL.

Kto?

MARYA.

Król!

BOTWEL.

Zginie!

MARYA.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa,
Ja chciałabym, ażeby bez echa skonały.
Lecz tak, już przeważyłam jednę stronę szali,
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały,
Daléj! daléj iść trzeba, idę daléj! daléj!
Nie wiem, gdzie zajdę? Słuchaj! jesteś taki blady,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

BOTWEL.

Królowo! ja zbladłem?
To może dawnych cierpień pozostały ślady.

MARYA.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie zwierciadłem,
W którém czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem!
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie;
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu!

BOTWEL.

Królowo! on dziś zginie.

MARYA, z przerażeniem.

Dziś? to nadto wcześnie!

BOTWEL

Gdzie Henryk?

MARYA.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.
Mówią, że chory.

BOTWEL.

Chory?... Chory umrzeć może.

Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddalę podejrzenie, chorobą się złożę.
Lecz dopomóc mi trzeba. Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora,
Dasz mu w lekarstwie napój, co go uśpi w nocy.

MARYA.

O! to, czego ty żądasz, nie jest w mojéj mocy:
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś nie mogę!

BOTWEL.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, trwogę,
Bez tego spać nie będzie, uchroni się zgonu.

MARYA.

Daj więc! daj mi ten napój — zejdę z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występnym.

BOTWEL wyjmuje truciznę, którą pokazywał u astrologa.

Pani!
Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani,
Sen dla chorego w bolach wielką jest przysługą.

MARYA.

Więc Henryk gdy wypije?

BOTWEL.

Zaśnie...

MARYA.

Na jak długo?

BOTWEL.

Nie wiem...

Odwracając się.

Skoro napoju użyje królowa,
Mój sztylet nie potrzebny.

Do Maryi.

Królowo! bądź zdrowa!

Odchodzi.

MARYA, sama.

Uważałam go pilnie, przez rysy oblicza
Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.
Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza;
Blady był? wszak on zawsze posępny i blady.
Nie, to nie jest trucizna; i któż się nie wzruszy,
Powierzając kochance narzędzie otrucia?
Chybaby nie miał w sercu żadnéj iskry czucia?
Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

Odchodzi.

SCENA II.

Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkanie Henryka

HENRYK, NICK.

HENRYK.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara boża,
Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi,
Zgryzoty przy węzgłowiach stoją mego łoża.

NICK.

O! nie, przypatrz się, królu, tylko błazen stoi.

HENRYK.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.
Oświecam widma bladą umysłu pochodnią,
Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią,
Ich ciężar głowę moję do grobu nachyli;
Przeważa mię korona.

NICK.

I ja równie błądzę.
Oto czapka w królewskich pokojach wytarta,
Dotąd na niéj zdobyte wieszałem pieniądze;
Wkrótce czapka od błazna będzie więcéj warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie,
Dość rozumu i głupstwa.

HENRYK.

Paziu! w twojéj mowie
Więcéj widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.

Ale gdy mnie widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy.
Jak ich nie widzieć, Nicku?

NICK.

Panie! zamknij oczy...

HENRYK.

One nie przed oczyma — one w mojéj duszy!
Widzę je, tak jak ciebie; jak me własne cienie
Ścigają za mną.

NICK.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą... Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą...

HENRYK.

To nie w mojéj mocy!
Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świécę?

Wpatrując się w głąb pokoju.

Patrz! tam stoi, w posępnéj ubrany żałobie,
Jak gdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący, krwawy, blady, woła mnie ku sobie...
Wszak mu sztylety ciało rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu świeży, jak z kołyski dziécię.

NICK.

O panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?
Dziwię się, że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie królu podobnym w téj chwili.

HENRYK, nie słuchając słów Nicka.

Precz! precz, Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia.
Wszystko bym oddał, byle życie ci wrócili!
Nie obwiniaj mnie, odejdź, niech spokojny zasnę;
Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie;
Więc i tam spać nie można?... Życie oddam tobie,
Lecz wróć mi sen! nie wracaj! życie oddam własne.
Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty!

Śmieje się dziko z obłąkaniem.

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomięsza.

NICK.

Ten cień lepiéj cię, królu, odemnie rozśmiesza,
Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty
Z ust twoich nie wyrwały tak szczerego śmiechu.

HENRYK.

Czego chcesz, Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?
Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?
Powiedz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!
Dam na mszę! powiedz tylko, ile mszy potrzeba?
Zakupię msze na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały;
Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,
Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spróchniały.
Ha! jeszcze słychać harfę!

NICK

Uspokój się, panie!
To przywidzenie strachu... Królowa tu zmierza...

HENRYK.

Królowa!... Jakież będzie nasze powitanie?
Zabije wzgardą, wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

MARYA, HENRYK, NICK.

MARYA.

Henryku! ja sądziłam, że cię tu zastanę
Wśród zgrai twoich dworzan! tyś samotny, blady,
Powiedz, czyś ty nie chory? oczy obłąkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

HENRYK, z rozpaczą.

O Maryo!

MARYA, przerywając.

Uspokój się! tyś chory, mój luby!
Połóż się, zaśnij, widać bezsenność ci szkodzi.

HENRYK.

O Maryo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

MARYA, z udaną obojętnością.

Ja nie wiedziałam o tém, cóż mię to obchodzi?

HENRYK.

Ty mi przebaczasz? powiedz!

MARYA.

I cóż mam przebaczyć?

HENRYK.

Śmierć jego.

MARYA.

Czyję?

HENRYK, z przymuszeniem.

Rizzia...

MARYA.

Jużem zapomniała.

HENRYK.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłómaczyć,
Lecz ten Włoch nie wart, abyś o nim pamiętała.

NICK, do Henryka.

Włoch nie wart, abyś o nim pamiętał, Henryku.
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

HENRYK, do Nicka.

Precz! precz, nędzny Nicku!

Do Maryi.

Przebaczyłaś mi, teraz już spokojny zasnę.

MARYA.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni,
Przyniosłam senny napój, poznasz jego siłę.
Sen cię po nim skrzydłami lekkimi osłoni,
Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmięszam go do lekarstwa.

HENRYK, do Maryi, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.

Dzięki ci, królowo!

NICK.

Zadrżała, przed mém okiem nic się nie ukryje.

Do Maryi cicho.

Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda.

MARYA, spojrzała na Nicka i odwróciła się ze wzgardą.

O jakże trudna rola; lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzéj! prędzéj! wyrwać z téj komnaty.

HENRYK.

O Maryo! czemu nosisz te żałobne szaty?

MARYA.

Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK, na stronie.

Więc na to szat potrzeba.

HENRYK, z czułością do Maryi.

Ja cierpię tak mało,
Zwiększono wielkość cierpień, chciano cię przerazić...
Teraz z mojéj słabości nic już nie zostało,
Skoroś mi przebaczyła.

MARYA.

Bądź zdrów!

HENRYK.

Jeszcze wcześnie!
Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczerze, nieraz dręczę się boleśnie,
Nieraz cię obraziłem, przebacz mi, królowo!

Klęka przed nią.

Przebiegnij wszystkie chwile, któreśmy przeżyli,

Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli?
Błagam cię! utrać pamięć téj nieszczęsnéj chwili.

MARYA, odwracając się z drżeniem.

Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnéj pościeli.
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia;
Gdy jemu nie przebaczę, czy mi Bóg przebaczy?
Wstań, Henryku! o przebacz! przebacz mi wzajemnie.

HENRYK.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go odemnie?
Powiedz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

MARYA.

Bądź zdrów — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

HENRYK, z czułością.

Kiedyż się zobaczymy?

MARYA, drżącym głosem.

Nie wiem — jutro może?

HENRYK.

Ty mnie tak zimno żegnasz? czyliż świeże śluby
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

MARYA, całuje go w czoło

Bądź zdrów!...

HENRYK, z przerażeniem.

Tak mnie zimnymi dotknęłaś ustami,
Dreszcz mię przebiegł.

MARYA, z gorżkim uśmiechem.

Ty jesteś w gorączce, mój luby.

Odchodzi

SCENA IV.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

O Maryo! mój aniele! Boże, dzięki tobie!
Nawróciłeś jéj serce, kocha mnie tak szczerze.

NICK.

Ty wierzysz, temu królu?

HENRYK.

Tak jest, wierzę! wierzę!
Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz w grobie.
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy.
Czy widziałeś jéj uśmiech? uśmiech szczery, tkliwy;
Z pogodném czołem przy niéj zasiądę na tronie.
Ciesz się! ciesz się, Duglasie! zyskam przebaczenie,
Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
Ciesz się, mój wierny Nicku! zgasiłem sumienie,
Już nie o bladych widmach, lecz o szczęściu marzę;
Ciebie, Nicku, darami sowicie obdarzę,
Czapkę złotem napełnię, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Spraw mi żałobę.

HENRYK.

Po kim masz chodzić w żałobie?

NICK.

Spełń ten puhar w nim znajdziesz lekarstwo królowéj,
A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

HENRYK.

Precz! precz! jesteś podobny do piekielnéj jędzy!
Podły i podejrzliwy, kąsasz, trujesz jadem.
Precz! idź się błąkać, żebrać i umierać w nędzy!
Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
Obieraj rodzaj śmierci.

NICK.

Trudno mi obierać,
Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać,
Od wieków z nieprzerwanéj wypływa osnowy.
Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
Nicku! gdzie twoja głowa? wszak ty nie masz głowy.
Cha! cha! nieprawdaż, królu, że to myśl wesoła
Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
Lecz ja jestem tak lekki, sam wiatr mię utrzyma;
Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci niéma,

Chyba — to śmierć najleksza, ten puhar wypiję.
Żądasz więc mojéj śmierci?

HENRYK.

Precz, straszna poczwaro!
Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?
Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.
Wyganiam cię ze dworu.

NICK.

Ja sam się ukarzę.

Wypija prędko puhar nalany przez królową.

HENRYK.

Co czynisz?

NICK.

Nic, wypiłem królowéj napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe.

HENRYK.

Zadrżałem mimowolnie, lecz czegóż się boję?
On tylko zaśnie.

NICK.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I téj może odmówią.

Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.

Przed daleką drogą
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.
Widzę tam, w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie;
A przy obrazie lampa, pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę, widzę — tam mój ojciec stary
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśń jak przy mojéj kołysce śpiewała.
O! któżby! któżby sądził, że pod dachem nędzy
Urodzi się istota, co się będzie śmiała.

HENRYK.

Pierwszy raz wpadasz, Nicku, w tak czarną tęsknotę:
Ty byłeś tak wesoły.

NICK.

Tak, byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę:
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzarz śmiać się potrafi — potrzebuje chleba.

HENRYK.

Powiedz! co ci jest, Nicku! ten napój! o Boże!
Może jaki ratunek?

NICK.

Już mi nic nie trzeba.
Słuchaj, królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu... Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies się do ciebie przywiązałem, panie.
Wiedząc, jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem, ażeby zawsze towarzyszył tobie;
Teraz król już mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną dzwony na pogrzebie.

HENRYK

On umiera! Królowo, okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

NICK.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiéj chacie na ścianie zawieszą.
I będzie im niekiedy przypominać syna;
Niech matka, przędąc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce śpiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno.

HENRYK.

Nicku! ty mnie rozczulasz! patrz, łzy moje płyną.

NICK.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną,

Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

HENRYK.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera.
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

NICK, wesoło.

Nagródź mi. Wybierz czterech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą;
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą,
Że Nick umarły więcéj waży niż Nick żywy.
Tyś się uśmiechnął, panie! o jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy.
Przebacz mi, panie, wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy,
Tak słabo...

HENRYK.

Nicku!

NICK.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

HENRYK.

Przyjacielu mój! synu!

NICK, podnosząc głowę, z obłąkaniem.

Synu! któż mię woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno dokoła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Och! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpocznę — ja myślałem zawsze do was wrócić.
O matko! matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie. Och!

Pada u nóg króla i konia.

HENRYK.

Skonał!...
To przyjaciel ostatni! żono tkliwa, czuła,
Patrz! to twój senny napój téj zbrodni dokonał,
Tyś go otruła... myślisz, żeś męża otruła?
Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,

Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
Gdyś mnie pocałowała, piekło było w tobie,
Dla tego całowałaś ustami zimnymi...

Bierze lampę i oświeca nią twarz Nicka.

Zobaczę go raz jeszcze... Jak twarz jego zbladła!
Zsiniałe usta — twarde usłał sobie łoże.
O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła,
Szalony! ja ją gaszę — on jéj czuć nie może,
Nic już nie czuje.... Skończył. Tu rozpacz daremna!
Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiety.
Ujść przed nią — gdzież uchodzić? w około noc ciemna;
Może tu koło domu ukryte sztylety?
Czegoż się nie dopuszczą? na co nie odważą?
Niema większéj poczwary na ziemskiém przestworzu.

Po chwili.

Zostanę tu! obaczę z jaką jutro twarzą
Przyjdzie szukać zmarłego męża na tém łożu.
A twarz jéj uda bladość — może ubielona?
Może jęk jéj usłyszę za drzwiami komnaty,
Pewna jest mojéj śmierci, wprzód nim się przekona,
Czy ja umarłem! będzie płakać mojéj straty.
Wtenczas ją jedném! jedném spojrzeniem zabiję.

Stawia lampę u głów Nicka.

Więc Bóg czuwa nademną i od śmierci strzeże.
Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
Będę nad zmarłym w nocy odmawiał pacierze.
Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
Sam jeden... Boże! Boże! zmiłuj się nademną.

*

Akt V.

Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfix, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.

SCENA I.

MARYA, PAŻ.

MARYA.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?

Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
Nikt wiedzieć nie powinien, że ja czuwam w nocy.

PAŹ, gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfixem

Czy i tę lampę zgasić?

MARYA.

Lampa niech się pali.
Jéj blask mię przed obcymi zdradzić nie powinien,
Chyba przed Bogiem zdradzi, ale boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

PAŹ.

Któż winien?

MARYA.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

PAŹ.

Widziałem Botwela;
Błąkał się w zacienionéj drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu, gdzie Henryk przebywa.

MARYA.

Widziałeś! miałże sztylet?

PAŹ.

Żadnéj nie miał broni,
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

MARYA.

Jakże nagle czas płynie! jak straszna odmiana;
Teraźniejszość zatruła! przyszłość zatruć może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;
Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.
A dziś.

PAŹ, przynosząc zwiorciadło.

Dzisiaj, królowo, spojrzyj w to zwierciadło,
Czy mogłaś być piękniejszą?

MARYA.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciedle moję twarz wybladłą.

PAŹ.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie...
Czy ci przykre to światło? ja lampę zasłonię...
Pani! ty mię przerażasz! coraz bardziéj blada;
Czémże ten czarny smutek serca rozweselę?
Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
Dotąd krąży śpiewana między szkockim gminem.
Pozwól, królowo! milczysz? a więc się ośmielę...
Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem:

Królowa siedzi zamyślona, paź dziecinnym głosem mówi następującą balladę.

Synu mój! synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?
O matko! syn twój zabił sokoła,
Dla tego dzisiaj twarz niewesoła,
Dla tego we krwi żelazo.

Synu mój! synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole
I miecz nie taki czerwony?
O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.

Synu mój! synu! źleś się obronił,
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?
O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem,
I we krwi ojca — miecz syna.

Synu mój! synu! po takim czynie
Gdzież się obrócisz? w jakiéj krainie
Schronisz się, synu mój miły?

O matko! matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec,
Spokojnéj szukać mogiły.

Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?
O matko! matko! niech na nich spada
W dziedzictwie nędza, pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba.

Synu mój! synu! w czarnéj żałobie
Została matka, i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?
O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca.

MARYA obudzona nagle z zamyślenia.

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu, czyś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabija mnie!...

PAŻ.

Ballada smutna, mnie rozczula
A ciebie przeraziła?... Dziś cierpi królowa.

MARYA.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mnie przeklinasz! kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać.
Przekleństwo! tak, przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — to Botwel mówi do mnie, Boże!
To Botwel mówi!

PAŻ.

Pojąć nie mogę przyczyny,
Czém ją mogłem obrazić?

MARYA.

On pojąć nie może?
A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy.
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa.

PAŹ.

Królowo, oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

MARYA, PAŹ, BOTWEL.

MARYA, wpatrując się w Botwela

Botwelu!... Cóż to? milczysz?

BOTWEL

Czas wszystko odkryje,
Czas złym jest powiernikiem...

MARYA.

Botwelu!... On — żyje?...

BOTWEL.

Żyje? nie wiem, królowo — dotąd już mógł skonać...

MARYA.

Co? więc zaczętéj zbrodni nie mogłeś dokonać?

BOTWEL.

Nie widziałem dziś króla...

MARYA.

Więc żyć będzie?...

BOTWEL.

Zginie...
Może już zginął?...

MARYA.

Jakto? ty go nie widziałeś?...

BOTWEL.

Aleś ty go widziała...

MARYA.

Czyż wzrokiem jedynie
Mogłam go zabić?...

BOTWEL.

Możeś chciała?

MARYA.

Nie, ty chciałeś!
Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem... O Botwelu!
Jeżeliś na mnie liczył, uchybiłeś celu,
Tak, jedynie obłudy zmazałam się grzechem...
Ja się do niego śmiałam...

BOTWEL szyderczo.

Zabiłaś uśmiechem,
Dosyć, żeś go zabiła... Nie badaj, królowo,
Teraz potrzeba zgładzić naszéj zbrodni ślady;
Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
Siarka z saletrą zdradne usłały posady.
Daj mi pochodnię...

MARYA.

Luby! dziś miesiąc na niebie,
Na co ci światło?

BOTWEL.

Umarł... pogrzebać go trzeba...
W gruzach własnego domu Henryka pogrzebię...

MARYA.

Lecz on żyje!...

BOTWEL.

Więc żywy uleci do nieba...
Pod jego domem mina burząca spoczywa
I czeka iskry... Ognia! ognia!

MARYA.

Nieszczęśliwa!
Cóż uczynię?...

BOTWEL, z wzrastającą gwałtownością.

Daj ognia!...

MARYA.

Ciebie gruz przywali!...

BOTWEL.

Ognia!...

MARYA.

Zgasły pochodnie...

BOTWEL, pokazując lampę.

Tam lampa się pali,
Posłuży mi...

MARYA.

Tam moja domowa kaplica...

BOTWEL.

Paziu! daj mi tę lampę...

MARYA.

To lampa z ołtarza!

BOTWEL.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświéca,
Wszakże idę na cmentarz, grzebać wśród cmentarza...

MARYA.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz! przy świetle téj lampy błyszczy krzyż ze spiżu
I Chrystus hebanowy — on cierpi na krzyżu!
Zdaje mi się, że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo...
Boże!...

Klęka przed ołtarzem.

O śmierć Henryka modlisz się, królowo?
Wysłuchane modlitwy... Może w téj godzinie
Henryk kona...

MARYA, zrywając się z przed ołtarza.

Co mówisz? Henryk teraz kona?
A ja się modlę?

BOTWEL, zdejmując lampę.

Śpieszę, niech ślad zbrodni zginie.

MARYA.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona...

BOTWEL.

Wróci! wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

MARYA.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

BOTWEL.

Marna trwoga!
Jeśli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem:
Lampa, to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniéj Boga przerazi, bo mniéj winną będzie.

MARYA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiém?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARYA.

Tak ciemno w téj sali!...

BOTWEL, z szyderstwem.

Więc udawaj, że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Niejeden powie: patrzcie! ma świętość anioła!
Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie,
Promień światłości wkrótce wystrzeli z jéj czoła;
Patrzcie! ona się modli za męża skonanie...
O Maryo! porzuć trwogę i płoche przesądy,
Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy;
Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy
Przeważonéj już szali daléj nie przeważy.
Żegnam cię!...

MARYA.

Stój, Botwelu!

BOTWEL.

Bądź zdrowa!

MARYA.

Zaklinam!
Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

BOTWEL.

Lecz wahać się nie możesz.

Odchodzi.

SCENA III.

MARYA, PAŹ.

MARYA.

Poszedł... Nie wstrzymałam...
Czuję, że mogłam wstrzymać... Czarne moje serce!
Mogłam go jedném słowem wstrzymać — i nie chciałam.
Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce...
O! nie! nie dla mnie szczęście. Paziu, powiedz szczerze,
Ja okropną być muszę?...

PAŹ.

Pani! jesteś blada.

MARYA.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze...

Paź odchodzi przed ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królową.

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada,
Marzę i czuwam... barwę przybrały marzenia...
Tron i świateł tysiące... ja siedzę na tronie...
Teraz wszystko ciemnieje... w purpurze, w koronie
Idę — o Boże! Boże! to mury więzienia...
Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie.
W około jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dla czegoż płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina,
Jakież grzechy?... dzisiejszą noc... dzisiejsze zbrodnie!...
Teraz... wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiéjś sali? to tronowa sala.
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,

Na moim tronie obca zasiadła kobiéta...
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy...
Klękać mi każą — poco?... modlić się do Boga?
Ach!!!

PAŻ, przybliżając się.

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy
Przepowiedzeń dziwacznych twego astrologa.

MARYA.

Lecz czemuż w téj godzinie stają mi na myśli?
Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory,
Postaci ich odbija, wszystkie twarze kréśli.

PAŻ.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

MARYA.

Czy nic nie słyszysz, paziu?

PAŻ.

W koło głuche cisze,
Tylko echo pałacu słowom odpowiada,
Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,
I przez gotyckie okna blady księżyc pada.

MARYA.

Co? księżyc świeci? jaka blada przy księżycu
Musi być twarz Botwela? Na ponurém licu
Głęboki zamysł zbrodni uśpiony spoczywa;
Za nim księżyc na trawie długie kładnie cienie;
Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
Aby jéj nie zgasiło silne wiatru tchnienie...
O! tak, bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
Lecz przynajmniéj nie ujrzę zbrodni na téj twarzy.
Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
Henryk zginie!... O Boże! zmiłuj się nademną!

Po chwili, z wzrastającém przerażeniem.

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła?...
Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula...
Nigdy krwi nie widziałam!... szat mi nie splamiła...

Stój, Duglasie! Patrz, paziu! patrz tam za mnie, w cieniu,
Czy tam kto stoi za mną?...

PAŹ.

Kto?

MARYA.

Nia ma tam króla?...

PAŹ.

To mara utworzona w twojém przywidzeniu...

MARYA.

Słyszysz, powtarza: — jestem! jestem tu przy tobie!
Jest przy mnie? tu w téj sali, jeszcze w takiéj porze?
Lękam się spojrzeć za mnie... powinien spać w grobie
A on jest teraz przy mnie! Nie, to być nie może!
Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!
Śpiesz! zatrzymaj Botwela, śpiesz, mój paziu drogi!
O Paziu! ty zadrżałeś? z radości? czy z trwogi?
Śpiesz! śpiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije...
Na miłość Boga! Śpiesz się...

PAŹ.

Botwel nie posłucha.

MARYA.

Prawda... Nieś mu odemnie, nieś ten pierścień złoty...
Wszak jeszcze czas! czas jeszcze. Wszędy cichość głucha.
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

PAŹ.

Śpieszę...

Biegnie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.

MARYA.

O Boże! Boże! Śpiesz, mój paziu miły!
Czegoż czekasz?...

PAŹ.

Królowo moja! nie mam siły,
Tak mi słabo...

MARYA.

Śpiesz, paziu!...

PAŹ.

Już idę, królowo!
Już idę! idę!... Och! och!...

Pada.

MARYA.

Paziu! drogie dziecię!
Paziu! przemów, mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie... on umrzeć nie może.

PAŹ, słabym głosem.

Te bole przeminą...
Senny jestem... Królowo, kochasz mnie?

MARYA.

Jak syna!
Paziu! obudź się drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

PAŹ, drżącym głosem.

Już piłem dziś wino...
Maryo moja! och! och! och!...

Kona.

MARYA.

Paziu! moje życie!
Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?
Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziécię!
Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,
A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.

Klęka na stopniach przed krucyfixem.

Boże! błagam cię! przyjmij mnie na twoje łono,
Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
Na cóż mię szata ziemskiéj wielkości okryła?
Blask marzenia już zniknął, gdym tę noc przeżyła!

Słychać wybuch miny.

Ach!!!

Po chwili zrywa się i biegnie do okna.

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni,
A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy!...

Odwraca się od okna i znów cofa się z przestrachem.

I tu znów Henryk! Henryk przedemną w téj sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali...
Precz! precz odemnie! szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! już odejdź — nie jestem twą żoną.
Ach Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
Dręczyć tak duszę tylu mękami dręczoną!...
Ach zlituj się nademną — jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędzę,
Patrz na twarz moję — z oczu strumień łez nie spływa;
Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną.

SCENA IV.

MARYA, BOTWEL.

BOTWEL, wchodzi ze zgaszoną lampą.

O Maryo! uchodź! uchodź!

MARYA.

Patrz! patrz!... tam przedemną.

BOTWEL.

Tak, widzę, na podłodze krwi strumienie płyną...
Krew Rizzia.

MARYA.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno,
Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą.
Zdradę króla czarniejszą zmazaliśmy zdradą,
Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy!
Patrz tam!

BOTWEL.

To paź nieżywy.

MARYA.

Boże! paź nieżywy!...
Botwelu, co to znaczy?...

BOTWEL, z dzikim śmiechem.

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszéj zbrodni... umarł...

MARYA.

Nieszczęśliwy!
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojém sercu,
Precz! precz odemnie, zbójco z tém wybladłém czołem!

BOTWEL.

Chodź ze mną!

MARYA.

Gdzie?

BOTWEL.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu...
Teraz idźmy się błąkać... słyszysz te okrzyki?
To lud nas ściga mściwy... wkrótce motłoch dziki,
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Maryo! uchodź! uchodź!

MARYA, odstępując od niego z przerażeniem.

Ja się ciebie boję!

BOTWEL.

Serca zbrodnią skalane zbrodni się nie boją,
Słuchaj; otrułaś króla, jesteś moją!

MARYA.

Twoją?...
O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

BOTWEL.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną.

MARYA.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

BOTWEL.

Przekleństwa.
Chodź, Maryo! uciekajmy! chodź zemną! chodź zemną!

1830.

*

KORDYAN

CZĘŚĆ PIERWSZA TRILOGII.

SPISEK KORONACYJNY.

Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcyanin w liście z Aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie

J. Słowackiego „Lambro"

PRZYGOTOWANIE

Roku 1799. dnia 31. grudnia w nocy.

*

Chata sławnego niegdyś czarnoksiężnika Twardowskiego w górach Karpackich — Przy chacie obszerny dziedziniec, daléj skały. — W dole bezlistne bukowe lasy. — Ciemność przerywana błyskawicami. — Czarownica czesze włosy i śpiewa.

CZAROWNICA.

Z gwiazd obłąkanych,
Z włosów czesanych
Iskry padają
Jak z polskiéj szabli;
Widzą je dyabli,
Odpowiadają
Błyskami chmur.
Lecą — świst piór
Buki ugina.

Szatan zlatuje w postaci pięknego anioła.

SZATAN.

Ha, czarownico! czy biła godzina?

CZAROWNICA.

Która?

SZATAN.

Godzina, któréj żaden człowiek
Dwa razy w życiu nie słyszy.

CZAROWNICA.

Uderzy
Za dziesiątém mgnieniem powiek
Z babilońskiéj ludów wieży.

A gdy bić będzie, choć głucha, usłyszę.
Lecz gdzież są, panie, twoi towarzysze?
Leniwo śpieszą z błękitu podniebień;
Żółw, z którego to zgrzebło utoczył mi tokarz,
Prędzéj chodził...

SZATAN.

To zgrzebło... pokaż mi je, pokaż!
Łzy mi płyną... poznaję Twardowskiego grzebień,
On mię zgrzebłem tém czesał, gdy w psa wlazłszy skórę,
U nóg mu się łasiłem. Odejdź, moja pani;
Goście sproszeni zlecą się na łysą górę.

Czarownica odchodzi. — Szatan woła.

Szatani!

Błyska dziesięć razy i dziesięć tysięcy szatanów spada.

Spadł z nieba deszcz szatanów, niech ziemię polewa,
Jeśli jeszcze na ziemi są Edeńskie drzewa,
Niech rosną, to jesienią człowiek owoc zbierze...
Siadajcie! cóż, między wami
Nie widać Mefistofela?

ASTAROTH.

Zaszedł na grób przyjaciela,
Na grobie Twardowskiego odmawia pacierze.

SZATAN.

Taki się teraz zrobił czuły i pobożny
Jak poeta... Lecz księżyc zabłysnął dwurożny,
Czas przystąpić do dzieła...

DYABLI.

Co nam król rozkaże?

SZATAN.

Obejrzeć trzeba koła w wiekowym zegarze,
Krwią dziecięcia namaścić gwichty i sprężyny;
Niech nam bije wyraźnie lata, dnie, godziny.
Przynieście go, postawcie... Co? czy nie zepsuty?

ASTAROTH.

Wszystkie koła, wszystkie druty
Całe, rdza wieków nie trawi;

Godzinnik z hostyi, co dławi.
Po nim żądło Lewiatana
Przez wieki wieków się toczy,
Na dnie wskazuje ząb smoczy,
Na godziny żądło osy;
I dotąd trwa nieprzerwana
Włosień siwa z kós szatana,
Któremu zbielały włosy
Od strachu, gdy grom z obłoku...
Pamiętacie?... A sprężyna
Z ojczyzny Tella, Kalwina,
Na ludzkiém wsadzona oku,
Chodzi jak na dyamencie.
W kółek i sprężyn zamęcie
Zamknięta grzesznika dusza
Kurant po kurancie jąka.
Noga kosacza pająka
Wszystkie sprężyny porusza
Jak wahadło...

SZATAN.

Dość opisów.
Gehenno, Astharocie, najstraszliwsi z bisów,
Jak assesory sądu, gdy zegar bić zacznie,
Liczcie wieki, dnie, lata...

Zegar bije, szatani liczą.

Świecie! świecie! świecie!
Wąż wieczności łuskami w okrąg ciebie gniecie,
Zębem zatrutym boki ogryza nieznacznie;
I wieki mrą nad tobą, zasypując pyłem
Umarłych pamiątek.
Ja widziałem twój początek.
Ta garść gliny powietrzem opasana zgniłém,
Ten trup chaosu w trumnie zamknięty błękitów,
Strawiony zgnilizną czasów,
Okrył się rdzami kruszców i kością granitów,
Porósł mchem kwiatów i lasów;
Potem wydał robaki, co mu łono toczą
I myślą.
Biada im! jeśli marzeń ziemią nie określą,
Kołem widzenia — biada, jeśli je przekroczą...

GEHENNA.

Królu, wiek dziewiętnasty uderzył.

SZATAN.

Astaroth
Niech liczy lata, może ten, co za obłokiem
Gromy ciska, chcąc wesprzeć jaki ziemski naród,
Może wiek który ludziom skrócił jednym rokiem,
Może ukradł szatanom dzień jeden, godzinę,
Więc się o nią upomnę u Boga,
Lub buntowną chorągiew rozwinę.
We mnie i w przyrodzeniu zgwałconém ma wroga.

ASTAROTH.

Tysiąc osiemset lat wybiło.

SZATAN.

Więc się koło tortury całe obróciło?
Każdy ząb jéj rozdziera, każda szruba ciśnie.
Teraz, gdy niebo zabłyśnie,
Błyskawica trwa dłużéj niż te wszystkie lata,
Zbiegłe męczarnią dla świata;
A każdy rok jak ślimak sunął się leniwo
Dla nędzarzy, dla głupich kochanków nadziei;
A gdy śliną osrebrzył ślad zbiegłéj kolei,
Ślizgał się po niéj człowiek pamiątką pierzchliwą.
Obłąkani w przeszłości żeglarze
Brali imię dziejopisów;
Sztuką ich było pisać wielkie kalendarze,
Pełne królewskich imion i dat i napisów.
Inni myślą ścigali treść myśli,
Filozofy — głęboko myśleli,
Aż nad ciemną przepaścią zawiśli,
Obudzili się, w przepaść spojrzeli
I zawołali — ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla nas szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów;
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.
Wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany.

Mefistofel wchodzi.

MEFISTOFEL.

Nasz szatan prorokuje w cudotwornym stroju,
Ma płaszcz cały Woltera dziełami łatany,
I pióro gęsie Russa sterczy na zawoju.

SZATAN.

Mefistofelu! przyszła do działania pora,
Wybierz jaką igraszkę wśród ziemskiéj czeredy.
Już nie znajdziesz cichego wśród Niemców doktora,
Po szwajcarskich się górach nie snują Manfredy
I mnichy długim postem po celach nie chudną.
Więc obłąkaj jakiego żołnierza.

MEFISTOFEL.

Trudno!
Żołnierz, to ryba, która kruczkom nie dowierza
I ma rozsądek zdrowy; przy takiéj latarni
Obaczy kurzą nogę dyabła kusiciela.

SZATAN.

Samiż tylko rycerze ujdą nam bezkarni?
Słuchaj! wśród narodów wiela
Jednemu się ludowi dzień ogromny zbliża.
Idź tam, jego rycerze noszą krzywe szable
Jako księżyc dwurożny, jako rogi dyable;
I rękojeść tych kordów nie ma kształtu krzyża.
Pomóż im — oni mają walkę rozpoczynać
Taką, jakąśmy niegdyś z panem niebios wiedli.
Oni się będą modlić, zabijać, przeklinać.
Oni na ojców mogiłach usiedli
I myślą o zemsty godzinie.
Ten naród się podniesie, zwycięży i zginie;
Miecze na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię.
Ona jak powróz wrogi uwiąże za szyje
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i pływaniem.

MEFISTOFEL.

Królu! niechaj poszukam w dyabelskim psałterzu
Modlitwy na dzień, co się zowie zmartwychwstaniem;

Zmówię ją za ów naród... Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę.
A gdy wzrośnie ich potęga,
Ten naród, jak piękna księga
W starą oprawiona skórę,
Pargaminowém świecić będzie czołem.

SZATAN.

Dobra rada, stańcie kołem,
Stwarzajmy ludzi do rządu.
Zawołajcie czarownicy...

Szatan daje rozkazy, dyabli pracują.

Żywioły ziemi i lądu,
W atmosferowéj szklennicy
Zamknięte i w jeden zlane,
Przez chemików połamane;
Kwasorody, gaz węglowy,
Zlewam w kocioł platynowy;
Dmijcie, duchy!...

Gromy biją w kocioł.

W żywioł ziemi
Dorzucić szpilek kaprala
Z główkami laku, którymi
Kreśli plany, królów zwala,
Szpilek czterdzieści tysięcy
Rzućcie w kocioł...

DYABLI.

I nic więcéj?

SZATAN.

Nic...

DYABLI.

Coś z rozumu kaprala?...

SZATAN.

Nic.

DYABLI.

Skończony.

SZATAN.

Niechaj leci!

Gromy biją, duch ulatuje.

Stary — jakby ojciec dzieci,
Nie do boju, nie do trudu;
Dajmy mu, na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko,
Nazwijmy od słowa ludu,
Kmieciów, czyli nędznych chłopów.
Teraz jak z niebieskich stropów
Rzućcie wodza ludziom biednym.

DYABLI.

Panie! czy skończysz na jednym?

SZATAN.

Wrzucić do kotła dyament,
Dyament w ogniu topnieje;
Wylać sekretny atrament
Z Taylleranda kałamarza,
Co w niewidzialność blednieje
Od okularów rozsądku...
I dąć w kocioł... w kotła wrzątku
Obaczymy, co się stwarza.

DYABLI.

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny,
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

SZATAN.

To nic, to nic! takich trzeba
Biednym ludziom rzucać z nieba;
Będą przed nim giąć kolana:
Jest to stara twarz Rzymiana
Na pieniądzu wpół zatarta.
Dajmy mu, na pośmiewisko,

Sprzeczne z naturą nazwisko;
Ochrzcijmy imieniem Czarta.
Teraz puśćcie! niechaj leci!

DYABLI.

Lepszy będzie człowiek trzeci.

SZATAN.

Teraz z konstelacyi raka
Odłamać oczy i nogi,
Dodać kogucie ostrogi,
I z trwożliwego ślimaka
Oderwane przednie rogi...
Cóż tam w kotle?

DYABLI.

Ktoś z rycerzy.

SZATAN.

Wódz! chodem raka przewini,
Jak ślimak rogiem uderzy,
Spróbuje — i do skorupy
Schowa rogi, i do skrzyni
Miejskiéj zniesie planów trupy,
Czekając, aż kur zapieje...
Rzucić w kocioł Lachów dzieje,
Słownik rymowych końcówek;
Milion drukarskich czcionek,
Sennego maku trzy główek,
Cóż tam?

DYABLI.

Starzec jak skowronek,
Zastygły pod wspomnień bryłą
Napół zastygłą, przegniłą.
Poeta — rycerz — starzec — nic
Dziewięciu Feba Sułtanic
Eunuch...

SZATAN.

Przyśpieszajmy dzieła,
Bo z tamtéj krakowskiéj wieży
Słyszę dzwon rannych pacierzy;

W powietrzu się rozpłynęła
Woń kadzideł katedralnych.

CZAROWNICA.

Przeklęte wasze dzieło, wicher dyabléj mowy
Rozczesał z mojéj chaty włos słomianéj głowy;
Czy mi na nią dachówek dacie z hostyj mszalnych?
Zawierucha wierzbowe gałązki obrywa,
Ludzie nie znajdą rószczek na kwietną niedzielę.

SZATAN.

Milcz, padalcze! — Czas upływa,
Twórzmy razem wielkich wiele.
Co nakażę rzucać w tygle?
Rdzę pozostałą
Na Omfalii igle
Od krwią wilgotnych Herkulesa palców;
Z rdzy się narodzi nie mało
Wymuskanych rycerzy — ospalców.

DYABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię
Jak chmura.

SZATAN.

Śpieszmy nowe tworzyć brzemię,
Nim jutrznia błyśnie ponura
Nim się żywioły ochłodzą,
Rzucić język Balaama oślicy;
A ci, co się z niego wyrodzą,
Narodowéj się chwycą mownicy.
Mowców plemię...

DYABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię,
Jak zwichrzone szpaków stado.

SZATAN.

Widzicie tę postać bladą,
Z mętów kotła już napół urodną;
Twarz uwiędła i wzrok w czarném kole;
Paszczę myśli otwiera wciąż głodną,

Wiecznie dławi księgarnie i mole
I na krzywych dwóch nogach się chwieje,
Jak niepewne rządowe systema.
Chce mówić, posłuchajmy, co na świat posieje?

TWÓR, pokazując z kotła głowę.

Czy lepiéj, kiedy jest król? czy kiedy go niema?

SZATAN.

Precz z tym Sfinxem, co prawi zagadki,
Sam jej dyabeł rozwiązać nie umie:
Niech w szkolarzów zasiewa ją tłumie,
Oplątaną w dziejowe wypadki;
Niech z ministerjalnéj ławy
Nad rozlewem żyźniącym krwi Nilu
Ze złamanych kolumien podstawy
Gada hieroglifem stylu.

ASTAROTH.

Panie! patrz tam, z kotła pary
Znów się jakiś twór wylęga;
Twarz ma okropnéj poczwary,
Przez pierś jeneralska wstęga.

SZATAN.

Witajcie go! oto twór
Niszczyciel jakby horda Nogajca.
On w stolicy owłada dział mur.
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca!
A gdy zabrzmi nad miastem dzieł huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci.
Kraj przedany on wyda pod miecz!

GŁOS W POWIETRZU.

W imię Boga! precz stąd! precz!

Wszystko znika.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie;

Ciemna gwiazda w słonecznych gwiazd świcie,
Grób odwieczny potomków Adama.

ARCHANIOŁ.

Onego czasu jedna z gwiazd wiecznego gmachu
Obłąkała się w drodze, jam ją zgonił lotem,
Czułem w dłoni jéj serce bijące z przestrachu,
Jak serce ptaka ludzkim dotkniętego grotem;
I drżącą położyłem przed tronem Jehowy.
A Bóg rzekł do mnie światło - tworzącymi słowy:
Krew ludzka skrzydła twoje rumieni.
Padłem twarzą na boskie podnoże,
Na proch gwiazd, na kobierce z promieni...
Boże! Boże! Boże!
Skrzydeł pióry otarłem o ziemię,
Krwawa była — widziałem! widziałem!
Za grzechy ojców w groby kładące się plemię,
Lud konał... gwiazda gasła... za gwiazdą leciałem, —
Lud skonał...
Czas, byś go podniósł, Boże, lub gromem dokonał.
A jeśli twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcéj niźli łez wylali.
Zmiłuj się nad nimi, Panie!
A Bóg rzekł: wola moja się stanie.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie,
A Bóg ją zetrze palcem, lub wleje w nią życie
Jak w posąg gliniany Adama.

PROLOG.

Pierwsza osoba prologu.

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy.
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,
Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania.
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole... Pozwól, Panie, tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć.
Z bronzu wzniosę posągi, gdzie pokruszę gipsy.
A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy.
Obróćcie ku mnie oczu zamglonych i twarzy.
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka... szata w długość szczodra
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryje włos biały, jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów dyamentu pełna,
Nogi mam jak miedź świeżém ogniskiem czerwona,
Głos huczy jako woda wezbraniem szalona;
W ręku siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry obosieczny, a twarz moja błyska
Jak słońce w całéj mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę...

Druga osoba prologu.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę,
Wy śmiejcie się z zapału mego towarzysza...
Kto on? do tureckiego podobny derwisza;
Owe siedem lichtarzy, jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów
Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia
Nie wiek, ale zgryzota... W oczach blask natchnienia,
W ręku gwiazdy... to myśli, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny — jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich, albo wrogów.

Trzecia osoba prologu.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowéj urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły.
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

CZĘŚĆ I.

Akt I.

SCENA I.

Kordyan, młody 15-letni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu. Grzegorz, stary sługa, opodal niego czyści broń myśliwską. Z jednéj strony widać dom wiejski, z drugiéj ogród, za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe.)

KORDYAN zadumany.

Zabił się młody... Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu,
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone;
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę,
Jak kwiat liściami w niebo otwartymi
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia.
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi,
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje,
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła,
Ciche wyrzekła słowa do drzew: gińcie drzewa!
Zwiędły — opadły.
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa;
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów skonanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa,

Cicho. Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie.
Idą trzody po trawie chrzęszczącéj od szronu
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zagonu?
Cicho, odludnie, zimno... Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklannym bije,
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnéj nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje...
Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć, zwiędnienie; głosem uczuć, szumy
Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się téj myśli narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

(Po chwili.)

Jam się w miłość nieszczęsną całém sercem wsączył...

(Myśli — potem nagle obraca się do Grzegorza...)

Grzegorzu, porzuć strzelbę czyścić...

GRZEGORZ.

Jużem skończył,
Co mi panicz rozkaże?

KORDYAN.

Chodź tutaj, mój stary...
Nudzę się...

GRZEGORZ.

Nie nowina; cóż ja poczne na to?
Chcesz panicz, powiem bajkę szlachetnie bogatą,
Mam ja w szkatule mózgu dykteryjki, czary
Po babce mojéj staréj, co w Bogu spoczywa.
Chcesz pan téj, co się gada? czy téj, co się śpiéwa?...

Kordyan milczy; Grzegorz mówi następującą bajkę:

Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Codzień stary bakalarus
Łamał wierzby na biedaku,
I po setnéj, setnéj probie
Rzekł do matki: Oj kobiéto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie!...
Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo;
A księżulo słuchał skargi
I poważnie nadął wargi,
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
„Patrz mi w oczy, rzekł do żaka,
„Nic dobrego! nic dobrego!“
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piętaka,
I do szewca oddać radził...

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło... Szewc był blisko...
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiéj ślipiać igle.
Dyabeł mięszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: w świat pójdę o piętaku!
A więc tak jak był — hołota,
Przed terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął...
Jak do wody wpadł i zginął...

Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie:
W końcu dodał... „Bogobojna
„Trzódko moja, bądź spokojna,
„Co ma wisieć, nie utonie.“

Mały Janek gdzie się chował
Przez rok cały, zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy — wylądował...
Ówdzie król przechodził drogą;
Jaś pokłonił się królowi
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą
Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy...
Owóż król ten posiadł sławę,
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewém władał,
Że człowieka zaraz zbadał
Na co mierzy, na co zdatny:
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny...
Lecz tą razą, wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza,
Czy żak Janek na tancerza?
Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: „Mój kochanku,
„Jak masz imię?“
„Janek.“
„Janku,
„Cóż ty umiesz?“
„Psom szyć buty.“

„A czy dobrze?“
„Oj tatulu!
„Czyli raczéj, panie królu!
„Jak szacuję, ręczyć mogę,
„Że but każdy ostro kuty,
„I na jedną zrobię nogę,
„Czyli raczéj na łap dwoje...
„To na zimę. — Z letnich czasów
„But o jednym szwie wystroję,
„Na opłatku, bez obcasów;
„A robota takiéj wiary,
„Że psy puszczaj na moczary,
„Suchą nogą przejdą stawy.“ —
„Masz więc służbę, złotem płacę“
Rzekł do Janka pan łaskawy
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty;
A szewc chartów w axamicie
Przy królewskiéj jechał świcie;
Złoty order miał na szyi,
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincyi,
W dni dwanaście został panem.
Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował
W biskupy...

KORDYAN.

Cha! cha! cha! przednia powieść.

GRZEGORZ.

A widzi pan, widzi,
Jak zabawiłem gadką... niech się pan nie wstydzi,
W téj powieści moralna kryje się nauka.

KORDYAN.

Jaka? powiedz mi stary.

GRZEGORZ.

A któż jéj wyszuka?
Dość, że jest sens, powiadam.

KORDYAN.

Wierzę.

GRZEGORZ.

Trzeba wiary.
Bo widzi panicz, kiedy gada sługa stary,
To w słowach dziecku dawać nie będzie trucizny.
Błąkałem się ja długo zdala od ojczyzny,
I tak mi było ciężko od tęsknego żalu,
Że żołnierze ciosali kołki na wąsalu;
Odcinając się szablą, nie brałem pociechy,
Bo żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy,
A smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy i człowiek nie gnije
Jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi... Byłem ja w Egipcie!
Ponoś no o téj walce nie mówiłem panu?
Czy wolno?

KORDYAN.

Mów! mów stary.

GRZEGORZ, kręcąc wąsa.

Daj go tam szatanu
Kaprala... tęgi człowiek!... Wywiódł wojsko w pole,
Nie w pole, w piaski raczéj; równo jak po stole,
Otwarto na wsze strony, kędyś wzrok obrócił,
Oko biegnąc po piaskach, Boga szuka w niebie.
Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie,
I niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił.
Mnie świecącemu w jednéj widać było cztery.
Przed walką, przypominam, śmiech nas ruszył szczery;
Bo trzeba panu wiedzieć: na wojska ogonie
Snuły się z bagażami osły... przy bagażach
Przywlekli się z Francyi w bagnetów zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą w kalendarzach.
Gardziliśmy jak Niemcem tą chmurą komorów,

Tą psiarnią, co jak truflów wietrzyła kamieni;
Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: osły! i uczeni,
Chowajcie się w kwadraty! daléj za pas nogi!
Dalibóg! korzystali z łagodnéj przestrogi.
Przyznam się jednak panu, że choć żołnierz bitny
Przed walką byłem nieco nadzwyczaj ponury.
Jak dziś pamiętam, zdala lał się Nil błękitny,
Daléj jakiegoś miasta widać było mury;
I nad głowami niebo czyste bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku,
Nad katafalkiem niby od gromnic płomyki...
Lecz co najbardziéj ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie, murowane góry;
Stądby je było widzieć, gdyby nie Karpaty,
I gdyby z nieba można zetrzeć wszystkie chmury.
Wtem wódz przyjechał konno... zagrzmiały wiwaty,
Acz bez winnych kielichów. Wódz wskazał na wieże
I rzekł: *soldats!* co znaczy, powiedział: żołnierze!
Słyszałem wszystko, wódz rzekł: patrzcie wojownicy!
Ze szczytu piramidy — co znaczy: z dzwonnicy,
Ze szczytu tych piramid sto wieków was widzi.
Więc spojrzałem, gdzie wskazał po nieba błękicie;
Aż tu patrz... niech kto ze mnie jak z prostaka szydzi,
Opowiem... Klnę się panu, na piramid szczycie,
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz, w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku.
Sto dział zagrzmiało, oczy zgubiłem od blasku.
A kiedym wzrok odpytał, aż tu mameluki
Krzywymi nas szablami dziobią gdyby kruki,
To końmi do ucieczki obróceni wrzkomo
Siadają na bagnetach jak małpy.

KORDYAN.

Cóż daléj?...

GRZEGORZ.

A wstydź że się pan pytać, każdemu wiadomo,

Żeśmy zawsze łamane parole wygrali.
I gdyby nie ta dżuma... Ale pan nie słucha!...

KORDYAN, zamyślony, mówi sam do siebie.

Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.
Nieraz z myślą zburzoną w ciemne idę lasy,
Szczęk broni rzucam w sosen rozchwianych hałasy,
Widzę siebie wśród świateł czarodziejskich sławy,
Wśród promienistych szyków; szyki wstają z ziemi,
Ziemia wstaje jak miasto odgrzebane z lawy...
Głupstwo... dzieciństwo marzeń... Z myślami takimi
Nie śmiałbym się wynurzyć przed starców rozsądkiem,
Więc szukam — kogo? sługi, co rozwlekłym wątkiem
Snuje głupie powieści.

Myśli... potem nagle do Grzegorza

Idź sobie, Grzegorzu!
Jak się panna na konną przechadzkę wybierze,
Dasz mi znać.

GRZEGORZ.

Panicz może dziś nie dospał w łożu?
Bo starego odpędza jak natrętne zwierzę.
Bywszy niegdyś w niewoli, znałem ja młodziana,
Co miał wiele nauki, nie gardził mną przecie,
I dziękował za powieść, gdy dobrze dobrana.
Było to piękne wcale i szlachetne dziecię!
Smutno skończył!

KORDYAN.

Cóż, umarł?

GRZEGORZ.

A gdzie tam, mój panie!

KORDYAN.

Więc żyje!

GRZEGORZ.

Oj nie żyje! Gdy nas Rosyanie
Wzięli w dwunastym roku; spędzili jak trzodę,
I na Sybir zawiedli... Dwóchset naszych było,
Wiarusy kęs nadpsute, oficerstwo młode;

A jak wzajem sprzyjali, wspomnieć starcu miło,
Jeden drugiemu nigdy nie powie jak: bracie,
Chleb łamią jak opłatki, w jednéj chodzą szacie.
Ten, o którym rzecz wiodę, zwał się Kazimierzem.
Otóż kiedy się Moskal pastwił nad żołnierzem,
Pan Kazimierz za wszystkich cierpiał, potem z głowy
Dobył myśli — zawołał na tajemne zmowy
I odkrył zamiar wcale dostojny bo śmiały.
Nie szydź, panie, kto kupi niewolą włos biały,
Ten rozpaczy szalonéj w ludziach nie potępi.
Więc on myślał, że straże kozackie wytępi,
Zmarłym wydrze żelazo, i polskie wiarusy
Do Polski odprowadzi... Poznali się Rusy
Na malowanych lisach; wywiedli na pole;
Cały nas pułk Baszkirów ostąpił w półkole,
Wołga stała za nami... pułkownik tatarski
Przeczytał głośno niby jakiś dekret carski,
A w tym dekrecie stało, aby polskie jeńce
Rozdzielić na dziesiątki i w pułki powcielać.
Wtenczas nasze wiarusy wziąwszy się za ręce,
Krzyknęli: nie pójdziemy... Zamiast nas wystrzelać,
Czy wierzysz pan, że owe tatarskie szatany
Rzucali nam na szyję rzemienne arkany,
Właśnie jakby na koni zdziczałych tabuny.
Och! co czułem, to z sobą poniosę do truny!
Związaliśmy się wszyscy rękoma co siły.
Pamiętam, z prawéj strony — nie, z lewéj od serca,
Stał przy mnie żołnierz wiekiem, ranami pochyły,
Ku niemu zwinął koniem baszkirski morderca;
Więc biedak rękę moję nakształt szabli ścisnął,
Potem ociężał na niéj, bezwładny obwisnął;
Patrzę mu w twarz, posiniał cały nakształt trupa,
Oczy wybiegły, szyja związana powrozem.
Tu baszkir zaciął konia, koń spięty dał słupa,
Skoczył — a starzec jak koń uwiązany lozem
Pociągnął się po piasku, po krzemiennéj warście.
Widziałem na krzemieniach włosów siwych garście
Z krwi wyrwane kroplami... Koń leciał jak strzała,
Już trup zniknął — a jeszcze widać było konia,
I myśl przy koniu starca krwawego widziała.

Staliśmy jak garść kłosów pożółkłych śród błonia;
Głuche było milczenie, zgroza, obłąkanie.
Piszcząc, kołem jak krucy krążyli poganie,
Wybierali oczyma gdzie powrozem skinąć,
Śmierć dając, chcieli zabić przedśmiertną godziną.
Wtem, panie! nasz Kazimierz! ów Kazimierz młody!
Skoczył w tłumy Baszkirów, i z tłumu wyskoczył
Z pułkownikiem tatarskim, rzucił się do wody;
Tak ujętego wroga między dwie kry wtłoczył,
A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła
Jak mieczem odrąbana i na krze usiadła
Z otwartymi oczyma...

KORDYAN.

A Kazimierz?

GRZEGORZ.

Zginął.

KORDYAN.

Grzegorzu, czy nie pomnisz zmarłego nazwiska?

GRZEGORZ.

Nie wiem. On pod imieniem Kazimierza słynął,
Co mu tam dziś nazwisko po śmierci? Pan ściska
Rękę starego sługi?

KORDYAN.

Boże! jak ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma, lecz ja nie mam wiary,
Gdzie ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.
Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.
Teraz czas świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć? alboli nie żyć?
Jam bezsilny! nie mogę jak Edyp zabójca
Rozwiązać wszystkich sfinxów zagadki na świecie;
Rozmnożyły się sfinxy, dziś tajemnic trójca
Liczna jak ziarna piasku, jak łąkowe kwiecie:
Wszędzie pełno tajemnic, świat się nie rozszerzył,
Ale zyskał na głębi... wierzchem człowiek płynie,

Lecz jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu ginie.
Chyba że w owéj drodze jak milowe słupy
Mija stare przesądy — zbladłe wieków trupy.
Nie, są to raczéj krzyże przy ubitéj drodze;
Prostak przy nich koniowi zatrzymuje wodze
I żegna się i pokłon oddaje — gdy mija.
Potem mędrkowie prostsze wytkną ludziom szlaki,
Zwolna na drogę nową zjeżdżają prostaki;
Na zapomnianym krzyżu bocian gniazdo zwija,
Mech rośnie, pod nim dzieci w piasku sadzą kwiaty.
Nieraz krzyż u stóp samych podgryziony laty
Pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża,
A lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.
Więc idę na świat rąbać nadpróchniałe drewna;
Miłość? zapomnę o niéj — wśród światowéj burzy
Pozostanie głos wspomnień .. jak pieśń dzika, rzewna,
Jak pieśń żurawia, co się opóźnił w podróży
I samotny szybuje po błękicie nieba,
Ostatni z licznych, szczęsnych tłumów odbłąkany.
Trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba;
Jak Kolumb na nieznane wpływam Oceany
Z myślą smutną i z sercem rozbitém.

LAURA, wolając z ganku.

Kordyanie!

KORDYAN.

Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie.
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczém,
Nie wyjdę z niego... Mogłem być czémś,.. będę niczém ..

SCENA II.

Ogród, lipowe aleje krzyżują się w różne strony, wśród drzew widać dom opuszczony z wybitymi oknami. Jesień, liście opadają wietrzno. Kordyan i Laura zsiadają z koni, przy których Grzegorz zostaje i wchodzą do alei. Długo nic do siebie nie mówią.

LAURA, z uśmiechem na pół szyderczym.

Czemu Kordyan tak smutny?

Kordyan patrzy na nią oczyma zamglonymi — i milczy.

Znalazłam dziś rano

W imionniku wierszami kartę zapisaną,
Poznałam rękę, pióro — o! nie, raczéj duszę.

Kordyan zarumieniony schyla się ku ziemi.

Czemu się pan mój schyla.

KORDYAN.

Odmiatam i kruszę
Gałązki, ciernie, chwasty z pod stóp twoich, pani.
Cierń co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!

LAURA.

Kordyan zapomniał, że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordyan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni?

KORDYAN.

Zapytaj się drzew, pani, dla czego w jesieni,
Szronem dotknięte, noszą liście purpurowe?
To tajemnica szronu.

LAURA.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną?

KORDYAN.

Nie ujrzę jéj, jeżeli to gwiazda nadziei!

LAURA.

A jeśli gwiazda wspomnień?

KORDYAN.

O! dla mnie za rano
Na bladą gwiazdę wspomnień!..,

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordyana?

Kordyan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.

Jak się nazywa?

KORDYAN.

Przyszłość!

LAURA, z uśmiechem.

W któréj stronie nieba?

KORDYAN.

O! nie wiem! nie wiem, jest to gwiazda obłąkana,
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba.

LAURA.

Kordyan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności.

KORDYAN.

Tak, gdy mię spalą męczarnie,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.
Talenta są to w ręku szalonych latarnie,
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki.
Lepiéj światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku, zimnych wyobrażeń,
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

LAURA.

Jaki dziś Kordyan gorżki?

Usiada na ławce darniowéj. — Kordyan u nóg jéj się kładzie i mówi, patrząc na niebo.

KORDYAN.

Czarowna natura!
Jak koń Apokalipsy szara leci chmura
Jesiennym gnana wiatrem; a w chmurze myśl gromu,
Omdlała zimnem, iskry wydobyć nie może;
Więc co ma w łonie gniewu, nie powie nikomu?
I przepłynie nad światem... z gromem myśli złożę,
Niechaj płyną nad światem zimne i bez głosu.

Zrywa kwiat i obraca się z uśmiechem do Laury.

Pani, weź tę gałązkę purpurową wrzosu,
Ale jéj nie otrząsaj ze szronu brylanta.

Zamyślony patrzy na niebo.

Pani — patrz tam na niebo... oto duchy Danta.
Tam się na starém drzewie wichrzy szpaków stado,
Zaleciały przelotem i do snu się kładą,
Wiatr przez noc będzie liście zbijał — one prześnią
Noc całą, drzew ginących kołysane pieśnią,
Anioł przeczucia śpiącym wskaże lotu szlaki,
A gdy się zbudzą, drzewo powie: lećcie ptaki.

Nie mam już dla was liści, jam się zestarzało
Przez noc, kiedyście spały.

LAURA.

Cóż stąd za nauka?

KORDYAN.

Cha! cha! nauka smutku, że drzewo nie spało
A ptaki spały.

LAURA.

Kordyan co przyszłości szuka,
Powinien spać jak ptaki...

KORDYAN.

Gdzież anioł przeczucia?
Czy przyjdzie? poprowadzi? Więc myśli i czucia
Trzeba, skąpca przykładem, na lata rozłożyć,
I nigdy zmysłów w jednéj nie utracić burzy.
Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć.
Dziwna ciekawość życia prowadzi w podróży,
A za ciekawość trzeba nieszczęściami płacić,
I nigdy zmysłów w jednéj burzy nie utracić.

Gwałtownie.

Jam je utracił! Boże! zmiłuj się nademną!

LAURA.

Kordyanie!...

Kordyan milczy.

Czas powracać, już wietrzno i ciemno.

KORDYAN.

O! pani, zostań jeszcze.

LAURA.

Więc pan mi przyrzeka,
Że będzie spokojniejszy?

KORDYAN z obłąkaniem.

Tak.

LAURA.

Przyszłość daleka,

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

KORDYAN, zamyślony, patrząc na niebo.

Ciemny się błękit nieba wyświeca za mgłami,
Ach księżyc! patrz tam, pani! księżyc srebrny, pełny
Stanął i patrzy na nas; chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go napół gałąź rozcina spróchniała,
Teraz wśród czarnych liści krąg chowa ponury.
Pani! gdy kiedyś! kiedyś! twarz księżyca biała
Błyśnie wśród chmur lecących na jesiennem niebie,
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od siebie.

Po chwili.

Bóg promień duszy wcielił w nieskończone twory,
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,
Z których pięć wzięło zmysły cielesne za sługi,
Inne zagasły w nicość... ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni; ale jasny cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w ciemną wspomnień trumnę.
Bóg mu pod nogi światła wywróci kolumnę,
Po niéj gwiazd miriady zapali i słońca;
Anioł je przejrzy wzrokiem nadziei do końca,
I do gwiazdy podobny, będzie w przyszłość płynął.
O! duch mój chce się wyrwać! już pióra rozwinął:
Dusza z ust zapalonych leci w błękit nieba.

Opuszcza ręce i z rozpaczą.

Na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba!

LAURA.

Źle, jeśli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję, co mu jest?

KORDYAN ze wzgardą.

Oszalał...

Laura odchodzi ku drzwiom ogrodu, siada na koń... i odjeżdża z Grzegorzem. Kordyan zostaje sam w ogrodzie nieruchomy.

KORDYAN, sam.

Światła nocy błyskają na nieba szafirze;
Myśl zbłąkana w błękity niebieskie upadła,
Oto ją gwiazdy w kręgi porywają chyże
I kręcą, aż zmęczona, posępna, pobladła,
Powróci z tańcu niebios w nudne serce moje.
Czekam — nad otchłaniami niebieskimi stoję,
Zalękniony o myśli w gwiazd tonące wirze.
Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żurawi stada!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze.

Dobywa pistoletu.

Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada.
Ból, chwila jedna, ciemno — potem jasność błyśnie.
Lecz jeśli nie zaświeci nic?... i ból przeminie?
Jeśli się wszystko z chwilą boleści rozpryśnie?
A potem ciemność... potem nawet ciemność ginie,
Nic — nic — i sobie nawet nie powiem samemu,
Że nic niema — i Boga nie zapytam, czemu
Nic niema? Ha! więc będę zwyciężony niczém?...
Śmierć patrzy w oczy moje dwustronném obliczem,
Jak niebo nad głowami i odbite w wodzie.
Prawda, lub omamienie; lecz wybierać trudno,
Gdzie nie można zrozumieć...

Przykłada broń do czoła.

Nie... nie w tym ogrodzie.
Znajdę śród lasów łąkę kwietną i odludną.

Wychodzi z ogrodu.

SCENA III.

Noc. — Laura sama w pokoju przy lampie.

LAURA.

Dotąd Kordyan nie wrócił, jedenasta biła.
Natrętna niespokojność w serce się zakrada,
Gdybym też dziecię płochém szyderstwem zabiła?

Dmucham w różę, co słońcem palona opada?
A jeśli jego serce z takich kruszców lane,
Że co na niém napiszę, przetrwa napisane
Na wieki wieków? Boże! jeśli jego oczy
Przywykną do ciemności i do łez? co gorsza!
Jeśli miasto łez, w dzieciach zapalonych skorsza
Duma gorżkie uśmiechy na twarz mu wytłoczy.

Zamyśla się, potem bierze sztambuch i przewraca.

Nudnymi grzecznościami zapisane karty,
Ten mię równa do kwiatu, ci do gwiazd — a czwarty
Do Dyany bogini — on sam jak bóg Apis
Zwierzęcą nosi głowę. Ten kwiat chce rozkwitać...
Rysunek siostry mojéj. — Ach! Kordyana napis;
Spojrzałam mimowolnie, muszę raz odczytać...

Czyta wiersz Kordyana.

O! przepłynę ja kiedyś we wspomnień łańcuchu,
Zatrzymam się... wspomnienia krokiem się nie ruszą...
Aż powiesz: „Natrętny duchu!
Ciężysz na duszy mojéj twoją cichą duszą,
Jak księżyc mórz oczyma podnoszący ciemnie.
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie...“
Luba, jam koło ciebie i z tobą i w tobie...
Nie przychodzę wyrzucać ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać;
Przyśniło mi się tylko kilka pytań w grobie...
Słuchaj! niegdyś ze szczęściem brałaś zaręczyny,
Pokaż mi ów pierścień złoty;
Ha! zczerniał? zczerniał pierścień? to nie z mojéj winy!
Dla czego na twarz włosów rozpuszczasz uploty?...
Spostrzegłem we włosów chmurze
Bladość twarzy i coś błyska!...
Może to blask w pereł sznurze?
Może światło brylanta, albo kornaliny?
Może rozgrzane słońcem topazu ogniska?
Może to łzy? — ty płaczesz? to nie z mojéj winy!...
Mój Aniele! mój Aniele!
Kwiat ci niegdyś wieńczył głowę,
A było kwiatów tak wiele,
Że nim zwiędły, brałaś nowe.

Dla czegóż dzisiaj w stroju zmianę widzę jawną?
Wszak kwiaty przeżyć burze musiały i spieki;
Prócz jednéj bladéj róży, która dawno, dawno!
Nie pomnę, z jakiéj przyczyny,
Zwiędła na wieki...
Jeśli tak wszystkie zwiędły — to nie z mojéj winy!...

Przestaje czytać.

Słyszę tentent... to Kordyan!... więc okno otworzę —
Nie! możebym za zbytnią troskliwość wydała...
Co, nikt drzwi nie odmyka?

Otwiera okno.

Boże! wielki Boże!
Koń przeleciał bez jeźdźca... Co to jest? drżę cała!

Dzwoni. Panna pokojowa wchodzi.

Gdzie Grzegorz?

PANNA.

Nie wiem, pani, nie siadł do wieczerzy,
Widać było, bo dzbankiem z nami się nie dzielił
Jak żyd płaszczem Chrystusa.

LAURA.

Szukaj go! niech bieży...

GRZEGORZ.

Nieszczęście! Och, nieszczęście! panicz się zastrzelił!...

*

Akt II.

ROK 1828.

WĘDROWIEC.

Jame's Park w Londynie — wieczór. — Kordyan siedzi pod drzewem — wokoło łąki zielone — daléj sadzawka ocieniona drzewami, trzody — dokoła parku pałace i dwie wieże Westminsteru.

KORDYAN.

Wyspę łąk porzucono na pałaców stepy,
Uciekam tu opodal od wrącego gminu;

Lud woli pić dym węgli i zaglądać w sklepy;
A ten ogród, czarowna sielanka Londynu,
Jak ustęp złoty w nudnym ginie poemacie.
Ludzie! wy się tym drzewom przypatrywać macie,
Jak cudom Boga, obok cudów waszéj ręki.
Drzewa nietknięte, rajskie zachowały wdzięki;
Nieraz mgły nadpłynione w kłęby czarne zwiną
I liściowym wachlarzem na miasto odwieją.
Po sadzawkach łabędzie rozżaglone płyną.
Ludzie piaskiem Paktolu węże ścieżek sieją,
A łąki flamandzkiego axamitu puchem.
Tam! miasto... zegar ludzkim kręcący się ruchem,
A tu cisza — tu ludźmi nie kwitną ogrody,
Ale się po murawach wyperliły trzody...
Był wiek, żem ja w dziecinnych marzeniach budował
Wszystkie stolice ziemskie, dziś je widzę różne;
Alem pierwszych obrazów w myśli nie zepsował,
Są dziś porównań celem, jak księgi podróżne.
Rzeczywistości naga! wynagródź marzenie!
Obym się sam ocenił, skoro świat ocenię...
Kto wie? może w szczęśliwych grono mię powoła...
. . . . . .
Chciałbym bliznę Kaima mazać z mego czoła
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada...

Zbliża się dozorca ogrodu, biorący opłatę za krzesła.

DOZORCA.

Panie mój! pens za krzesło!...

Kordyan daje szyling i nie przyjmuje reszty.

Pan mój jak lord płaci
A jak lord siąść nie umie!

KORDYAN.

Jakże więc lord siada?

DOZORCA.

Na trzech krzesłach zarazem siadają magnaci:
Na jedném lord się kładzie, a na drugim nogi,
A na trzecim kapelusz, to trzech pensów suma.

KORDYAN

Dziękuję, bracie! będę korzystał z przestrogi.

DOZORCA.

Szlachetny to jest zwyczaj, żyzna ludziom duma,
Lękam się, by go nowa reforma nie zniosła.

Ściemnia się.

KORDYAN.

Tam, gdzie gęstymi drzewy sadzawka zarosła,
Jakiś człowiek samotny, jak cień się przesuwa,
Patrzy na księżyc, wzdycha — to miłośnik czuły,
Zapewne wielkie serce smutkami zatruwa;
Może mu się marzenia złotym wątkiem snuły,
I przerwały się nagle — od świata ucieka.
Chciałbym go poznać... Bracie, znasz tego człowieka?

DOZORCA.

To pewien dłużnik, bankrut potępion wyrokiem.

KORDYAN.

Dla czegoż nie w więzieniu duma lecz w ogrodzie?

DOZORCA.

Prawo w domy nie wchodzi; po słońca zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik we dnie sypia, a chodzi po nocy.
Myślałem, że pan także, przy Boga pomocy,
Mijasz się z prawem.

KORDYAN.

Nędzny!...

DOZORCA.

Pan jakby lord płaci.
Mam honor mu polecić siebie, moich braci...
Jeden, jak ja przedaje krzesła w parlamencie;
Drugi, jak ja, przedaje groby w Westminsterze;
Trzeci robi na przedaż herbowe pieczęcie,
Na każdéj ryje łokieć, szalki i dwie wieże,
Podobne kształtem do wież dłużników więzienia.
Czwartego lud nazywa Garrikiem tragicznym;

Prawdziwie małpi talent wziął od urodzenia,
I Punsza bohatera przed tłumem ulicznym
Pokazuje, przez Punsza usta opowiada,
Jak zabił żonę, dziecię wyrzucił przez okno,
Obwiesił kata, wreszcie w szpony diabła wpada;
A gdy go dyabeł porwie, widze we łzach mokną

Kordyan odchodzi.

Dover. Kordyan siedzi na białéj krédowéj skale nad morzem, czyta Szekspira — wyjątek z tragedyi pod tytułem: Król Lear...

Kordyan czyta.

Chodź! oto szczyt, stój cicho... zakręci się w głowie,
Gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe z pod nogi.
Wrony przelatujące w otchłani połowie
Mało większe od żuków... a tam, na pół drogi
Czepia się ktoś... chwast zbiera — z ciężkiéj żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy.
A owi, co się snują po brzegu, rybacy
Wydają się jak mrówki... Okręt trójmasztowy
Spoczywający w porcie, widać stąd bez żagli,
Łupinę tylko, mniejszą od węzła kotwicy.
A szum zhukanéj fali, którą wicher nagli,
I pokłada na brzegów skalistéj granicy;
War piany i kamieni, równy głośnéj burzy,
Ucha tu nie dochodzi... O! nie patrzę dłużéj,
Bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy.

Przestaje czytać.

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę,
Większą od góry, którą Bóg postawił.
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,
I patrzeć na świat oczyma twoimi.

Wstaje.

Próżno myśl geniuszu świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — ciężka praca!

Odchodzi.

Willa włoska — pokój cały zwierciadłami wybity — kobierce — wazony rznięte z lawy pełne kwiatów — przez okna widać piękną okolicę. — Kordyan i Wioletta młoda i piękna Włoszka.

KORDYAN.

Duszo! niechaj ci włosy na czole rozgarnę!
Weź mię w twoje ramiona, rozkoszą odkwitnę.
Patrz na mnie! Twoje oczy, jasne, skrzące, czarne,
Białka oczu jak perły śnieżysto błękitne.
Gdy rzucasz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję;
Tak na przesłodkiéj róży mrą złote motyle;
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję!
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

WIOLETTA.

Puść mię! omdlewam.

KORDYAN.

Luba! gdy padasz omdlona,
Odpychając mię falą kołysaną łona,
Wtenczas gdy z rozkwitłego na pół ust koralu
Płomień z niewysłowionym wybłyska wyrazem,
W którym miłość złączyła wszystkie głosy razem,
Dźwięk strun urwanych, wstydu głos i skargę żalu,
Jęk, śmiech dziecka, westchnienie — wtenczas, moja droga,
Ty mię kochasz...

WIOLETTA.

Nad życie! Wszak Lorda i Boga
Porzuciłam dla ciebie, czyż wątpisz szalony?

KORDYAN.

Wierzę! na koralowych ustach zawieszony
Jako motyl na róży. Twoja szyja płonie
A perły takie zimne na płomiennem łonie?
Rozerwij perły — czekaj, rozgryzę nić!

WIOLETTA.

Szkoda!...

KORDYAN.

Perły po twoich piersiach leją się jak woda;
Boisz się łaskotania pereł, moja miła?
Drżysz jak liść... Czy mię kochasz?

WIOLETTA.

Jam stokroć mówiła,
Żeś mi droższy nad życie; wiszę u twéj szaty
Jak kropla rosy, strząśniesz? rozprysnę się cała.

KORDYAN. Coraz zimniéj i z większém zamyśleniem.

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty;
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jéj nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

WIOLETTA.

Wyrzut dla płci naszéj srogi!
Niezasłużony wiernem sercem Wioletty.

KORDYAN.

Luba! gdzieś na północy stał zamek wiekowy,
Herby pradziadów moich świeciły na bramie,
W salach portrety dziadów w ozłoconéj ramie
Patrzały na mnie; dzisiaj wzrok ojców surowy
Aż tu, do włoskiej willi, ściga za mną — goni.
Bo zamek ojców moich stopiłem na złoto
A z tego złota nosisz przepaskę na skroni.

WIOLETTA.

Luby! zatruwasz serce niewczesną zgryzotą.

KORDYAN.

Droga! gdybym pałace mógł nazad odzyskać
Jedną łzą twoją, nie chcę, abyś łzę wylała.
Luba! tobie przystoi brylantami błyskać.
Tak droga mleczna światów milionem biała.
Chciałbym w téj pięknéj willi przeżyć z tobą wieki,
Wśród laurów, wodospadów, róż, bronzów, zwierciadeł;
A kto wie? jutro może otworzysz powieki,
I spojrzysz w lice nędzy, najsroższéj z widziadeł.
Przekleństwo! jam utracił wszystko!

WIOLETTA.

Mio caro!
Co się to znaczy?

KORDYAN.

U drzwi stoją wierzyciele!
Lecz bogactwo w miłości znikomą jest marą,
Dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę.

WIOLETTA.

Ach brylanty... gdzie klucze?

KORDYAN.

Stój! stój, moje życie!
Wczoraj — aby opóźnić majątku rozbicie,
Z twoimi brylantami siadłem do gry stoła;
Gra mi wszystko pożarła... Lecz serce anioła...

WIOLETTA ze łzami i gniewem.

Ach! ach! ja nieszczęśliwa, zabrał mi klejnoty!

KORDYAN.

Zabijasz mię, kochanko, niewczesnymi łzami,
Serce twoje przekładam nad wszelki dar złoty.

WIOLETTA.

Przegrałeś moje serce razem z klejnotami!
Nędza! nędza mię czeka!...

KORDYAN.

Mnie zaś koń mój czeka.

WIOLETTA.

Jedź z dyabłem!...

KORDYAN.

Droga moja nie nazbyt daleka,
Koń ma złote podkowy, tysiąc czątych warte;
Wygrałem je był wczoraj na ostatnią kartę,
Przed wierzycieli okiem w podkowach uniosę.
Przez noc całą galopem popędzę przez błonia,
Złotymi kopytami srebrną bijąc rosę.
Potem w najbliższém mieście każę rozkuć konia,
I za cztery podkowy uczt wyprawię cztery;
A potem, jako czynią modne bohatery,
W łeb sobie strzelę... Panię na ucztę śmiem prosić.
A jeśli po kochanku chcesz żałobę nosić,

Upewniam, że ci będzie do twarzy z żałobą...
Pani! czy jedziesz ze mną...

WIOLETTA po chwili.

Luby! jadę z tobą.

Wychodzą.

Droga publiczna. Kordyan na koniu, za nim Wioletta przelatują cwałem, koń ślizga się i pada, Kordyan zsadza z konia Wiolettę.

WIOLETTA.

Cóż to?

KORDYAN.

Nic... koń rozkuty upadł.

WIOLETTA.

Koń rozkuty?

KORDYAN.

To nic... Kazałem słabo przybić mu podkowy,
Nie przybić, raczéj związać spróchniałemi druty,
Zgubił je przy wyjeździe...

WIOLETTA z gniewem.

Wężu Adamowy!

KORDYAN.

Ewo moja! Adama zastąpią ci drudzy,
A ja cieszę się z serca, że gdzieś moi słudzy,
Wygnani z willi, z czołem spuszczoném ku ziemi,
Pójdą tą samą drogą, za ślady moimi
I będą zbierać złoto, tam gdzie łzy upadną.

WIOLETTA.

Niech ludzie z pistoletów kule ci wykradną!
Niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie!

Odbiega drogą, Kordyan siada na konia i patrzy na nią z uśmiechem wzgardy.

KORDYAN.

Prawdziwie, ta kobieta kocha mię szalenie,
Poszła, szukając śladów kochanka po drodze.
Daléj, mój koniu! leć, gdzie zechcesz! puszczam wodze.

Odjeżdża.

Sala adamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach, koło niego na złotym trójnogu tiara, a na tiarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordyana, krzyczy głośno.

SZWAJCAR.

Graf Kordyan, Polak!

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich.

Wyciąga nogę — Kordyan przyklęka i całuje.

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz jako anioł z gałązką oliwy
Dla katolickiéj wiary chęci chowa szczere;
Powinniśmy hosanna śpiewać...

PAPUGA cienko i chrapliwie.

Miserere!

KORDYAN.

W darze niosę ci, Ojcze, relikwiją świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrżnięto
Dziatek, starców i niewiast... Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem Eucharistii;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jedną łzę...

PAPUGA.

Lacryma Christi.

PAPIEŻ. Z uśmiechem do papugi machając chustką.

Precz, Luterku! precz, mówię... Cóż, synu Poloniae,
Byłeś że w Piotra gmachu, w cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki,
Dej mi go przysłał Fezki... Jutro z majestatu
Dam wielkie przeżegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...

KORDYAN.

Lecz garści krwawéj ziemi nikt nie błogosławi,
Cóż powiem?

PAPUGA.

De profundis clamavi! clamavi!

PAPIEŻ, zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę.

Precz, szatanku! Z tiary na pastorał rusza,
Przeklęte źwierzę ptasie... o mało nie powiem,
Że w niéj zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków *ergo*, ponieważ, albowiem.
Raz za firanką skryta wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem dataryi bióra.
Rozumiał, że mu doktor jakiś tęgo kuty
Odpowiadał na kwestye — ona trzęsła pióra
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem;
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe;
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: *Pappe satan! pappe satan! aleppe...*
Głupie stworzeńko! Tak to czasem Bóg pozwala,
Że słaby Goliatów rozumu obala.
No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

KORDYAN, rzucając na powietrze garść ziemi.

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanymi usty do kraju powrócę...

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę.
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alelluja!...

Kordyan odchodzi.

Kordyan sam, z założonymi na piersiach rękoma, stoi na najwyższéj igle góry Mont-Blanc.

KORDYAN.

Tu szczyt, lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową

Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową,
Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną
Wyżéj — aż w niebo... nie czułbym, że płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszéj! słuchajmy... o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie daléj.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza by tchnieniem rozbity
Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznajomą uciekną krainę,
I znikną, jakby ich nigdy nie było.
Spróbuję — westchnę i zginę...

Patrzy w dół.

Ha! przypominasz mi się, narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodu wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry,
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniéj wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę,
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam, koło jednéj igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach;
A odemnie błękitna płynie szczelin rzeka,
Każda w jedną otchłań zlata,
I nikną jak w morza wodach.

. . . . . .

Jam jest posąg człowieka — na posągu świata.

. . . . . .

O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną...
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc? w szmaty podrę łono

Nie móc? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż zruszyć lawiny? potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?
Mogęż, jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnéj dłoni zamachem
Rzucać gwiazdy nad światа zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia
Nie napotkały nigdy kruchéj świata gliny
I nie strzaskały w żegludze?
Mogę... więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

Po chwili... z wyrazem zniechęcenia.

Może lepiéj się rzucić w lodowe szczeliny?...

Po chwili... z razu spokojnie, potem z zapałem.

Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorżkie pocałowania kobiety — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Nic, nic, nic, aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę,
W błękicie nieba sfer ciało roztopię tak,
Że jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potem piękny, jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiąc,
Że te na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk narodów uczucia rozszerzy
I natchnie lud;
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud...

. . . . . .

Nie — myśli wielkiéj trzeba z ziemi, lub z błękitu.
Spojrzałem ze skały szczytu,

Duch rycerza powstał z lodów...
Winkelried dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył,
Ludy! Winkelried ożył!
Polska Winkelridem narodów!
Poświęci się, choć padnie jak dawniéj! jak nieraz!
Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy?

Chmura znosi go z igły lodu.

CHMURA.

Siadaj w mgłę — niosęć... Oto Polska... działaj teraz!...

KORDYAN, rzucając się na rodzinną ziemię z wyciągniętymi rękoma woła.

Polacy!!!

*

Akt III.

SCENA I.

Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie, okna dokolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. Wielkie rusztowanie czerwoném suknem nakryte zalega większą część placu — na niém siedzą rzędami przystrojone kobiety... Najbliżéj widza kolumna Zygmunta, na podstawie lud zasiadł.. Ludzie różnego stanu stoją dokoła i patrząc na zamek, rozmawiają.

PIERWSZY Z LUDU.

No! patrzaj, panie kumie, co przed zamkiem stoi...
To car nasz miłościwy kazał stawić w nocy
To wielkie rusztowanie... jeśli naród zbroi,
To będą ścinać głowy...

DRUGI Z LUDU.

Waść rzucasz jak z procy
Niepomyślane baje... na to rusztowanie
Wchodzą wielmożni nasi i wielmożne panie,
Co na koronacyą chcą patrzeć z wysoka...

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Kwiatem dam się pokrywa estrada szeroka.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Estrada! jakie słowo — ja przyswoić wolę
Wyraz wschodowidownia.

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Zgoda, mój purysto.
Lecz patrzaj, pióra, kwiaty, tiule, parasole,
To istna łąka... Chciałbym zostać ziemną glistą
I pełzać po tych kwiatach.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Wolisz zostać carem
I chodzić po tych głowach.

SZEWC.

Uf! jak duszno! tłumnie!
Siła miejsca ubyło z grubym piwowarem,
Odkąd się przy Zygmunta zatoczył kolumnie.

SZLACHCIC.

Toć ten sam, który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
Za jakieś przewinienie, z woli księcia pana,
Tak wychudł biedak wówczas i tak się wygłodził,
Że, jak mówią, aż własne obaczył kolana,
I łzami się rozpłakał.

SZEWC.

Któż mu tu przyjść radził?
Wstyd mu biją te kotły i wstydem gra trąba,
Chyba żywot kulami i siarką nasadził,
I chce się u nóg cara rozprysnąć jak bomba?

SZLACHCIC.

Ten szewc pojął honoru i zemsty prawidła.
Prawidła... Mój kalambur upadł — o lud głupi!
Nie podjął kalamburu! o! zgrajo przebrzydła,
Kto twoje berło kupi, kij pastucha kupi...

SZEWC.

Cha! cha! cha! jak się szlachcic czerwony indyczy!...

PIERWSZY Z LUDU.

Cicho! słuchajcie — oto pierwszy szereg krzyczy,
Cesarz przechodzi — krzyczmy.

KILKU Z LUDU.

Niech żyje! niech żyje!

PIERWSZY Z LUDU.

Nic nie widać... Chorągiew z wiatrami się bije
I posuwa się zwolna...

DRUGI Z LUDU.

Idzie jakiś starzec,
Siwy cały — och! siwy, jak srebrzysty marzec,
Niesie złotą poduszkę, na niéj szabla leży...

ŻOŁNIERZ.

Oj dobrze cesarzowi, że polskie szablice
Śpią sobie na poduszkach...

PIERWSZY Z LUDU.

Wielki książę bieży,
I nakazał gardłowéj przegrywać muzyce.

Słychać śpiew na nutę: „God save the king".

ŻOŁNIERZ.

Ha! ha! dmą sobie ludzie w gardła jak w oboje.

PIERWSZY Z LUDU.

Sypnęły się zielone szambelanów roje,
Pożółciałe haftami, niby pszczoły z ula...
Ha! idzie...

KILKU.

Kto?

PIERWSZY Z LUDU.

Król.

ŻOŁNIERZ, śpiewa.

Boże! pochowaj nam króla!

SZEWC.

Nie w takt śpiewasz i nie w sens...

ŻOŁNIERZ.

Ha! nie moja wina,
Pod Maciejowicami ogłuchłem od kuli,
I przyznam się, że nie znam, jak w maryaszu króli,
Gdy się z nimi kozyrna połączy dziewczyna,
To sobie ze czterdziestu choć na dyszlu walę...

SZEWC.

Ciszéj no! waść o królach gadasz tak zuchwale,
Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić?
Wierz mi waść — co masz gadać, to wolałbyś broić,
A kiedy nie masz dratwy. to dziur nie kol szydłem...

KILKU.

Cha! cha! cha!

PIERWSZY Z LUDU.

To go wstrzymał skórzaném wędzidłem.

GARBATY ELEGANT.

Pozwólcie też, panowie, spojrzeć człowiekowi...

KILKU.

Garbuś! garbuś ustąpcie miejsca garbusiowi...
Wsadzić go na ramiona...

SZEWC.

Zgodziłby się mały!
Wszak o nim historya świat obiegła cały.
Wracając nocą, nie mógł rynsztoka przeskoczyć,
Sajetowego sukna nie chciało się zmoczyć;
Czeka... Aż tu przechodzi drogą pozytywek,
Więc w prośby, by go ludzie zanieśli do domu;
Zgodzili się, na skrzyni konno usiadł krzywek;
Gdy go tam przywiązali, jak garść suchą łomu,
Nuż korbą kręcić, różne muzyki wygrywać
I do szynków zachodzić... musiał biedak śpiewać,
A nie śpiewać, to ludziom grać jak z dobréj woli...

KILKU.

Cha! cha! cha!

ŻOŁNIERZ.

Ze starego śmiejcie się żołnierza,
Lecz wara z ułomnego przedrwiwać niedoli.
Gdzie on...

PIERWSZY Z LUDU.

At, w inną stronę poszła sobie wieża...

DRUGI Z LUDU.

Car przeszedł, a my wszyscy patrzali jak głupce
Na garb i nie widzieli cara...

PIERWSZY Z LUDU.

Wielka szkoda!
Idźmy lepiéj po bruku wybijać hołupce,
Mówią, że z beczek wino leje się jak woda.

Lud się rozchodzi.

SCENA II.

Wnętrze kościoła katedralnego, ołtarz wielki rzęsiście oświecony Prymas z bogato przybraną asystencyą odprawia mszę. Muzyka... Cesarz stoi pod szkarłatnym baldakimem, na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jenerałowie moskiewscy... Prymas lud żegna i przystępując do cesarza, podaje mu koronę, cesarz kładzie ją na głowę — kanclerz podaje na węzgłowiu miecz państwa, cesarz mieczem robi znak krzyża na cztery strony świata. Prymas podaje księgę konstytucyjną.

CESARZ, kładąc rękę na księdze.

Przysięgam!...

Znów cisza głęboka... Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm „Te Deum".

SCENA III.

Plac przed zamkiem i lud jak w scenie pierwszéj, muzyka gra pieśń: „God save, Boże zachowaj króla nam".

PIERWSZY Z LUDU.

Car się ukoronował, wychodzi z kościoła,
Przysiągł konstytucyą święcić jak pacierze.

DRUGI Z LUDU.

Wróciwszy, pewnie w zamku zasiądzie do stoła?
Choć królem, to jeść musi jak i każde źwierzę.

SZLACHCIC.

A wiecież, co jeść będzie?

DRUGI Z LUDU.

A proszę waszmości,
Toć zapewne nie będzie ogryzał tam kości,
Toż królowi na pokarm dostateczny stawa.

SZLACHCIC.

Będzie zjadał bażanty, a na wety prawa.

SZEWC.

Waćpan musisz zagadki siać do Kuryera.
Co to za krzyk?

PIERWSZY Z LUDU.

Zapewne żandarm tłum przeciera,

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

O! nie, to się sam książę wdał z babami w boje.

GŁOS KOBIECY w dali.

Dziecię moje! o, dziecię! dziecię! dziecię moje!

PIERWSZY Z LUDU, do stojącego na kolumnie.

Cóż to za krzyk, waszmości czoło aż pobladło.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Książę uderzył starą kobietę z dziecięciem,
Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.
Zbiegł się tłum... teraz cały ucieka przed księciem,
I tylko widać starą nad dzieckiem kobietę,
Ciałem dziecię zakrywa... To odwaga rzadka!

GŁOS DALEKI.

Dziecko zabite!

GŁOS BLIŻSZY.

Dziecko zabite!

STOJĄCY NA KOLUMNIE, do dalszych.

Zabite...

LUD.

A matka?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Kto wie, czy to matka?

LUD.

O! to matka,
Inna by już uciekła; co się tam z nią stało?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Czekajcie! Dwóch żandarmów niebogę porwało,
Zamietli przed cesarzem krwią polane bruki...

Lud częścią się rozchodzi ponury... Orszak koronacyjny powraca do zamku... Lud przerzedzony milczy — muzyka gra — ściemnia się. — Lud rzuca się na sukno pokrywające estradę.

LUD.

To dla nas sukno! dla nas! rozerwać je w sztuki...

Ściemnia się coraz bardziéj. — Ludzie rozerwali sukno, i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek, czarnym płaszczem okryty, mięsza się między nich i śpiewa.

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie, że to cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.
Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę mienił w wino,
Gdy weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie...

Głośniéj.

A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino mienił w krew...
Jutro błyśnie jutrznia wiary,
Pijcie wino, idźcie spać!
My weźmiemy win puhary,
By je w szklanny sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię
W piersi wbije i załamie...
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!...

Pieśń ustaje, nieznajomy odchodzi.

PIERWSZY Z LUDU.

Kto to śpiewał?

DRUGI Z LUDU.

Śpiew huczał we mnie i podemną...

TRZECI Z LUDU.

Idźmy do domu... jest coś strasznego... tak ciemno...

SCENA IV.

Loch podziemny w kościele św. Jana, w koło trumny królów polskich, w głębi mały ołtarz. — Przed ołtarzem stół okrągły, jedna lampa i krzesło — Prezes spisku sam jeden siedzi za stołem, w czarnéj masce i z siwymi jak śnieg włosami. — Widać wschody prowadzące na górę do korytarzów kościelnych, na wschodach szyldwach widny do połowy.

PREZES, sam.

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem,
Działali... w dziejach jak na jasném niebie
Nigdzie czerwone nie padały plamy.
Gdybyście króle z trumien dziś powstali,
Ludzie by rzekli: O znamy was! znamy!
Starzec nam o was mówił, żeście biali
Jako Anieli... Tak nam starzec prawił.
Jażbym tron nieskalany Polaków zakrwawił?
Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalonéj młodzieży sztyletami władam,
Mam sto rąk, sto sztyletów... gdy chcę, sto ran zadam;
Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumienie
Ma bystre oczy, widzę, że światło zagasło.
Lepiéj przy Waszingtonie było umrzeć...

SZYLDWACH.

Hasło?...

GŁOS.

Winkelrid.

SZYLDWACH.

Tędy!

Schodzi do lochu zamaskowany w ubiorze księdza.

KSIĄDZ.

Prezes wszystkich nas ubiegłeś.

PREZES.

Nie dziw się, że mię w grobach pierwszego spostrzegłeś,
Starość mię prowadziła.

KSIĄDZ.

Powiedz mi, prezesie,
Jak się to skończy?

PREZES.

Nie wiem.

KSIĄDZ.

Burza nie rozniesie
Sztyletów tak jak liści... Byle się udało!

PREZES.

Pomnij, że nosisz szatę Zbawiciela białą.
Splamisz ją.

KSIĄDZ.

Głos twój drżący...

PREZES.

Zimno mi i ciemno...

KSIĄDZ.

A mnie krew pali...

PREZES.

Boże! zmiłuj się nademną!
Księże, powiedz mi wiele lat masz?...

KSIĄDZ.

Pięćdziesiąty!

PREZES.

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty
I biłem się za wolność!...

KSIĄDZ.

Cóż stąd?

PREZES

Nic... wspomnienie.

KSIĄDZ.

Zachwiałeś duszą moją — zbudziłeś sumienie,
Cóż rozkażesz? co robić?

PREZES z zapałem.

Wstrzymać ich, na Boga!
Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi proga,
Niech spisek z czarną twarzą na świat nie wychodzi,
Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
Bo mogę wezwać prochy królów za obrońce.
Jam niegdyś z piersi moich lał poety pienia,
Dziśbym je chętnie wydarł z kart wiekowéj sławy
I spaliłbym je w ogniu, gdyby z ich płomienia
Myśl wydobyć głośniejszą nad młodzieńcze wrzawy,
Myśl łamiącą sztylety.

KSIĄDZ.

Źle począłeś sobie,
Oni tu miecze jasne wyostrzą na grobie.

PREZES.

Na grobie królów naszych? O hańbo! o wstydzie!
Ostrzyć miecz królobójczy? sztylety?

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy droga.

Schodzi zamaskowany podchorąży.

PREZES, do księdza cicho.

Wesprzyj mię, biskupie.

KSIĄDZ.

Poznany jestem... maski zdradzają nas trupie.

PODCHORĄŻY.

Ile się w trumnach królów robactwa wypasło?
Chciałbym podnieść te wieka, zajrzeć w prochy...

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelrid.

Schodzi zamaskowany pierwszy z ludu.

PIERWSZY Z LUDU.

Ha, prezesa głowa, chociaż stara,
Dobre obrała miejsce... Bo kościół otwarty
Na czterdziesto-godzinne pacierze za cara.
A przy bramie kościelnéj stoją szpiegów warty
I spisują pochwały dla człeka, co wchodzi
Pomodlić się za cara. Więc to nic nie szkodzi,
Można jedném krzesiwem dwie hubki zapalić,
Będzie nas i kraj kochać, i szpieg cara chwalić.

SZYLDWACH.

Kto idzie? ludzie, kto wy? hasło!

GŁOSY.

Winkelridy.

Schodzi wielu maskowych różnego stanu.

PIERWSZY Z LUDU.

Co to znaczy Winkelrid?

DRUGI Z LUDU.

Jakieś słowo czarów.

PODCHORĄŻY.

Był to niegdyś dowódzca u wolnych Szwajcarów.
Śród walki w obie dłonie zgarnął wrogów dzidy
I wbił we własne serce i drogę rozgrodził.

PIERWSZY Z LUDU.

Toby się dziś ów rycerz dobrze z nami zgodził!

PREZES.

Cicho! módlcie się raczéj! miejsce nie do gwarów;
Zeszliśmy się w grobowce składać sąd na carów,
Patrzcie więc w serca wasze! patrzcie w serca wasze!
Aby je wiecznéj ludów nie przedać ohydzie.

Niech nas Bóg wieńcem prawdy gwiaździstéj opasze,
Niech anioł cichy zejdzie pośród nas...

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelrid.

Tu słychać ciągle głos szyldwacha i odpowiadanie spiskowych. — Ludzie różnego ubioru zamaskowani schodzą po szczeblach i siadają w milczeniu na ławach. — Głosy szyldwacha coraz rzadsze, ustają zupełnie — cisza głęboka. — Zegar na wieży kościelnéj bije zwolna godzinę dziesiątą.

PREZES.

Bracia! w imię Boga sąd otwarty.

Chwila milczenia.

PIERWSZY Z LUDU.

W imię Boga sztyletem piszę zemsty słowo...

DRUGI Z SPISKOWYCH.

W imię Boga, ja drugi.

INNY.

Ja trzeci.

INNY.

Ja czwarty...

PREZES.

Ludzie, stoję przed wami z osiwiałą głową
I powiadam: czekajcie! Moje oczy stare
Widziały wielkich mężów, i mówię wam święcie,
Żeście wy niepodobni do nich! Jeśli wiarę
Boga chowacie w sercu? na Boga zaklęcie
Wzywam was, ludzie, stójcie! i sztylety wasze
Zamieńcie na święcone w kościołach pałasze;
A kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony
Tak, że odgłosem królów zachwieją się trony
Jak drzewa podrąbane.

PODCHORĄŻY.

W przeszłość patrzę ciemną
I widzę cień kobiety w żałobie — kto ona?

Patrzę w przyszłość — i widzę tysiąc gwiazd przedemną,
A cień przeszłości ku nim wyciąga ramiona;
Te gwiazdy, to sztylety... Kraj nasz dawny widzę.
Mądrość rządzców na starém zaszczepiła drzewie
Kraj młody, oba kwitły na jednéj łodydze,
Jako dwie róże barwą różne w jedném krzewie.
Jak dwaj równi rycerze w jednakowéj zbroi
Chodzili pierś przy piersi z wrogiem staczać bitwy,
Jako dwie w łonie Boga tonące modlitwy
Jedną natchnięte myślą — jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jednych ulów ściany...
Onego czasu! wielkie południa Tytany
Powstali przeciw Bogu — królom — i niewoli.
Bóg uśmiechnął się tylko na tronie szafirów,
Lecz króle padły nakształt zrąbanéj topoli;
Gilotyna okryta łachmanami kirów,
Niezmordowana, ręką wahała stalową,
A ilekroć skinęła, tłum umniejszał głową.
I widzieli ją króle, bo ta gilotyna
Była tragedyą ludu, a króle widzami.
Więc zemsta! Nierządnica i Car Katarzyna,
Zabijające oko trzymała nad nami;
Osądziła nas wartych męczeńskiego wieńca,
Wymyśliła męczeństwo... Wziąwszy czaszkę spadłą
Z Burbońskiego tułowu — krwawą i pobładłą,
Wsadziła ją na tułów swego oblubieńca,
I dała nam za króla — króla z trupią głową.
Potem z pod niego kradła dziedzinę grobową.
A on ręką nie ruszył... I nie stało kiru
Na szatę matki naszéj, więc w troje pocięto.
A dziś — zapytaj mewy lecącéj z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto?
Ilu przedzierżgniono w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupem powiązano,
Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł carowi,
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa. Mściciele! spiskowi!
Gdy car wkładał koronę u stopni ołtarza,
Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić,
I pogrzebać w kościele i kościół wykadzić

Jak od dżumy tureckiéj, i drzwi zamurować,
I rzec: o Boże! racz się nad grzesznym zmiłować!
To wszystko — i nic więcéj... Teraz car za stołem.
Satrapy nasze korni pokładli się czołem;
Win tryskają brylanty z kielichów tysiąca,
I palą się pochodnie, a muzyka grzmiąca
Gipsy ze ścian oprósza. Kobiety dokoła
Rozkwitłe, świeże, wonne jak Saronu róże,
Na rosyjskich ramionach opierają czoła

Silnie.

Idźmy tam! i wypalmy ogniami na murze
Wyrok zemsty, zniszczenia, wyrok Baltazara.
Carowi niedopita z rąk wyleci czara,
Błękitnym blaskiem mieczów napisane słowa
Wytłómaczy śmierć mędrsza niż głos Daniela.
A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwéj nocy oddycha i żyje.
Żyje! czy temu słowu zajrzeliście w duszę?
Nie wiem... w tém jedném słowie jakieś serce bije,
Rozbieram je na dźwięki, na litery kruszę,
I w każdym dźwięku słyszę głos cały ogromny!
Dzień naszéj zemsty będzie wielki — wiekopomny!
A dzień pierwszy wolności, gdy radość roznieci,
Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą,
A potem długą ciemność niewoli przemierzą,
Siądą... i z wielkiém łkaniem zapłaczą jak dzieci,
I słychać będzie płacz ogromny zmartwychwstania.

Słychać szmer zapału.

PREZES

Piekielna myśl złoconym obrazom przygania,
Nie śmiałbyś zgłębić myśli sumienia oczyma,
Ciebie młodzieńczy zapał nad przepaścią trzyma.
Patrz! car zabity — we krwi — zabita rodzina —
Bo to następstwo zbrodni... lecz nas Bóg ukarze!

PODCHORĄŻY.

Z Cezara karła weźmy zemstę Rzymianina.

PREZES.

A gdy jaki Antoniusz Europie pokaże
Płaszcz skrwawiony Cezara?... i do zemsty zbudzi?
A kiedy się na Polskę wszystkie ludy zwalą,
Wielu przeciw postawisz wojska? wielu ludzi?
Czém zbrojnych? czy sztyletu zakrwawioną stalą?

KSIĄDZ.

Cóż powie głos z mownicy, gdy ciało mocarza,
Który swém berłem trony Europy podważa,
Wśród kadzidł, świc jarzących, na katafalk wniosą?
O ludy! ludy! płaczcie łez rzęsistą rosą,
I za ziemię Lechitów w prochy bijcie czołem,
I posypujcie czoła prochem i popiołem,
Bo ta ziemia Jaheli uzbrojona ćwiekiem,
Niegodnie...

PODCHORĄŻY.

Strój cię świętym wydaje człowiekiem.
Miałeś na cara pogrzeb mowę napisaną.
Wiatr jakiś chorągiewkę okręcił blaszaną,
Obosieczne kazanie przeciw nam obrócił.
Miało być tak w kazaniu... Naród więzy zrzucił,
Więc przed ziemią Lechitów, ludy, bijcie czołem,
A króle niechaj głowy posypią popiołem,
I wyją na ulicach.

SPISKOWI.

Cha! cha! cha!

PREZES.

Przeklęty!
Kto śmiechem groby królów znieważa.

KSIĄDZ.

Wyklęty!

PIERWSZY Z LUDU.

Zwołali nas, ażeby naśmiać się do woli,
Obłąkać i przeklinać.

KSIĄDZ.

Sam Bóg nie pozwoli,
Aby zbrodnia w kościelnym rozwinięta domu

Miała ogień błyskawic ze skrzydłami gromu.
Bóg, co zabójców rzuca w piekielne ogniska...

STARZEC Z LUDU.

Wiele potrzeba zabójstw, nim się kraj odzyska?

GŁOS Z TŁUMU.

Car...

STARZEC.

To jedno.

GŁOS.

Carowa żona.

STARZEC.

Drugie.

GŁOS

I dwóch braci.

STARZEC.

Cztery. Licz daléj, bracie, bo się liczba straci.

GŁOS.

Syn cara.

STARZEC.

Piąte.

GŁOS.

I już wszyscy.

STARZEC.

Zabijajcie!
A krew niech na mnie spada...

PREZES.

Masz włos biały, starcze!

STARZEC.

Do ciebie nic nie mówię... spiskowi, słuchajcie!
Jeśli krwi ciężarowi jeden nie wystarczę,
Syny moje i córki za was się poświęcą.
Krew dziecka i kobiety sam wezmę — książęcą
Syny wezmą; dwóm córkom nieszczęsnym na głowy —
Na dwie — bo słabe, rzucę lekką krew cesarza.
A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem obok jakiego mocarza,
Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi;

I powiem: Boże! Boże, patrz, otośmy krwawi!
Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskiem padole;
A teraz się na twoję opuszczamy wolę.

PODCHORĄŻY.

O! błogosław mi, starcze!

KSIĄDZ.

On Bogu ubliża.
Sprawiedliwości boskiéj...

PODCHORĄŻY.

Milcz, księże! milcz, księże!
Myśli w niebo lecącéj twój wzrok nie dosięże.
Więc oto jest ogromna poświęceń nauka!
Mnie samego ten starzec nową natchnął wiarą.
Chyba was po tych słowach sam szatan oszuka,
Chybam ja Boga jakąś obciążony karą,
Jeśli wyrazy sieję jak kwiat bezowocny.
Wierzcie mi! wierzcie, ludzie! jam jest wielki, mocny.
Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczém,
Robak smutku mię gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać i usiąść i zalać się łzami;
Lecz ten smutek, to żałość dziecinna, po niczém,
Może po kraju... Ludzie, wierzyć powinniście
Człowiekowi, co cierpi... nie siadać pod drzewem,
Któremu wiek spróchniałe poobrywał liście.

Z rozpaczą.

O gdyby lutni! jabym was poruszył śpiewem;
Gdyby historyi księga! przeczytałbym kartę,
O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa,
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte,
Rzucające mścicieli... Mnie zapał rozrywa,
Zdaje mi się, że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje.
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden... A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,

Ja się w chwili ofiarnéj jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spaloném,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłacą tylko zapomnieniem.
Nic! nic po mnie! lecz imię ON, i tém imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć,
Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu, co zrywa korony.
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony;
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi się w ręce, zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego... Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce,
Póki długiéj wolności nie zaszczepię wieki,
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża.
Lękajcie się? więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus obcięte powieki,
Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący
Nie zgubi was... Przysięgam na ojcowskie cienie!
I na mękę Chrystusa! Przysięgam, że wiara
Mówi wam: wy jesteście krainy sumienie,
Zburzcie się — i z dusz waszych odrzućcie grzech cara.
I przysięgam wam jeszcze! że przysiągłem szczerze!
Jak chcę zbawienia duszy mojéj! jak w nią wierzę!
Tak dajcie mi się w ręce...

PREZES.

O! głos mi zastyga,
Nie mogę mówić...

Siada i płaszczem twarz zakrywa.

PODCHORĄŻY.

Starcze! zapał cię prześciga?
Oto pierwsze zwycięstwo... pokonam! lub zginę!
Ha! carze, ty nam polską ukradłeś krainę?
Za to śmierć! bo wiedziałeś kradnąc, żeś wart śmierci!

Ha! carze, tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci,
Potem kawały spadłe z gilotyny ścienic
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardą królewscy zbrodniarze;
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O! carze
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapozywam...

Słychać szmer w tłumie... podnoszą sztylety... wstają z ław.

PREZES, zrzuca płaszcz z głowy — wstaje i robi znak umywania rąk, potem mówi zwolna i poważnie.

Róbcie, jak chcecie. Lecz ja ręce z krwi umywam.

PODCHORĄŻY, po spiskowych.

A wy?...

Milczenie długie.

SZYLDWACH przy wejściu.

Kto idzie? hasło?

Milczenie.

SPISKOWI.

Zginęliśmy! zdrada!

PODCHORĄŻY.

Ciszéj...

Słychać odgłos padającego człowieka.

SZYLDWACH.

Nie wiedział hasła.

PIERWSZY SPISKOWY.

Trup po schodach spada.

PODCHORĄŻY.

Nie drżyj, prezesie! wszakże z krwi umyłeś dłonie?

Zbliża się z lampą do trupa.

Dajcie mi lampę... sztylet w zabitego łonie...
Na piersiach jakiś papier pomięty, rozdarty.
Tak... jest to zdanie sprawy ze szpiegowskiéj warty.
To szpieg. Więc go zakopać tam — w kącie ciemnicy.

Dwóch ze spiskowych unoszą w kąt trupa, zapalają dwie latarnie i grób kopią

PREZES.

Rozchodźmy się ze schadzki, drugiéj nie naznaczam.

PODCHORĄŻY.

Starcze, umiesz korzystać z losu błyskawicy!
Z marnego przerażenia! Lecz ja nie rozpaczam,
Każdy z osobna cara osądzi zbrodniarza,
Rozłam myśli na głosów pojedyńcze wota,
A obaczymy, zapał, trwogali przeważa?

PREZES.

Niech tak będzie, przeważy staropolska cnota.
Czémże będziem głosować?

KSIĄDZ.

Radzi sługa boży,
Kto jest za śmiercią cara, rzuci na stół kulę,
Kto za uniewinnieniem, niechaj grosz położy.
Ten grosz znajdzie się zawsze w ubogich szkatule.

Rzuca pieniądz — za nim prezes pieniądz kładzie, potem spiskowi kolejno rzucają z brzękiem kule lub pieniądze.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Za prezesa przykładem niechaj grosz utracę.

INNY.

Nie mam grosza przy duszy, a więc kulę kładę,
Niech żyje wolność.

INNY

A ja grosza nie zapłacę
Za cara życie.

INNY.

Może kupujemy zdradę.
Niech z grosiwa nasz prezes zda sprawę, czas przyjdzie.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, do ludzi kopiących grób.

Wy, co tam grób kopiecie, chodźcie, rzecz tu idzie
O to, czy grosz czy kulę rzucić?

KOPIĄCY GRÓB.

Wiemy! wiemy!

My dla głuchego człeka mogiłę kopiemy,
Lecz sami z łaski Boga nie głuszce.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Grosz dali;
Widać, że się w grabarzy nie chcą pisać cechu,
Lękają się, by carom grobu nie kopali.
Obaczemyż, z którego wiatr powieje miechu
I pogra na organach?

Wszyscy koleją przeszli... Prezes liczy.

PREZES.

Świećcie mi pochodnią.
Dzięki ci, Boże, tylko pięć głosów za zbrodnią.

PODCHORĄŻY.

Więc car zginie.

PREZES.

Młodzieńcze, pięć kul tylko padło.
Stu pięćdziesięciu przeciw zbrodni głosowało.

PODCHORĄŻY.

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło!
Na jedną kartę przyszłość postawiłem całą,
I nic. Olbrzymy spadli ze szczudeł — to karły!
Ludzie, wartoby przejrzeć wszystkich trumien wieka,
Czy w każdéj leży człowiek przed wiekiem umarły?
Czy z któréj trumny nie wstał ten szkielet człowieka.

Do prezesa.

Starcze, gdy w twoje myśli zaglądam zgrzybiałe,
Widzę, żeś się ty w inne urodził stulecie,
Po co ta maska? ciebie nikt nie zna na świecie.

PREZES.

Wszak maski nie włożyłem na me włosy białe.

PODCHORĄŻY.

Wiecznie śpiewasz to samo! hymn starości piejesz;
Jako bakałarz szkolny w duszę dzieci siejesz
Naukę, aby wstali przed zbielałym włosem.

Pamiętaj, że są ludzie tknięci nieszczęść ciosem,
Ludzie z bijącém sercem i z duszą płomienną,
Których włosy zbielały w jedną noc bezsenną;
Więc ich uszanuj, wstań przed nimi, stare dziécię.

Do spiskowych.

A wam wszystkim śmiem długie przepowiedzieć życie,
Boście umieli wybrać gwiazdę-przewodnika;
Idźcie za srebrną głową w noc niewoli czarną,
We mnie wszystka nadzieja upada i znika;
Boście z tłumu wysiani jak największe ziarno,
A tak mali jesteście... idźcie! gardzę wami!
Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje?
Więc na znak wzgardy ludziom okrytym maskami
Rzucam pod nogi życie moje — i daruję.

Zrywa maskę z twarzy.

SPISKOWI.

To Kordyan! Kordyan! Kordyan! nie znasz nas, Kordyanie,
Niema tu zdrajcy! niema! patrzaj w nasze twarze.

Wszyscy demaskują się. Kordyan rzuca wzrok dokoła, zamyśla się — i potem wznosząc głowę, mówi zwolna.

KORDYAN.

Pośród szlachetnych Kordyan zwycięzcą zostanie.
Wy oblicza, on myśli i serce pokaże.
Kordyan ma wartę w zamku téj nocy... słyszycie?
Kordyan ma wartę w zamku w nocy.

Zbliża się do stoła, na kawałku papieru pisze słów kilka i rzuca je spiskowym.

PIERWSZY SPISKOWY czyta.

Narodowi
Zapisuję, co mogę... Krew moją i życie
I tron do rozrządzenia próżny.

KORDYAN, opiera się o ołtarz i patrzy z obłąkaniem na milczących spiskowych, potem macha ręką i mówi.

Precz, spiskowi!

Rozchodzą się wszyscy w milczeniu... Kordyan stoi oparty o ołtarz, pogrążony w myślach.. Dwaj grabarze zakopali ciało i zostawiwszy na mogile palące się latarnie, odchodzą. Prezes sądu sam zostaje i klęka u stopni ołtarza za stojącym Kordyanem.

PREZES.

Kordyanie!

KORDYAN, obraca się i mówi z obłąkaniem coraz wzrastającém.

Któż mię budzi? czy godzina biła?
Przychodzę do pamięci... latarnie — mogiła...
Jesteś jednym z grabarzy i żądasz zapłaty?
Ha! oto masz z Najświętszą Panną dwa dukaty,
Które mi dała matka, błogosławiąc syna.
Musisz mieć dzieci?... słuchaj! niech twoja rodzina
Westchnie za mną do Boga.

PREZES.

Och! ja nie mam dzieci!

KORDYAN.

Nie masz? a włos twój biały jako srebro świeci;
Tyś nic za twoje życie nie odpłacił Bogu.

PREZES.

Kordyanie! oto klęczę na ołtarza progu,
Lecz nie przed Bogiem, klęczę, Kordyanie, przed tobą.
Jam cię na śmierć poświęcił, teraz walczę z sobą,
Z sumieniem, jam sąd zmroził sumieniem...

KORDYAN.

Ha! stary!
Kładziesz zbrodnię na zbrodnię, klękłeś przed zbrodniarzem.
Chodź ze mną — zajrzym w księgi i światu wykażem,
Że Polska cała żadnéj niegodna ofiary,
Że ja będę zbrodniarzem...

PREZES.

Na Boga! Kordyanie!
Ty masz gorączkę, w oczach dziwne obłąkanie.

KORDYAN.

To nic, starcze... To włos mi siwieje i boli,
Włos każdy cierpi, czuję zgon każdego włosa;
To nic... Na grobie wsadzisz dwie rószczki topoli
I różę... Potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. Masz pióro przy sobie?

Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie,
Ona — jak w grobie. Więc nikt po mnie, wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym.

PREZES.

Kordyanie! oto pismo, któreś dał spiskowym,
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDYAN.

Raz, dwa, trzy, broń na ramię, warta pałacowa...
Czujność... Głupie wyrazy, stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą.
Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę,
Pluń mi na siwe włosy.

Zegar na wieży bije jedenastą.

To z nieba wołanie.

Wybiega. — Prezes za nim wyciąga ręce.

PREZES.

Kordyanie, stój! na Boga zaklinam... Kordyanie!

Wychodzi za nim.

SCENA V.

Sala tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświecona lampą — w koło kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami — widać przez drzwi otwarte na przestrzał ciąg długi ciemnych pokojów, w końcu błyska słabe światło sypialnéj komnaty cara. — Kordyan oparty na bagnecie karabinu. — Różne widma.

KORDYAN, idąc naprzód z karabinem

Puszczajcie mię! puszczajcie! jam carów morderca;
Idę zabijać... ktoś mię za włos trzyma.

IMAGINACYA.

Słuchaj! ja mówię oczyma.

STRACH.

Słuchaj! mówię biciem serca.

KORDYAN.

Nikogo nie ma,
Ktoś gada...

IMAGINACYA.

Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.

KORDYAN.

Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze.
To arabeski, ścienne malowidła.

STRACH.

Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza... przebrzydła...
Każdy wąż złota ogniem nalany
Pierścieniami rowija się z muru.
Kolumny potrząsają wężów zwitych grzywę;
Sfinxy straszliwe
Spełzły z marmuru;
Sfinxy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie... patrzaj... wiją się i błyszczą.

IMAGINACYA.

Jako motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jéj lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniéj.
U téj szata gwiazdami ozdobna,
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty...
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty
I twarz anioła.

STRACH.

Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.

IMAGINACYA.

Czy czujesz woń jéj warkoczy?

STRACH.

Rozgniotłeś węża pod sobą,
Pękła żmija.

KORDYAN.

Jezus Marya!!!

Przeciera oczy.

Sen zniknął... Naprzód! naprzód z bagnetem w pierś cara!

Wchodzi do następującéj sali, zupełnie ciemnéj. — Na lewo drzwi otwarte do gabinetu konferencyjnego. — Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja, zupełnie księżycem oświecony. — W środku stoi trójnóg sztucznie ze złota urobiony, a na nim leży carska korona.

OBIE WŁADZE.

Stój!...

KORDYAN.

Puśćcie! boska cięży na mnie kara!

OBIE WŁADZE.

Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jak gdyby wicher wleciał w komnat szyje.
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachy pałacu... grzmi... a księżyc świeci!

KORDYAN, patrząc do gabinetu konferencyjnego.

Ta komnata srebrnego nalała się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu,
Jest to korona carów dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu...
Idźmy! nie mogę oczu odpiąć od korony.

IMAGINACYA.

Patrz dłużéj — krew z niéj kapie, a pod nią schylony
Człowiek czarny jak smoła
Zajęty pracą...

STRACH.

Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek...
Skąd on? i na co?

KORDYAN.

Skąd? i na co ten człowiek?

WIDMO.

Koronę nosił Car,
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niéj jak z czar;
Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią Carów zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!...

KORDYAN.

Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa.

Po chwili

Jeszcze jedną komnatę przejść trzeba.

Wchodzi do sali tronowéj.

Ciemno — i czarne okna; żadnéj gwiazdy z nieba;
Tam wiedzie — droga nakształt ognistego słupa.
Lampa strzeże cesarza, oświeca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moją w kręgi ogniste...
Płynę zawrotem głowy... któż doda podniety?

IMAGINACYA.

Twój bagnet łysnął... płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły...
Jak rybki, gdy w krysztale kruszynę spostrzegły...
Zleciały się i stal szczypią
I palą.
W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj, aż się ul cały płomyków wyroi.

STRACH.

Nie patrz tylko za siebie, bo tam u podwoi...

Kordyan obraca się.

IMAGINACYA.

Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną
Zimą i wiosną.
Patrz! liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz cesarz rwie nasiona, by drzewa oniemić...
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą
W grubiejący pień się wlewa.

KORDYAN.

Widzą! i słyszą! drzewa...

STRACH.

Nie zaglądaj przez okna na ciemną ulicę!

Kordyan patrzy przez okno.

IMAGINACYA.

Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi,
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów... jeden, drugi,
Setny, nie przeliczysz więcéj...
Tysiąc tysięcy...
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów — każdy niesie trumnę;
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien...
Trumny się kruszą,
Lecz tyle trumien!
Wejść muszą.

KORDYAN.

Gdzie idą?

IMAGINACYA.

Tu.

KORDYAN.

Czy cara trumnami uduszą?

IMAGINACYA.

Ciszéj! patrz, jakieś straszydło.
Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnéj komnaty.
Nie słychać kroku jego, choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.

STRACH.

Czuć krew! wyszedł z tamtéj komnaty...
Tam śpi Cesarz w łożu białém,
Ten człowiek stamtąd wyszedł.

IMAGINACYA.

Widziałeś?

KORDYAN.

Widziałem!

STRACH.

Co on tam robił?

KORDYAN.

Co on tam robił?...

DYABEŁ.

Zdławiłem cara — i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny.

IMAGINACYA.

Słyszysz dzwonów jęk żałobny...
Po całém mieście i na wszystkie strony?

KORDYAN z przerażeniem.

Słyszę — dzwony —

IMAGINACYA.

Błysk w szybach sali...
Po trumnach wszedł trup, i stoi cichy w oknie,
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdém włóknie
Jak nić biała...
Gdzie oczu blask, tam świeci kość spróchniała.
To trupów kat... wykona, co uchwalą...
Patrz, w okno bije... rozbija..

KORDYAN.

Jezus! Marya!

IMAGINACYA.

Zniknął... trumny się walą
Jak grom.

STRACH.

Wracaj, tu czarta dom...

KORDYAN.

Pójdę mimo dyabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził.
Tłum jakiś drogę zagrodził,
Przejść nie można... jak przez kłosy
Trzeba deptać... nie roztrącę.
Widma blade i milczące
Jak stooki strażnik pawi
Zaglądają w tamte drzwi,
Gdzie śpi cesarz... czy ciekawi,
Jaka barwa carskiéj krwi?
Ha... mówcie... czy się nie budzi?
Pożarłbym teraz mowę stu tysiąca ludzi...
Jak w grobie głucho...

Słychać dzwon na jutrznię.

Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija...
Jezus! Marya!

Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia krzyżem na bagnecie u drzwi sypialnego cara pokoju

CAR wychodzi z sypialnego pokoju z lampą nocną w ręku.

CAR.

Słyszałem jakiś stuk, i czułem we snów burzy,
Jakby mię ktoś za gardło cisnął szarfą.
Czułem, co niegdyś ojciec mój, lecz czułem dłużéj.
Czyż zawsze sen ma być sumienia harfą,
Po któréj grają wichry strachu?
Idźmy!... Lecz nie znam dróg, zabłądzę w gmachu.

Chce iść i potyka się o leżącego Kordyana.

Cóż to? co to się znaczy? to trup jakiś leży...
Z bagnetem w ręku, mundur polskich ma żołnierzy,
Ze szkoły podchorążych. Pewnie stał na warcie?

I szedł do mnie zabijać?... padł na samym progu...
Wszak brat mi za nich ręczył? Kusicielu! czarcie!
Nie natrącaj mi na myśl brata — w każdym wrogu
Pokazujesz mi brata, nie, to być nie może...
O gdyby wstał ten człowiek i przemówił słowo!...
Ciepły... Wstań! mów! bo szpadą gardło ci otworzę.
Mów, czy to brat ci kazał?

Szpadą rani w rękę Kordyana, który oczy otwiera.

KORDYAN, z obłąkaniem

Z pochodnią grobową
Trupy w oknie.

CAR.

Przemówił... Otwórz jeszcze usta,
Wymów: brat?... słowo krótkie... brat?

KORDYAN.

Blady jak chusta
Car śpi... Jezus Marya!... świt zaczął pobielać...

CAR.

Nic z niego się nie dowiem, ni z ust, ani z twarzy...
O! to brat... brat mój pewnie...

Woła.

Straży! moja straży!

Wbiegają żołnierze. Car pokazuje na Kordyana.

Jeśli nie zwaryował ten żołnierz... rozstrzelać...

SCENA VI.

SZPITAL WARYATÓW.

Widać klatki, w których siedzą łańcuchami powiązani waryaci, niektórzy chodzą wolno. — Kordyan leży na łóżku w gorączce. Dozorca szpitalu. — Doktor obcy.

DOZORCA do doktora.

Waćpan przyszedłeś zwiedzić szpital waryatów?

DOKTOR.

Oto jest pozwolenie.

Daje dukata.

DOZORCA.

Z podpisem dukatów...
Wolno panu gdzie zechcesz zazierać do klatek,
Tu waryaci, daléj sala waryatek...
Cały szpital rozłożę jak zegar po sztuce...
Pan zapewne w medycznéj ćwiczysz się nauce?

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Jakież systemata pan doktor zachwala?

DOKTOR.

Macanie głów...

DOZORCA.

Rozumiem, to systemat Galla.

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Ciekawość mię bierze, czy się pan przekona
Z głów, która tutaj głowa najostrzéj szalona?

DOKTOR.

O! ja odgadnę z twarzy sądem Lawatera.

Wskazując na Kordyana.

Ot — ta...

DOZORCA.

Wzrok Eskulapa nie dobrze przeziera,
Ten młodzieniec wszedł tutaj, bo cesarz osądził,
Że musi być szalony, lecz cesarz pobłądził.
Ten młody ma gorączkę, lecz rozsądek zdrowy,
Zdrowszy niż twój, doktorze, niż mój nawet.

DOKTOR.

Nawet?

DOZORCA.

Ha! obraziłem ciebie, paluszku Gallowy!

Chciałbyś mi ostrém słówkiem odpalić wet za wet,
I abyś dowiódł, że ten młody pstro ma w głowie,
Może dowiedziesz, żem ja szalony?

DOKTOR.

Któż to wie?...
Pozwól mi pan zapalić cygaro hawańskie...

DOZORCA.

Nie mam ognia.

Rzucając dukat.

Do kroćset! dukat dłoń mi piecze.

DOKTOR, podejmuje dukat i zapala przy nim cygaro, potem go oddaje dozorcy

Dziękuję.

DOZORCA.

O! na Boga, to sztuki szatańskie!

DOKTOR.

Tak ci się to wydało, rozumny człowiecze,
Patrz, dukat zimny jak lód, pali bo, czerwony.

DOZORCA.

Czy mi się zdało? czym ja doprawdy szalony?
Niech mię Najświętsza Panna w swéj opiece trzyma!

DOKTOR.

Nie patrz nigdy na dukat rozsądku oczyma,
Dukat jest elementem, żywiołem...

DOZORCA.

Prawdziwie!
Odejść muszę, gdy słucham, rozum sobie krzywię.

Dozorca odchodzi.

DOKTOR.

Wypędziłem go przecie, jutro oszaleje,
Myśląc o tym dukacie, teraz mam nadzieję,
Że sam na sam z szalonym pogadam młodzieńcem.

Siada na łóżku Kordyana.

KORDYAN.

Ktoś ty jest? brat mój? krewny?

DOKTOR.

Jestem zapaleńcem.

KORDYAN.

Musiałeś się więc chyba urodzić dziś rano?
Wszyscy dotąd mówili, żem jeden na świecie.

DOKTOR.

Ciebie znali, mnie jeszcze dotąd nie poznano,
Siedziałem sobie cicho zamknięty w sztylecie.

KORDYAN.

Daj mi pić... mam gorączkę... słów twych nie rozumiem.

DOKTOR.

Natęż uwagę... jasno tłómaczyć się umiem,
Ale natęż uwagę mocno! mocno! mocno!

KORDYAN.

Natężyłem... Znam ciebie...

DOKTOR

W godzinę północną
Wychodziłem z sypialnéj cesarza komnaty.

KORDYAN.

Cóż tam robiłeś?

DOKTOR.

Ha! nic, polewałem kwiaty...

KORDYAN.

Co? owe drzewa pełne uszu, bez języków...

DOKTOR.

Tak, to klony... a inne rosną w liść krzyżyków
Jak gwoździki maltańskie; inne jako trzciny
Pełne kolan i puste, a cesarza syny
Na pustych kolankowych trzcinach grać się uczą.

KORDYAN.

Czemu twoje wyrazy tak brzęczą i huczą?
Gadaj ciszéj... czy jakiéj nie umiesz modlitwy?

DOKTOR.

Umiem jedną, co ludzi popycha do bitwy.

KORDYAN.

Nie chcę... za głośna będzie, a może bezbożna?

DOKTOR.

To modlitwa turecka, jak księżyc dwurożna:
Jednym rogiem zabija wroga, drugim siebie...

KORDYAN.

Wszak potrzeba bić wrogów?

DOKTOR.

Wiem o téj potrzebie...
Naród ginie, dla czego? aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu, a wieszcz rym odlewał,
Aby nieliczną iskrę ognia, pośród lodu,
Z pieśni wygrzebał anioł i w niebie zaśpiewał.
Widzisz, jak cenię wieszczów gromowładne plemię.

KORDYAN.

Nie — to nie tak... inaczéj... idź z nieba na ziemię.

DOKTOR.

Rozumiem. Hymn anioła w wieszcza się przelewa,
Zaśpiewał — naród ginie, bo poeta śpiewa.

KORDYAN.

Głupiś! Mów co ze starych testamentów księgi.

DOKTOR.

Faraon, kiedy stanął na szczycie potęgi,
Śniło mu się, że siedem wypasionych wołów
Siedem chudych pożarło.

KORDYAN.

Nie! to nie tak było...

DOKTOR.

Ale tak jest, zapytaj potomka Mongołów...

KORDYAN.

Mów o czem inném, pismo święte mię zabiło.
Czy nie jesteś botanik?...

DOKTOR.

Żądam tajemnicy,
A zwierzę się, żem wcale nowe odkrył ziele;
Rośnie na mojém oknie, w rycerskiéj przyłbicy,
Posiane w stu miast dawnych ostygłym popiele.
Wkrótce, jak się spodziewam, wyda pączek liczny,
Jak myśli milionów... a potem kwiat śliczny,
Czerwony jak krew ludzi, a potem nasienie
W strąkach wielkich zawarte, które pękną z trzaskiem
Jak miliony harmat... Wpadasz w zachwycenie?
Oczy twe poetycznym zapłonęły blaskiem.

KORDYAN.

Czy ta roślina kwitnie? plemi się?

DOKTOR.

Już wschodzi.

KORDYAN.

Wschodzi dopiero?

DOKTOR.

Tak jest, a że mróz jéj szkodzi,
Więc ją do czasu garnkiem przykryłem kuchennym.

KORDYAN.

Dręczysz mię, nudzisz, łamiesz, gryziesz, jestem sennym.
Gadaj mi nie o kwiatach.

DOKTOR.

Trzy są elementa,
Które składają rozum, trzy wielkie myślniki.
Przez nie wytłómaczona jasno Trójca święta.
Myślnik jedność urodził wielości liczniki,
Z nieskończoności starszéj określność wypływa;
A związek między nimi, myśl, co porównywa,
Jest trzecim elementem, z trzech Trójca się składa;
Bez wyobrażeń liczby wnet jedność upada;
Bez określności bytu nieskończoność niknie;
Więc jedna równa drugiéj, jak Ojciec Synowi,
Względność ich dała życie świętemu Duchowi,
A wszystkie trzy idee są Trójcą — rozumem.

KORDYAN.

Napełniłeś mi uszy oceanu szumem
Mam gorączkę... Człowieku, co prawisz u kata?

DOKTOR.

Wyleczę ciebie... Teraz o stworzeniu świata,
Czy o stworzeniu ludów... Świat przed ludźmi ginie;
Ziemia to orzech w chmurnéj zawarty łupinie.
Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie ludy.
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy,
To była ziemia, na niéj wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim jak drzewa greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki... a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona,
W szóstym człowieka zlepił Bóg... Napoleona.
Dziś dzień siódmy, Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył.

KORDYAN.

Łżesz, podły! Każdy człowiek, który się poświęca
Za wolność — jest człowiekiem, nowym Boga tworem.

DOKTOR.

Cha! cha! wolność garncarskie koło dziś pokręca,
Dobrze mówisz, to koło nowym idzie torem,
Wyda gliniany garnek.

KORDYAN.

Wyda wielkich ludzi!...

DOKTOR.

Widzisz, jak ci się płomień gorączkowy studzi,
Gadasz wcale do rzeczy...

KORDYAN.

Słuchaj! powiedz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka? anioła?
Co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze
I gromom spadającym wystawia cel czoła,

I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem,
Za lud cierpiąc...

DOKTOR.

Ten człowiek szedł tu moim śladem.
Zawołam go.

Woła dwóch waryatów, jeden z nich trzyma rozkrzyżowane ręce, drugi jednę rękę podniesioną ma do góry.

Dwóch widzisz, za lud cierpią oba;
A jak cierpią, powiedzą, abyś sam ocenił...

Do waryata z rozkrzyżowanymi rękoma.

Bracie! powiedz mi, coś ty za wielka osoba?

PIERWSZY WARYAT.

Jam nie osoba, jam się dawno w krzyż zamienił.
Ja byłem krzyżem w Chrystusa męce,
Do mnie zmarłego przybili;
A jam go zamiast ćwieków unosił za ręce,
Jak małe dziecię, gdy kwili.
Jestem krzyżem, gdy papież daje krzyża drzewo
Nie wierzcie! ja mam nogi, rękę prawą, lewą,
Nic ze mnie nie ubyło, niech kto części liczy...

Smutnie mówi, odchodząc.

Boże! odwróć odemnie ten kielich goryczy.

DOKTOR, do Kordyana.

Widzisz, on się poświęcił za lud.

KORDYAN.

Zwaryował!...

DOKTOR, do waryata z podniesioną ręką.

A ty, czemuś tak ręką w niebo wygórował?..

DRUGI WARYAT.

Ciszéj mów! nieba sufit lazurowy
Trzymając na téj dłoni, zasłaniam świat cały.
Niebo, słońce, księżyc biały,
Chcą upaść ludziom na głowy;
Lecz ja stoję pod nieba nachylonym stropem,
Znużony, tęskny, bezsenny.

Módlcie się do mnie, jam zbawca codzienny,
Zasłaniam ludy przed nieba potopem...
Śpijcie ludzie! dobréj nocy!

Odchodzi.

DOKTOR.

A cóż? to wielki człowiek! za lud się poświęcił!

KORDYAN.

To waryat...

DOKTOR.

Bluźnierstwa rzucasz z ustnéj procy!

KORDYAN.

To waryaty oba! i tyś sam mózg skręcił.

DOKTOR.

A cóż wiesz, że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nie.
O! złota rybko w kryształowéj bani,
Tłucz się o twarde brzegi niewidzianych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą
Jest wszystkiém, a świat cały nicości topielą.

KORDYAN.

Myślę.

DOKTOR.

Więc świat jest myślą twoją.

KORDYAN.

Cierpię.

DOKTOR.

Nie myśl.

KORDYAN.

Nie mogę...

DOKTOR.

Możesz, sposób niemyślenia przemyśl,
Oszaléj, będziesz świętym w Stambule.

KORDYAN.

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojéj duszę;

Ostatni skarb wydzierasz, własne przekonanie;
Ostatni promień gasisz.

DOKTOR.

Glinę boską kruszę...

KORDYAN.

Niechaj Bóg litościwy wyrwie z twéj paszczęki.

Wielki książę Konstanty wpada z żołnierzami i wskazuje na Kordyana.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wziąść go, prowadzić zaraz na śmierć i na męki!

KORDYAN.

To głos ludzi, o! Boże! raczyłeś mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka...

Pokazuje na miejsce, z którego doktor zniknął.

Gdzież on! gdzież on?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Skoro go w mundur ubierzecie...
Prowadzić na plac Saski...

Wychodzi.

KORDYAN.

Gdzież on!

ŻOŁNIERZ.

Książę czeka.

SCENA VII.

PLAC SASKI.

Wojsko polskie jeszcze nieustawione... W jednéj stronie placu widać grono jenerałów, pośród nich car, wielki książę Konstanty niecierpliwy przechadza się. Zdala na około placu lud warszawski.

CHÓR.

Tysiące żołnierzy, bagnetów tysiące,
Obwisłe sztandary, bagnety nie drżące,
Cicho jak w ostatni sąd.

WIELKI KSIĄŻĘ, komenderując.

Do frontu! równać front!...

CHÓR.

W jeden rząd długi, prosty piechota się zwarła,
Gdybyś o cal z szeregu wykazał pierś cara,
A z drugiéj strony szyku miał Tela Szwajcara;
Strzała by się o każdą pierś polską otarła,
I nie raziwszy żadnéj, zbiła jabłko carskie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Grać.

CHÓR.

I zagrzmiały muzyki janczarskie,
Ucichły znowu... dają głos carowi.

CAR do żołnierzy.

Zdrowiście, dzieci?

GŁOS ŻOŁNIERZY.

Z łaski Boga zdrowi.

CHÓR.

Co powiedzieli gwarem, Bóg tylko zrozumie,
Jak modlitwę rozbitą w morza głuchym szumie.

Sześciu żołnierzy przyprowadzają bladego Kordyana. Stawią go przed carem. Wielki książę przybiega z wściekłością.

WIELKI KSIĄŻĘ, do Kordyana, pieniąc się.

Ha! psie polski! przyszedłeś — czemuś taki blady?
Przewidziałeś, co czeka? Kacie! roskolniku.
Ty nosisz szlify? precz! precz! precz! Rozciskam gady.
Rzucę cię pod kopyta trójrzędnego szyku,
Albo tu zwalę w piasek... i moją ostrogą
Napiszę *wor* na czole. Car ciebie darował
Zemście mojéj. Car ciebie sam w grobie pochował!
Z książęcéj dłoni dyabły wydobyć nie mogą!

CAR, na stronie.

Myśli że mię oszuka?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dać tu cztery konie.
Ha! ty psie masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,

A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! Ha, ja się wściekne... ten pies ciągle milczy.

Uderza kułakiem w pierś Kordyana.

Słuchaj! do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.

Zgrzyta zębami.

Cha! cha! Carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok. Znieść karabiny.
Ustawić w piramidę, poszczepiać za kruki
Ostrzem do góry — związać jak snopy, jak trzciny.

Żołnierze ustawili piramidę z karabinów.

Teraz, psie, siadaj na koń i leć z nim do dyabła.
Ty milczysz — co? na widok dusza ci osłabła?
Myślisz, że się zlituję. Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę!
No! ruszaj! ruszaj! ruszaj! czemuż trąbą słonia
Wziąść ciebie i na kolce zarzucić nie mogę?
Wrzuciłbym.

Ostygając.

No, posłuchaj, Lachu, wstydem płonę.
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone,
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć.

Z wściekłością.

Skacz! bo każę cię w lochy Karmelitów wtłoczyć!
Głodem zamorzę! wsadzę pomiędzy szkielety!

Proszącym tonem.

No, Lachu! jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie.

KORDYAN.

Dzięki, książę, dzięki,
Żeś mi powiedział wszystko; gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u téj ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Boi się hołota!

CAR.

Jeśli oto ci chodzi, ręczę, że choć zdrowy
Jako ptaszek przelecisz nad las bagnetowy,
To kule cię nie miną. Książę! on się boi!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Widzisz! więc car zaręczył — zginiesz — martwy stoi!
Żołnierze! kto z was skoczy, dam krzyż świętej Anny,
Świętego Stanisława... jeśli wyjdzie ranny
Tysiąc złotych pensyi — tysiąc — dwa tysiące,
Cztery tysiące — o wy psy! nie psy — zające!
Polaki.

KORDYAN.

Niech mi konia podadzą.

Siada na konia i odjeżdża w koniec placu.

WIELKI KSIĄŻĘ woła Kurutę.

Kuruta!
O gdyby on przeskoczył!

KURUTA.

Ten człowiek wart knuta.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niechaj przeskoczy! słuchaj! ja chcę niech przeskoczy!
Car ujrzy jak mój żołnierz nad Moskale lotny.
Patrz! jedzie, zatrzymał się — tam obraca oczy,
Do ludu, tam lud stoi cichy, czarny, błotny.

Marszczy się jak tygrys.

Nie lubię tego ludu — patrz, chustkami wieje,
Kapelusze podrzuca. Kuruta! masz nadzieję?

KURUTA.

Jak wasza książęca Mość.

KSIĄŻĘ gwałtownie.

Patrz! patrz! piasku chmura!
Nie widzę, spinaj konia! Ha! przeskoczył.

WOJSKO krzyczy.

Urra!

LUD krzyczy zdala.

Żyje!

Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordyana, książę bierze go w swoje objęcia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Cóż ci, mój druhu? No! no! chwat młodzieniec!
Nieprawda, koń mój żartki? skacze jak szaleniec?
Musiałeś nie czuć skoku? Wasza Mość Cesarska
Widziałeś. Oprowadzić konia, niech wyparska.

Do Kordyana.

Ręczę za twoje życie — idź! tyś chory? senny?
Wziąść go — odnieść do łóżka.

Odprowadzają Kordyana.

CAR. Do jenerałów tak, że książę nie słyszy.

Złożyć sąd wojenny,
Godził na moje życie — rozstrzelać.

WIELKI KSIĄŻĘ wesoło.

Trębacze!
Niech grają Dombrowskiego, książę sam poskacze.

Parada na placu Saskim.

SCENA VIII.

Izba klasztorna, obrócona na więzienie, okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordyan skazany na śmierć gada z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.

GRZEGORZ do siebie.

Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana,
Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: dziecko w więzy okuj?
Niema Boga, przystaję do cechu szatana.

KORDYAN.

Grzegorzu, módl się za mnie.

Grzegorz jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. Kordyan klęka u stóp księdza, ten błogosławi i mówi, podnosząc Kordyana.

KSIĄDZ.

Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu.

Bóg cię wyrywa z lwiéj paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu.
Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

KORDYAN.

Nic.

KSIĄDZ.

I nikogo na ziemi?

KORDYAN.

Nikogo.

KSIĄDZ.

Nie byliż ludzie przyjaciółmi twymi?

KORDYAN.

Nikt.

KSIĄDZ.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!
Zlituj się nad nim, Boże! Wielki Boże!

KORDYAN.

Nim zimne ciało do grobowca złożę,
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu:
Pamiątek woła — i śladu na świecie.

KSIĄDZ.

I to grzech, synu. Wy młodzieńcy chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić, lub mieczem wykrwawić;
Pocóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy jak pacierze
W ustach przechodnia. I pocóż te ślady?
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może
Jestem za stary, a ty dziecię wiosen.
Więc nie rozumiem. Słuchaj! przy klasztorze
Jest ciemny ogród szpalerami sosen
Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie
Zasadzę różę miesięczną i twojém
Nazwę imieniem, by zakwitła w chłodzie
Posępna, blada.

KORDYAN.

Niech ci pociech zdrojem
Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojém imieniem? i może nie zwiędnie!

Ksiądz odchodzi.

Spłyńcie się teraz w jednéj myślnéj chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy, bo konam!
Bo tam przed ludźmi, choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam;
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem; przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innymi oczyma
Dłużéj! ciekawiéj, a może ze łzami.
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje —
A jam nie słyszał. Czegoś mi niestaje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią, piastunką ludzi. O! ty ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?

Po chwili ze wzgardą.

Niech się rojami podli ludzie plemią,
I niechaj plwają na matkę nieżywą,
Nie będę z nimi! Niechaj z ludzkich stadeł,
Rodzą się ludziom przeciwne istoty,
I świat nicują na złą stronę cnoty,
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł.
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z nimi! Niech słowo ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w to słowo wsięknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery,
Nie będę z nimi! Niech szubienic drzewa

W ogrodach miejskich rosną jak szpalery,
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,
Śmiechom przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy.
Nie będę z nimi! — O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono;
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny,
Tak wam płacono.

GRZEGORZ.

Panie! nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze.
Oj paniczu mój drogi, nacóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam, w lesie oko miesięczne świeciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś: Grzegorzu! woła.
Szedłem po lesie — nagle widzę me dzieciątko
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny.

KORDYAN.

Nie wspominaj mi o tém.

GRZEGORZ.

Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owéj winy.
Widzi pan. Człowiek siebie nad brata miłuje,
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata;
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje...

Zatrzymuje się i z rozpaczą.

Przewidziałem nieszczęście; lecz śmierć z ręki kata!
O! o! o! Panie drogi! pociesz mię, mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa,
Każe je dzieciom w grobie położyć — koło mnie,
Blisko, bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.

KORDYAN.

Czy ty masz dzieci?

GRZEGORZ.

Och! mam syna.

KORDYAN.

Czy żonaty?

Grzegorz daje znak głową, że tak.

Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojém, Kordyan.

GRZEGORZ.

Panie,
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordyanie!

KORDYAN.

O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi.
Nie nazywaj Kordyanem.

GRZEGORZ.

Paniczu mój drogi,
Nie wydzieraj, coś dawał, jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec choć nędzarz, ubogi,
Ja go będę nazywał Kordyan — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordyanek mały! mój Kordyanek! mój bławatek.

Śmieje się ze łzami w oczach.

O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!

KORDYAN.

Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz,
Ani mu stworzysz życie, równe memu życiu?
To dziwnie, że jak człowiek tonący w rozbiciu
Chwytam się każdej słomki — szukam przeżyć siebie.

Zamyślony.

Więc gdy mi wezmą życie, a starzec pogrzebie!
Kiedyś!... za błędnem dzieckiem, po łąkach, lub w borze,
Głos matki wołać będzie... Kordyan! Kordyan! długo...
Dziecię śmiechem odpowie, nad kwiecistą strugą...

A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym klasztorze
Róża moja zakwitnie... Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi... Więc róża — i dziecię.

Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym.

KSIĄDZ.

Synu!...

KORDYAN.

Na jaką idę śmierć...

OFICER.

Na rozstrzelanie...

Grzegorz pada na kolana. Kordyan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całując, mówi przerywanym głosem.

KORDYAN.

Bądź zdrów, mój wierny — ojcze...

Odchodzi.

GRZEGORZ, wyciągając ręce.

Panie! panie! panie!

Pada na ziemię... Potem zrywa się i wybiega śpiesznie za Kordyanem.

SCENA IX.

Pokój w zamku królewskim.

CAR, sam.

Nudno! Szkoda, żem puścił tego szambelana,
Co jak mops na dwu łapach przede mną tańcował.
Skacz! skacz! skacz! Radbym dostać Machmuda sułtana,
Aby skakał przedemną... Będę go częstował
Dymami siarki, prochu, aż w dymie uduszę...

Patrzy na ściany.

Cóż to? na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w końcu pająk sidła zastawuje musze.
Pył... pył... Ten pył mię bawi, świadczy gmach odludny,
To chwast na grobie wroga... Polska już ostygła,
Umarła i na wieki... Jak magnesu igła
Na północ obrócona w Sybir patrzy mroźny.

Zdala trup tego kraju zdawał mi się groźny...
Marzące o podbojach myśli nieraz zwichnął...
Przyjechałem... trup zadrżał, nawet się uśmiechnął...
Łez nie widziałem... domy kobiercami kwietne?
Daléj więc... Europę jak jabłko rozetnę,
A nóż zatruty obie zatruje połowy.
Króle! dajcie mi pokłon koronami z głowy!...
Ha! ha! albom ja wielki? albo świat ten mały?
Albo głupi świat cały? albom ja rozumny?...
Część ogromnego kraju szach mi oddał dumny;
Garść téj ziemi kazałem spłomienić w kryształy,
I kryształowe łoże szach dostał i wdzięczny.
O wielki synu słońca! o bracie miesięczny!
Czy ci nie zimno w łożu kryształowém cara?
Na zachodzie stugłowa wyrasta poczwara,
Lecz wkrótce w petersburgskiéj każę ulać hucie
Łoże drugie z kryształu — dla ludów zachodu;
Miarę na długość wezmę z moskiewskiego rodu,
A który naród dłuższy nad łoża okucie,
Kryształu nie rozciągnę, lud skrócę o głowę.
Ludy! poślę wam! poślę łoże kryształowe.
Któż to?... Brat mój!

Książę Konstanty wbiega zadyszany.

Jak się masz? Kostusiu! co słychać?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość... niech...

CAR.

Nie możesz oddychać?
Widać, żeś się tu spieszył? czemuż ci tak śpieszno?
Zapewno mi przynosisz jaką wieść pocieszną?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ha, Wasza cesarska Mość... kazałeś...

CAR.

Mów śmiało...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Rozstrzelać... Ha!

CAR.

Tak mi się, bracie, podobało...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niech Wasza cesarska Mość odwoła! niech raczy
Odwołać wyrok śmierci.

CAR.

Książę, co to znaczy?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Proszę Waszéj cesarskiéj Mości, niech ten człowiek
Żyje... Nie traćmy czasu — chwili — mgnienia powiek,
Oto ułaskawienie, pióro...

CAR.

Pióro moje
Spisałem na wyroku śmierci, przy nim stoję.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość niech stawi żyda na papierze,
Byle podpis... do kroćset...

CAR.

Bracie, mówmy szczerze.
Chcesz ocalić Kordyana?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Chcę! chcę! chcę!

CAR.

I właśnie
Dla tego zginie.

WIELKI KSIĄŻĘ, z zadziwieniem.

Co? co?

CAR.

Bracie, skończmy waśnie,
Spać mi się chce...

Książę chodzi po sali, widać w nim burzę wściekłości... bierze z kominka porcelanę i rozciska w dłoni...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dla czegoż Wasza Mość cesarska
Nie chce téj małéj łaski? — Jam ci tron darował!...

CAR.

Bracie, pohamuj wściekłość, co nozdrzami parska.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Przebacz Wasza cesarska Mość, będę hamował,
Lecz proszę, niech ten człowiek żyje.

CAR.

Tyś morderca,
Jeśli on nie morderca... Odejdź, bracie miły,
Nie chce mi się zaglądać w brudy twego serca;
Wolałbym dwumiesięczne rozrzucać mogiły.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? nie rozumiem...

CAR.

No! no! idź i bądź spokojny.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Bracie! bracie, z tygrysem nie zaczynaj wojny!
Jam ci tron dał, na którym siedzisz, ja przy tronie
Leżę jak lew bronzowy, jeśli ja zawyję?
Jeśli usłyszą ludy, że lew ryczy? żyje?
Ludy przypomną, żem ja winien żyć w koronie,
A ty w stajni, w kazernie musztrować szeregi...

CAR.

Książę! widzę, że wina przelałeś nad brzegi.
Co? tyś mi tron darował? było go wziąść, bracie,
Boś ty się w purpurowéj urodził komnacie,
Sto dział grzmiało nad twoją złocistą kołyską,
I dano ci greckiego cesarza nazwisko;
Lecz potem, matka twoja, żona Pawła cara,
Zbrzydziła cię, wyrodku! tyś miał nos Tatara.
Zamiast ssać łono, tyś je pokąsał jak szczenię...
Wyrosłeś. Przyszła matka i rzekła: tyś głupi,
A tobie powiedziało to samo sumienie.

Rzekła ci: daj tron bratu! rzekłeś: niech brat kupi...
Więc kupiono u ciebie zrzeczenie się tronu.
Było go wziąść... a coby ci zostało z plonu?
Czy śmiałbyś w oczy matki spojrzeć okiem cara?
A uśmiech jéj? a słowo: tyś głupi? a czara
Nalana zmarszczonymi rękami twéj matki?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! carze! truciznę schowaj na ostatki.
Znałem was dobrze, katów bezczestnych i dumnych,
Was matka nauczyła zabijać słowami.
Dwóch było mądrych, trzeci głupi; do rozumnych
Ktoś rzekł: waszego ojca udusim szarfami;
Odpowiedzieli: dobrze. Poszli... udusili...
Pomnisz, Beningsen przyszedł i rzekł: Pawła cara
Udusiliśmy... rzekli; amen... Więc zabili,
Sami zabili ojca — a na szarfy kara...
Ha! szarfy wyrzucili jak zużyte sprzęty
Za granice moskiewskie, na kraje sąsiadów;
Darowali Europie gniazdo żółtych gadów.
A do lochu rzucili zewłok ojca święty,
Zaledwo ksiądz odszeptał jeden pacierz prędki.
Nie wynieśliście trupa na tron złotolity,
Bo z pod nogi zbójców wyszedł zmięty, zbity,
Podobny do tygrysa z błękitnymi cętki.
Lecz naród krzyczał: syny! wyście nam ukradli
Komedyą pogrzebu, łzy wasze książęce,
I widok miły królów, co tak nisko spadli...
Wynieście ojca ciało! całujcie mu ręce!
Bo my chcemy obaczyć, jakie to są cary,
Których można zabijać bez sadu i kary?...
Pamiętasz! jak zduszony kadzideł wyziewy
Całowałeś tę rękę i całun żałobny...
A potem myłeś usta całą wodą Newy.
O! jak ty jesteś, bracie, do ojca podobny,
Patrzeć nie mogę! zmyj twarz! zmyj twarz, podobieństwo...
Bo ja patrzeć nie mogę... Bo rzucę przekleństwo,
Które aż Bóg usłyszy...

CAR.

To królewska zbrodnia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

A wszakże ci sybircy, których karzesz co dnia,
Mogą krzyczeć z kibitek: Carze! z nami razem!
Jedź z nami! bo zabiłeś ojca; niechaj katy
Pocałują cię w czoło czerwoném żelazem...
Lecz ty lud trzymasz głupi, bez żadnéj oświaty.
Kilka kłosów z gwardyjskiéj wyrosło równiny,
Więc na Turków!... Michale, wiedź ich... on nie umie...
Wiesz, czego chcę po tobie? — Michał, nie rozumie.
Głupcze, krzyknąłeś, podsadź pod szeregi miny
I wysadź na powietrze!... Brat Michał dwa palce
Do czoła... pokłon niemy... i odszedł... a w miesiąc
Pod gwardyą zatopione saletry padalce
Wybuchnęły jak piorun... aż grunt musiał przesiąc
Krwią ruską... Car się uśmiał... i rzekł: to pomyłka!...
A wiesz, carze? że za to mało knuty! zsyłka!
Katorgi nawet mało!...

CAR.

Bracie, twego serca
Powstydziłby się może najęty morderca.
Przypomnę ci zdarzenie...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? jakie?

CAR.

Nie skłamię.
Znałeś?

Mówi kilka słów do ucha księciu.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! milcz! milcz! milcz!

CAR.

Nie! aż cię połamię
Słowami knutowymi... aż czoło wypiekę
Do mózgu myśli twoich.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! ja się wściekę!
Milcz!

CAR.

Milczeć?... Wszak nie jestem sumieniem książęcia,
Ani pochlebcą płatnym...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Na wszystkie zaklęcia!...
Milcz!...

CAR.

Gdzie się owa piękna Angielka podziała?
Lat szesnaście, dziecinna, płocha, jak śnieg biała,
Z błękitnymi oczyma, na balach szczęśliwa,
Napół smutna, wesoła, mdlejąca i żywa;
Tak nieświadoma uczuć i światowéj burzy,
Że mogłaby się kochać sercem w białéj róży,
I bronić się kotarą zakrytego łoża
Przed róż kwitnących wzrokiem...

Książę siada i trzyma oczy wlepione w ściany.

Na nią ręka boża
Wysypała brylanty wszystkie i gwiazd ognie...
Lekki twór kryształowy złamie się, nie pognie,
Tak właśnie ona...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ona... widzę ją...

CAR.

W dzień pewny
Przed dom Angielki dworska zajeżdża kareta;
Zapraszają lokaje na bal do królewnéj.
W lekkich szatach niemyślna jak motyl kobieta,
Przyjeżdża, wiodą w zamek — w nieznane komnaty.
Pyta, gdzie bal? gdzie światła? gdzie muzyka? kwiaty?
Wszędzie cicho... prowadzą... wiesz, gdzie wprowadzona?
Nie starłeś jeszcze z czoła śliny, którą plwała.
Mściwy — wołasz... żołnierzy wściekłych rota cała
Wali się...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Nie kończ, carze! bo ci język skona!

CAR.

Siedź i słuchaj! wiem koniec zabawnéj powieści.
Na piękny żart się zdobył lubownik niewieści:
Jak ukryć trupa? lato — nie włożyć do lodu?
A trzeba skryć przed carem, przed posłem narodu,
Z którego książę ukradł człowieka — gdzież schować?
Jeden z przyjaciół księcia podjął się usługi,
Nie zaniedbał wszelako włosów przemalować,
Twarzy przekształcić... potem jak Pylades drugi,
Wziąwszy odzież bogatą, krzyże, tytuł grafa,
Najął w mieście część domu i zapłacił z góry.
Do pokojów z meblami weszła wielka szafa;
Co było w szafie? nie wiem — odźwiernego córy
Myślały, że w niéj szaty wieszano dziewicze.
Zamknąwszy drzwi na zamek, zniknął Pylad wierny
Upływa tydzień — drugi... szmery tajemnicze...
Przez szpary do pokojów zagląda odźwierny,
Nikogo... nagle krzyknął: zaraza! zaraza!
Więc drzwi wywalił z szafy, odbija żelaza,
Okropnego coś razem wszystkie zmysły bije:
W szafie szkielet człowieka topi się i gnije...
Na trupie zapomniany brylant ogniem błyska.
Ten pierścień mówił... i dwa powiedział nazwiska:
Jéj i twoje...

WIELKI KSIĄŻĘ, budzi się z głębokiego osłupienia — i mówi z wyciem stłumionem, zrywając się z krzesła.

Ha! carze! carze! znasz mordercę?
Ja ci muszę te słowa nazad w gardło wdławić!
Połknąłeś tajemnicę i nie możesz strawić?
Pomogę mieczem .. ona w sercu? wydrę serce!
Ona w mózgu? więc z mózgiem na ściany rozprysnę!
Czy wiesz? że skoro szpadą z okna tego błysnę,
Wnet czterdzieści tysięcy bagnetów poruszę.
Na co? ja ci na gardle siądę i uduszę,
Do szaf zamknę królewskich i wyjdę wesoły.
Na ulicach Warszawy tłum ludu natrafię,
Cha! cha! cha! zapytają... gdzie brat? gdzie car — w szafie!
Cha! cha! Cara zamknąłem jak miecz kata goły
W pochwę zgnilizny... Cha! cha! niechaj go rdza toczy!

Niech lud czuje w powietrzu! A co? drżysz, mój bracie?
Wiesz, żem silny jak tygrys... wiesz, że w téj komnacie
Jesteś sam na sam ze mną... a co? patrz mi w oczy!...

Car spogląda w oczy brata... i patrzą długo na siebie, jeden drugiego chce wzrokiem przełamać... Konstanty pierwszy spuszcza oczy... i oddala się.. chodzi po sali. . Car uważa każde jego poruszenie i mówi do siebie ..

CAR.

Dobrze! wyszedłem cało... ta moskiewska żmija
Buntu dźwignąć nie mogła... myślą się zabija...
Gdyby zamiast słów szpady dobył, jużbym nie żył...
Zamyślony — w zmarszczone czoło się uderzył;
Muszę tę myśl uprzedzić... Konstanty!...

WIELKI KSIĄŻĘ, odpasuje szpadę i podaje bratu.

Niech Wasza
Cesarska Mość tę szpadę weźmie...

CAR.

Brat przeprasza...

Konstanty stoi milczący z czołem spuszczoném ku ziemi. Car bierze szpadę jego, potem podpisuje ułaskawienie Kordyana i zatknąwszy je na koniec szpady, podaje księciu mówiąc:

Weź je razem ze szpadą.

Książę schyla głowę — bierze szpadę, potem dzwoni gwałtownie. Adjutant wchodzi... Książę daje mu ułaskawienie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Leć na plac Marsowy!
Weź mego konia, zabij w galop — a leć ptakiem...
Zanieś to... Biada! jeśli włos z Kordyana głowy
Spadnie, nim ty dojedziesz.

Adjutant wychodzi.

CAR, ściskając dłoń wściekle.

Mój brat... już Polakiem.

SCENA OSTATNIA.

PLAC MARSOWY.

Zdala widać Kordyana przed plutonem żołnierzy. Na przodzie sceny lud rozmawia.

PIERWSZY Z LUDU.

Patrz! teraz kat nad głową łamie lśniącą szpadę.

DRUGI Z LUDU.

Jaki to krzyk? czy krzyknął?...

PIERWSZY Z LUDU.

Nie, usta ma blade
I nic nie mówi — ale gdy kat szpadę łamał,
Jakiś starzec padł z jękiem, może stary sługa?...

DRUGI Z LUDU.

Więc mu wzięli szlachectwo...

TRZECI Z LUDU.

Dekret dobrze skłamał:
On jako chłop nie pójdzie do chłopskiego pługa,
Pług po nim orać będzie...

PIERWSZY Z LUDU

Chcą zawiązać oczy —
Nie pozwolił...

DRUGI Z LUDU.

Oficer wystąpił po przedzie...
Już ma komenderować... coś mi serce tłoczy!
Podnieśli broń do oka..

KRZYK W TŁUMIE.

Stój! adjutant jedzie!

PIERWSZY Z LUDU.

Oficer go nie widzi... rękę podniósł w górę.

1833.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

	Str.
Poematy:	
Beniowski	1
Król-Duch	97
Dramaty:	
Mindowe	145
Marya Stuart	209
Kordyan	287

BIBLIOTEKA NARODOWA
128605
7.22

Biblioteka Narodowa
Warszawa
3000100508815O